

MEG CABOT

PIERWSZY KROK

Przekład

Edyta Jaczewska

*Nigdy nie wątpię, że małej grupie zaangażowanych ludzi uda się zmienić świat -
przecież tylko w taki sposób świat się w ogóle zmienia.*

Margaret Mead, antropolog

Dopiero gdy zrobisz z siebie idiotkę kilkaset razy, dowiesz się, co działa.

Gwen Stefani

No dobra, dziesięć głównych powodów, dla których beznadziejnie jest być mną, Samanthą Madison:

10. Choć w zeszłym roku uratowałam życie prezydentowi Stanów Zjednoczonych, dostałam medal za odwagę i nakręcono o mnie film, wciąż jestem jedną z najmniej lubianych osób w całej mojej szkole, która podobno stanowi postępową i wysoce poważaną instytucję edukacyjną, ale mnie się wydaje zapełniona wyłącznie (pomijając mnie i moją najlepszą przyjaciółkę Catherine) noszącymi ciuchy od Abercrombie and Fitch, wykazującymi zero tolerancji dla kogokolwiek, kto mógłby mieć choć nieco odmienne zdanie (czy raczej, w gruncie rzeczy, jakiegokolwiek własne zdanie), radośnie wyśpiewującymi szkolny hymn, oglądającymi wszelkie reality show w telewizji neofaszystami.

9. Moja starsza siostra - ta, której podobno dostało się całe dobre DNA, na przykład geny odpowiedzialne za jedwabiste rudoblond włosy w przeciwieństwie do włosów w kolorze miedzi i o fakturze druciaka do szorowania garnków - jest najpopularniejszą dziewczyną w Liceum imienia Adamsa (i często przewodzi tym radosnym śpiewakom, od szkolnego hymnu), wskutek czego prawie codziennie uczniowie, nauczyciele, a nawet rodzice, którzy obserwują, jak się snuję po obrzeżach społecznych kręgów, samotna i przygnębiona pośród tego morza nieustannego animuszu, pytają mnie: „Czemu nie jesteś bardziej podobna do swojej siostry Lucy?”

8. Choć zostałam mianowana nastoletnią ambasadorką przy ONZ, w uznaniu rzekomej odwagi, z jaką ocalałam życie prezydentowi, rzadko mogę się zwolnić ze szkoły, żeby zająć się moimi obowiązkami. W dodatku tak się również składa, że wcale mi za ich pełnienie nie płacą.

7. Ze względu na to byłam zmuszona podjąć jakieś płatne zajęcie, żeby mieć z czego regulować mój wiecznie rosnący rachunek w Sullivan's Art Supplies, gdzie sama kupuję sobie bloki rysunkowe Strathmore i ołówki, bo rodzice postanowili mnie nauczyć wartości pieniądza i wpoić mi szacunek dla pracy. I w przeciwieństwie do mojej siostry Lucy, której również kazano iść do pracy, żeby utrzymała się w formie - modnej, nie artystycznej - nie dostałam ciepłej posadki w centrum handlowym w butik z bielizną, który daje trzydzieści procent zniżki i płaci dziesięć dolców za godzinę za siedzenie za ladą i czytanie kolorowej prasy, dopóki jakaś klientka nie raczy zapytać o majteczki z rozcięciem w kroku.

Nie, mnie dostała się beznadziejna, płatna według prawie minimalnej stawki praca w Potomac Video, gdzie przewijam obrzydliwe filmy z Brittany Murphy, a potem odkładam z powrotem na półki, żeby jeszcze więcej osób mogło je wypożyczyć i dać się wciągnąć w ten chory, psychopatyczny, skrzywiony świat Brittany Murphy: „Patrzcie - ile - schudłam - odkąd

- grałam - w - OMetess - i - Ashton - zerwał - ze - mną - dla - tej - zasuszonej - Demi - a - ja - stałam - się - większą - gwiazdą - niż - on”.

I dobrze, przynajmniej mogę się kolegować z takimi czadowymi, wywalonymi ze szkoły średniej osobami jak moja przyjaciółka i wielbicielka piercingu Dauntra. Ale mimo wszystko.

6. Pomiędzy szkołą, lekcjami rysunku, obowiązkami nastoletniej ambasadorki oraz pracą zostaje mi tylko jeden wieczór w tygodniu na spotkania z moim chłopakiem w kontekście choć w przybliżeniu przypominającym towarzyski.

5. Ponieważ mój chłopak jest tak samo zajęty jak ja, poza tym wypełnia zgłoszenia na uniwersytety na przyszły rok, a na dodatek jest synem prezydenta, często musi uczestniczyć w uroczystościach państwowych w ten jedyny wieczór w tygodniu, kiedy mogę się z nim umówić. Albo więc razem z nim biorę udział w nudnych oficjalnych uroczystościach, co nie zostawia zbyt wiele miejsca na romantyczne chwile, albo w sobotni wieczór siedzę w domu i oglądam *National Geographic Explorer* z moją dwunastoletnią siostrą Rebeccą.

4. Jestem jedyną prawie siedemnastoletnią dziewczyną na tej planecie, która obejrzała wszystkie odcinki *National Geographic Explorer*. I chociaż moja matka jest prawnikiem specjalizującym się w kwestiach ochrony środowiska, wcale mnie tak bardzo nie obchodzi fakt, że polarne czapy lodowe topnieją. O wiele bardziej wolałabym się całować z moim chłopakiem.

3. Mimo że uratowałam życie prezydentowi Stanów Zjednoczonych, wciąż nie spotkałam swojej idolki Gwen Stefani (przysłała mi wprawdzie dżinsową kurtkę ze swojej linii ubraniowej L.A.M.B., kiedy usłyszała, że uważam się za jej fankę numer jeden, ale pierwszego dnia, kiedy włożyłam tę kurtkę do szkoły, Liceum imienia Johna Adamsa, usłyszałam sporo zjadliwych komentarzy od kolegów, w rodzaju: „Teraz punkujemy, tak?” albo „Którędy do młyna pogo?” - co pokazuje, że śmiałe interpretacje nakazów mody nie są mile widziane w mojej grupie rówieśniczej).

2. Ci, którzy mnie znają chociaż trochę, wiedzą to wszystko, a jednak nadal z uporem twierdzą, że ja mam cudowne życie i że powinnam być wdzięczna za wszystkie te wspaniałe rzeczy, które mam, na przykład chłopaka, którego prawie nie widuję i rodziców, którzy wysłali mnie do tej fantastycznej szkoły, gdzie wszyscy mnie nienawidzą. No i za bliskie, osobiste związki z prezydentem, który czasami nie pamięta, jak mam na imię, i to mimo że zламаłam sobie rękę w dwóch miejscach, ratując mu życie.

A najważniejszy powód, dla którego beznadziejnie jest być mną, Samanthą Madison, to ten że;

1. Jeśli sama nie dokonam jakiejś drastycznej zmiany, marne są szanse, żeby cokolwiek miało się w najbliższej przyszłości polepszyć.

1

Być może to tłumaczy, dlaczego wreszcie zebrałam się na odwagę, żeby to zrobić.

Czyli dokonać zmiany. I to nie było jakiejś - na lepsze.

Kogo obchodzi, że moja siostra Lucy niekoniecznie się z tym zgadza?

Właściwie nie powiedziała, że jej się nie podoba. Nie, żebym się przejęła, gdyby nawet tak powiedziała. Nie zrobiłam tego dla niej. Zrobiłam to dla siebie.

I tak właśnie jej odpowiedziałam. To znaczy Lucy. Kiedy powiedziała na ten temat to, co miała do powiedzenia, czyli:

- Mama cię zabije.

- Nie zrobiłam tego dla mamy - odparłam. - Zrobiłam to dla siebie. Dla nikogo innego.

Nawet nie wiem, co ona robiła w domu. To znaczy Lucy. Czy nie powinna być na treningu cheerleaderek? Albo na meczu. Albo na zakupach ze swoimi przyjaciółkami, bo Lucy tak spędza większość wolnego czasu, gdy akurat nie pracuje w centrum handlowym - co praktycznie wychodzi na to samo, bo wszystkie jej przyjaciółki kręcą się koło Bare Essentials (tego butiku z bielizną, w którym płacą jej za nicnierobienie), kiedy ona tam jest, i razem z nią rozprawiają o ostatnich plotkach na temat J - Lo w „US Weelly” i pomagają jej składać stringi.

- Tak, ale ty nie musisz na siebie patrzeć - oznajmiła Lucy z za swojego biurka. Widziałam, że gada przez Instant Messengera ze swoim chłopakiem Jackiem. Pisze do niego na IM co rano przed szkołą, a potem wieczorem przed pójściem spać, a czasami nawet, jak teraz, pomiędzy, bo inaczej robi mu się przykro. Jack wyjechał na studia artystyczne w Rhode Island School of Design i odkąd jest daleko, robi się coraz bardziej niepewny jej uczuć. Lucy musi go niemal bez przerwy zapewniać, że nadal jej na nim zależy i że nie obściskuje się z jakimś palantem, którego poznała właśnie w Sunglass Hut czy gdzieś indziej.

Co jest trochę zaskakujące, bo zanim Jack wyjechał na studia, nie wydawał się szczególnie pozbawiony wiary w siebie. Widocznie studia zmieniają ludzi.

Ta myśl nie podnosi mnie na duchu, skoro mój chłopak, który jest w wieku Lucy, pójdzie na studia w przyszłym roku. Jack przynajmniej przyjeżdża co weekend zobaczyć się z Lucy, zamiast włóczyć się gdzieś z kumplami z uczelni. Mam nadzieję, że David też będzie tak robił.

Chociaż zaczynam się zastanawiać, czy Jack ich w ogóle ma. To znaczy kumpli z uczelni.

- Przecież ciągle widzę się w lustrze - odpowiedziałam na uwagę Lucy o tym, że nie muszę patrzeć na siebie. - A poza tym nikt cię nie pytał o zdanie.

I ruszyłam korytarzem na dół, kiedy zatrzymała mnie, widząc, że usiłuję przemknąć niepostrzeżenie koło otwartych drzwi jej pokoju.

- Świetnie! - zawołała za mną. - Ale tak dla twojej wiadomości: wcale nie wyglądasz jak ona.

Oczywiście musiałam zawrócić do drzwi jej pokoju i zapytać:

- Jak kto? Naprawdę nie miałam pojęcia, o kim ona mówi. Chociaż pewnie do tej pory powinnam już być mądrzejsza i nie pytać - przecież rozmawiałam z Lucy.

- No wiesz - odparła i upiła łyk coli light. - Jak ta twoja gwiazda. Jak jej tam? Gwen Stefani. Ona ma przecież jasne włosy. Nie czarne.

O mój Boże. W głowie mi się nie mieściło, że Lucy usiłuje mi tłumaczyć - mnie, największej fance - jakiego koloru są włosy Gwen Stefani.

- Jestem tego świadoma - odparłam i ruszyłam do schodów.

Ale po następnej uwadze Lucy znów zawróciłam pod jej drzwi.

- Ale wyglądasz jak ta inna laska. Jak jej tam?

- Karen O? - podsunęłam z nadzieją. Nawet mnie nie pytajcie, dlaczego uznałam, że Lucy mogłaby powiedzieć coś miłego, na przykład że wyglądam jak wokalistka Yeah Yeah Yeahs. Chyba nawdychałam się za dużo wodorotlenku amonu z tej farby do włosów, czy coś.

- Nie. - Lucy zastanawiała się chwilę, a potem strzeliła palcami. - Mam. Ashlee Simpson.

Wciągnęłam powietrze przez zęby. Człowiekowi mogą się przytrafić o wiele gorsze rzeczy niż wyglądać jak Ashlee Simpson - która, w gruncie rzeczy, wygląda całkiem fajnie - ale sam pomysł, że ktoś mógłby pomyśleć, że usiłuję naśladować jej wygląd, był do tego stopnia odpychający, że poczułam, jak doritos, których napchałam się po szkole, podjeżdżają mi do gardła. W tej akurat chwili nie mogłam sobie wyobrazić niczego gorszego. Lucy miała szczęście, że w pobliżu nie było żadnych ostrych przedmiotów, bo chybabym. ją zadźgała.

- Wcale nie wyglądam jak Ashlee Simpson - zdołałam wychrypieć.

Lucy tylko wzruszyła ramionami i skupiła się na ekranie komputera, jak zwykle nie okazując najmniejszego wstydu za swoje postęпки.

- A co mnie to obchodzi - mruknęła. - Jestem pewna, że tata Davida będzie zachwycony. Nie macie czasem w przyszłym tygodniu wystąpić w VH1, żeby promować ten jego głupi program *Powrót do rodziny*?

- W MTV - sprostowałam, ale poczułam się jeszcze gorzej, bo właśnie sobie

przypomniałam, że nawet nie zjrzałam do materiałów, które pan Green, sekretarz prasowy Białego Domu, dał mi, żeby mnie przygotować na tę szczególną okazję. Zresztą sami wiecie. Po tych wszystkich zadaniach domowych, lekcjach rysunku i pracy, ile czasu mi zostaje na zajęcia nastoletniej ambasadorki? Mniej więcej zero.

Poza tym dziewczyna musi umieć wybrać, co jest ważniejsze. A dla mnie ważniejsze było ufarbowanie włosów. Najwyraźniej po to, żebym wyglądała jak Ashlee Simpson.

- Doskonale wiesz, że to ma być w MTV - rzuciłam ostro, bo nadal mnie bolała uwaga Lucy o tej całej Ashlee. No i byłam na siebie wściekła, że jeszcze nie zaczęłam przeglądać tekstów, które powinnam wygłosić. A lepiej dokopać Lucy niż samej sobie. - I że to jest posiedzenie rady miasta i że będzie na nim prezydent. W Liceum imienia Johna Adamsa. Może zechcesz się tam wybrać, bo to świetna okazja, żeby pokazać te nowe różowe spodnie, które sobie kupiłaś w Betsey Johnson.

Lucy zrobiła niewinną minę.

- W ogóle nie wiem, o czym mówisz.

- Jesteś niesamowita! - Nie mogłam pojąć, jak Lucy może tak siedzieć i udawać, że nie wie, o co chodzi. Jakby ktokolwiek w szkole mówił o czymś innym. To znaczy, nie o tym, że MTV ma przyjechać do naszego liceum. W sumie wszyscy mieli gdzieś, że prezydent do nas przyjeżdża. To tym nowym seksownym prezenterem Randomem Alvarezem (on się naprawdę nazywa Random Alvarez!), który miał prowadzić ten głupi program, Lucy i jej przyjaciółki tak się podniecały.

I nie tylko Lucy i jej przyjaciółki. Kris Parks (która ma do mnie osobistą urazę i chociaż usiłuje to ukrywać, bo jestem narodową bohaterką i tak dalej, ja i tak widzę, jak ta uraza buzuje pod powierzchnią tych jej: „Cześć, Sam, jak się masz?”) spanikowała ostatnio, że w jej papierach jest za mało informacji o zajęciach pozalekcyjnych (jest tylko kapitanem młodszej drużyny cheerleaderek, ma odznaczenie National Merit Scholar i jest przewodniczącą samorządu naszego rocznika), więc założyła ten nowy klub - Właściwa Droga, który ma rzekomo zachęcać nastolatków do upominania się o ich prawo do tego, żeby mówili „nie” narkotekom, alkoholowi i seksowi.

Chociaż prawdę mówiąc, nie bardzo widzę, by ktokolwiek im to prawo kiedykolwiek odbierał. O ile wiem, nikt się nie wścieka na ludzi, którzy mówią: „Nie, dziękuję za piwo”, czy cokolwiek. Chyba że chłopak jakiejś dziewczyny, kiedy ona - no wiecie - nie chce z nim Tego robić.

Zauważyłam jednak, że ile razy jakaś dziewczyna - no wiecie - pójdzie na całość ze swoim chłopakiem, to dziewczyny z Właściwej Drogi, z Kris Parks na czele, są pierwsze w

kolejce, żeby ją nazwać dziwką.

Tak czy owak, ze względu na Właściwą Drogę, Kris jest jedną z uczennic, które wybrano do panelu dyskusyjnego na posiedzenie rady miasta, które ma się odbyć w Liceum imienia Adamsa. Odkąd się o tym dowiedziała, ciągle mówi, że to jej wielka szansa, bo wszystkie uczelnie należące do Ligi Bluszczowej zaczną do niej walić drzwiami i oknami, błagając, żeby poszła do nich na studia. I że pozna Randoma Alvareza i da mu swój numer telefonu komórkowego, i potem zaczną się ze sobą umawiać.

Przecież Random nawet nie spojrzy na Kris. Słyszałam, że on chodzi z Paris Hilton. „Chodzi” to wprawdzie nie jest najwłaściwsze słowo na to, co ze sobą robią, ale nieważne.

- Tak się składa - powiedziałam do Lucy - że właśnie dlatego to zrobiłam. To znaczy ufarbowałam włosy. Potrzebny mi był nowy wizerunek na to posiedzenie rady. Coś mniej w stylu... dziewczyny - która - uratowała - życie - prezydentowi.

- No cóż, to ci się z pewnością udało. - odparła. Potem dodała jeszcze: - Mama i tak cię zabije. - I wróciła do gadania z Jackiem przez IM, bo w czasie, kiedy wróciłam do jej pokoju, zdążył wysłać dwie wiadomości, które zignorowała. Pewnie teraz myślał, że Lucy od minuty zwraca uwagę na swojego drugiego chłopaka (tego wyobrazonego, z Sunglass Hut) zamiast na niego.

A przynajmniej tak brzmiało jego gniewne pinganie.

Powiedziałam sobie, że nie obchodzi mnie zdanie Lucy. Co ona w ogóle wie o modzie? Och, jasne, co miesiąc czyta „Vogue'a” od deski do deski.

Ale ja nie dążę do takiego wyglądu, jaki można znaleźć w „Vogue'u”. W przeciwieństwie do Lucy, próbuję wyrobić sobie własny styl, a nie taki, jaki dyktuje mi jakieś pismo.

Albo Ashlee Simpson.

Muszę jednak przyznać, że kiedy zesłam na dół, żeby wziąć kurtkę i jechać do miasta, oczekiwałam przyjemniejszej reakcji na mój nowy wizerunek niż ta, która mnie spotkała ze strony Theresy, naszej gosposi.

- *Santa Maria*, a coś ty zrobiła z głową?! - wykrzyknęła. Podniosłam dłoń do włosów nieco obronnym gestem.

- Nie podoba ci się? Theresa tylko pokręciła głową i znów wezwała imię mamy Jezusa. Chociaż nie wiem, co *Santa Maria* miała jej na to poradzić.

Moja młodsza siostra Rebecca podniosła głowę znad lekcji. (Ona chodzi do innej szkoły niż Lucy i ja. Chodzi do Horizon - szkoły dla dzieci szczególnie uzdolnionych, tej samej, do której chodzi mój chłopak David. Tam nie ma cheerleaderek ani apeli szkolnych,

ani nawet stopni i wszyscy muszą nosić szkolne mundurki, więc nikt nie wyśmiewa się z czyjś stylu. Szkoda, że nie mogę chodzić tam zamiast do Adamsa. Tylko że aby się dostać do Horizon, trzeba być geniuszem. A ja, chociaż wykazuję inteligencję, jak mówi moja pedagog szkolna pani Flynn, „powyżej przeciętnej”, geniuszem nie jestem).

- Moim zdaniem wyglądasz dobrze. - Taki był werdykt Rebecki co do moich włosów.

- Naprawdę? - Miałam ochotę ją ucałować. Dopóki nie dodała:

- Tak. Jak Joanna d'Arc. Tak naprawdę nikt nie wie, jak wyglądała Joanna d'Arc, bo istnieje tylko jedna jej podobizna, szkic nagryzmołony na marginesie akt procesu, w którym skazano ją na śmierć za czary. Ale wyglądasz trochę jak ona. To znaczy jak ten gryzmoł.

Chociaż to nieco lepsze niż być podobną do Ashlee Simpson, trudno, żeby podniosło mnie na duchu stwierdzenie, że jestem podobna do gryzmoła. Nawet jeśli ten gryzmoł przedstawia Joannę d'Arc.

- Twoi rodzice mnie zabiją - powiedziała Theresa. To było gorsze niż usłyszeć, że jestem podobna do gryzmoła.

- Jakoś sobie z tym poradzą - odparłam. Z większą nadzieją, niż naprawdę czułam.

- Czy to trwała farba? - spytała Theresa.

- Szampon koloryzujący - powiedziałam.

- *Santa Maria* - powtórzyła Theresa. A potem, widząc, że mam na sobie kurtkę, dodała: - A ty dokąd się wybierasz?

- Na lekcję rysunku - odparłam.

- Myślałam, że masz lekcje w poniedziałki i środy. Dzisiaj jest czwartek. - Teresy nie da się oszukać.

- To dodatkowe zajęcia - powiedziałam. - Tylko dla dorosłych.

Na lekcje do szkoły rysunku Susan Boone chodzi także mój chłopak. Czasami tylko tam możemy się zobaczyć, bo oboje jesteśmy tak strasznie zajęci.

Ale wcale nie dlatego chodzę na lekcje rysunku. Chodzę na nie, żeby poznać wszelkie arkana sztuki, a nie żeby się obściskać z moim chłopakiem. Chociaż zazwyczaj udaje nam się parę razy pocałować na klatce schodowej po zajęciach.

- Susan powiedziała, że jej zdaniem David i ja jesteśmy gotowi - dodałam.

- Gotowi na co? - chciała wiedzieć Theresa.

- Na bardziej zaawansowane zajęcia. Takie specjalne.

- Co to za zajęcia?

- Rysunek z natury - wyjaśniłam. Przywykłam już, że Theresa robi mi śledztwo trzeciego stopnia. Pracuje dla naszej rodziny od miliona lat i jest jak nasza druga mama. A

właściwie jest jak nasza pierwsza mama, bo prawdziwej mamy, ciągle zajętej karierą prawniczki specjalizującej się w kwestiach ochrony środowiska, prawie wcale nie widzimy. Theresa ma kilkoro własnych dzieci, ale wszystkie są już dorosłe, a niektóre mają swoje dzieci, więc nic już jej nie zaskoczy.

Nic poza rysunkiem z natury, spytała bowiem:

- A co to?

- No wiesz - sama nie byłam pewna, na czym to właściwie polega - w przeciwieństwie do martwej natury, stosów owoców i tak dalej. Zamiast przedmiotów będziemy rysowali przyrodę ożywioną... To znaczy ludzi.

Muszę przyznać, że byłam mocno podekscytowana perspektywą, że wreszcie zacznę rysować coś - cokolwiek - innego niż krowie rogi albo winogrona. Pewnie tylko jajogłowi ekscytują się takimi rzeczami. Ale co mi tam - mogę być jajogłowa. Z moimi nowymi włosami jestem przynajmniej jajogłową w stylu Goth.

Susan też robiła z tego wielkie halo. To znaczy z tego, że pozwoliła Davidowi i mnie przychodzić na lekcje rysunku z natury. Będziemy tam najmłodszy, powiedziała, bo to są lekcje dla dorosłych.

- Ale uważam, że jesteście oboje dość dojrzały, żeby sobie z tym poradzić - dodała.

I słusznie. Mam prawie siedemnaście lat, więc co niby mogłabym robić? Pluć w ludzi z rurki?

- No to muszę cię zawieźć do miasta. - Theresa miała rozzłoszczoną minę. - A przedtem Rebecę na lekcję karate...

- Chi kung - poprawiła ją Rebecca.

- Nieważne - burknęła Theresa. - Szkoła rysunku jest w samym centrum, w zupełnie przeciwną stronę...

- Wyluzuj - powiedziałam. - Pojadę metrem.

- To niemożliwe - obruszyła się Theresa. - Pamiętaj, co się stało ostatnim razem.

Tak. Miło, że mi przypomniała. Kiedy ostatnim razem usiłowałam jechać metrem, wpadłam w sam środek rodzinnego zjazdu - dosłownie, bo oni wszyscy mieli jasnożółte koszulki z napisem: *Uwaga, rodzina Johnsonów na wakacjach!* Rozpoznali mnie i otoczyli ciasnym kręgiem, dopytując się, czy jestem tą dziewczyną, która uratowała życie prezydentowi i domagając się autografów na tych swoich koszulkach. Wywołali takie zbiegowisko - rodzina Johnsonów należy do tych bardziej rozbudowanych - że straż z metra musiała przyjść mi na pomoc. Pozdejmowali ich ze mnie, a potem grzecznie mnie poprosili, żebym już więcej metrem nie jeździła.

To znaczy, straż z metra. Nie rodzina Johnsonów.

- No cóż - odparłam - ostatnim razem włosy miałam jeszcze rude i ludzie mogli mnie rozpoznać. Teraz - pokazałam na swoje nowe włosy - nie uda im się.

Theresa nadal miała niepewną minę. - Ale rodzice...

- ...chcą, żebym się nauczyła szacunku do pracy - powiedziałam. - A czy jest na to lepszy sposób, niż żebym korzystała z publicznego transportu z całą resztą plebejuszy?

Widziałam, że Rebecca była pod wrażeniem użytego przeze mnie słowa „plebejusze”, które wzięłam z podręcznika Lucy do egzaminu SAT. Chociaż Lucy nie poświęcała czasu na uczenie się z niego. A przynajmniej na to wskazywała jej reakcja, kiedy nazwałam ją sukubem (słowo do egzaminu SAT oznaczające złego ducha, który przybiera postać kobiety i przywodzi mężczyzn do nieświadomego grzechu we śnie), bo wzięła to za komplement.

Nie było łatwo przekonać Theresę, ale wreszcie mi się udało. Kiedy do ludzi wreszcie dotrze, że jestem już prawie dorosłą osobą, która może sama o siebie zadbać? No bo skoro jestem wystarczająco dojrzała, żeby brać lekcje rysunku - nie wspominając o pracy zarobkowej - to dlaczego nie miałabym sama pojechać do miasta metrem?

Nieważne. W każdym innym stanie miałabym do tej pory własny samochód. Takie już moje szczęście, że mieszkam w rejonie, gdzie regulacje dotyczące prowadzenia samochodów są niemal tak samo restrykcyjne jak prawa dotyczące posiadania broni.

W końcu Theresa pozwoliła mi pojechać... Ale czy miała inny wybór? Skoro tata pracuje do późna w swoim biurze w Banku Światowym, a mama jest całkowicie pochłonięta swoją ostatnią sprawą sądową, nie wyglądało na to, żeby mogła wezwać ich na pomoc. I tak rzadko udaje im się wracać do domu na obiad - darowali sobie ten cały pomysł, żebyśmy jak normalna rodzina znajdowali czas na wspólne posiłki - a co dopiero mówić o pilnowaniu, co robią ich córki.

Nie żebyśmy potrzebowały nadzoru. Każda z nas jest pochłonięta własnymi zajęciami - dla mnie to popołudniowe lekcje rysunku, Potomac Video i obowiązki nastoletniej ambasadorki, dla Lucy - drużyna cheerleaderek albo centrum handlowe, czy to zawodowo, czy towarzysko, a dla Rebecki... no cóż, biorąc pod uwagę jej lekcje gry na klawirze, spotkania klubu szachowego, qigong i cokolwiek jeszcze ma w tym swoim dziwacznym rozkładzie zajęć dziewczyny - geniusza, to istny cud, że w ogóle ją czasem widzimy.

Z przyjemnością wyszłam z domu na chłodne listopadowe powietrze. I cieszyłam się, że moje obowiązki nastoletniej ambasadorki zmusiły Biały Dom do kupienia mi telefonu komórkowego. Przynajmniej na to nie muszę oszczędzać z moich marnych zarobków. Lucy sama płaci za swój telefon (w każdym razie za wszystkie rozmowy poza tymi z mamą albo

tatą, kiedy pyta, czy może zostać dłużej na imprezie, na której w danej chwili jest).

Ja telefon mam za darmo.

Chyba jednak rola narodowej bohaterki ma swoje plusy.

- Halo? - Ucieszyłam się, słysząc, że odebrała moja przyjaciółka Catherine, a nie jej rodzice albo młodszy bracia. Catherine nie ma własnej komórki, więc musiałam do niej zadzwonić na stacjonarny domowy telefon.

- To ja - powiedziałam. - Zrobiłam to.

- I jak wyszło? - zapytała Catherine.

- Moim zdaniem wyglądam dobrze - odparłam. - Rebecca mówi, że wyglądam jak Joanna d'Arc.

- Była śliczna! - powiedziała Catherine, dodając mi otuchy. - To znaczy, dopóki jej nie spalili. A co mówi Lucy?

- Że wyglądam jak Ashlee Simpson.

- Super! - rozkliwiła się Catherine.

Widzicie, to jest właśnie problem z Catherine. To znaczy, ona jest moją najlepszą przyjaciółką i kocham ją z całej duszy. Ale czasami mówi takie rzeczy, że boję się o nią. Naprawdę. Bo co ją spotka, kiedy wreszcie ruszy w duży, prawdziwy świat? Ludzie zjedzą ją żywcem.

- Catherine - powiedziałam. - Ja nie chcę, żeby ludzie myśleli, że naśladowuję wygląd Ashlee Simpson. To nie byłoby czadowe.

- Och! - westchnęła Catherine. - Okay. Przepraszam. - Przez chwilę chyba się nad tym zastanawiała, a potem spytała: - A co jeszcze powiedziała Lucy?

- Że mama mnie zabije.

- Och! - westchnęła znowu. - Kiepska sprawa.

- Mam to gdzieś - powiedziałam, idąc zasłaną opadłymi liśćmi ulicą.

Mieszkamy w Cleveland Park, skąd wcale nie jest tak daleko na Pennsylvania Avenue numer 1600, czyli do Białego Domu, gdzie mieszka mój chłopak. Prawie wszyscy, którzy chodzą do Adamsa, mieszkają w mojej okolicy albo na Chevy Chase, sąsiedniej dzielnicy, gdzie mieszkał chłopak Lucy Jack, zanim wyjechał na studia.

- To moja głowa - powiedziałam do telefonu. - Powinnam móc z nią robić, co mi się podoba.

- Władza w ręce ludu - zgodziła się Catherine. - Jedziesz teraz do szkoły rysunku?

- Tak - potwierdziłam. - Metrem.

- Powodzenia. Uważaj na wszystkie rodziny Johnsonów na wakacjach. I daj mi znać,

co powiedział David. Na temat twoich włosów.

- Over, bez odbioru - powiedziałam żartem, bo tak się zawsze żegnałyśmy, rozmawiając przez walkie - talkie jako dzieci. Komórki są zupełnie jak walkie - talkie. Tylko drożej kosztują. Szkoda, że rodzice Catherine nie chcą jej kupić komórki. Rodzice Catherine są bardzo surowi, nie pozwalają jej nawet rozmawiać przez telefon z chłopakami, a co dopiero umawiać się na randki, chyba że takie grupowe, co jej i jej chłopakowi mocno utrudniało życie... To znaczy, kiedy jeszcze Catherine miała chłopaka. Ojciec jej chłopaka, dyplomata, został przeniesiony na placówkę w Katarze i teraz ona i Paul bawią się w ten związek na dużą odległość jak Lucy i Jack...

Tyle że Katar jest o wiele dalej niż Rhode Island, więc Paul nigdy nie może przyjeżdżać na weekendy.

Poza tym że rodzice Catherine nie chcą jej kupić telefonu komórkowego, nigdy nie pozwalają jej jeździć metrem samej. W sumie moi też nie byłiby tym pomysłem zachwyceni, gdyby o nim wiedzieli. Nie dlatego, że się boją, że mogłabym się zgubić albo ktoś mógłby mnie porwać i sprzedać jako białą niewolnicę (co zdarza się o wiele częściej na środkowym zachodzie, w takich centrach handlowo - rozrywkowych jak The Mall of America, niż w naszym metrze... Wiem o tym, bo oglądałyśmy z Rebeccą cały odcinek *National Geographic Explorer* na ten temat), ale ze względu na ten epizod z rodziną Johnsonów.

Niestety, nie martwią się aż tak bardzo, żebym się mogła wykręcić od pracy w Potomac Video.

Ale od razu zobaczyłam, że dzięki nowemu kolorowi włosów tym razem będzie inaczej. Nikt w metrze mnie nie rozpoznał. Nikt nawet nie wrócił do mnie spojrzeniem, jakby chciał sobie przypomnieć, gdzie mnie już kiedyś widział. Udało mi się dotrzeć na sam róg R i Connecticut - dokładnie naprzeciwko Kościoła sejentologicznego - gdzie mieści się studio Susan Boone, a ani jedna osoba nie odezwała się: „Hej, czy ty nie jesteś czasem Samantha Madison?” albo: „Hej, czy to nie o tobie puszczały w kinach latem film?”

Byłam taka podekscytowana, że chociaż raz nikt mnie nie rozpoznał, że biegiem minęłam Static, sklep z płytami zaraz obok studia, nawet się nie zatrzymując, żeby sprawdzić, czy mają coś dobrego... No, na chwilę przystanąłam, żeby podziwiać swoje odbicie w witrynie. Byłam nabuzowana faktem, że najwyraźniej wyglądam na tyle inaczej, że ludzie mnie nie rozpoznają.

Bo jeśli o mnie chodzi, inaczej może oznaczać tylko lepiej.

Chociaż nie byłam całkiem pewna, czy David, który wpadł do studia parę minut później, zgodzi się ze mną. Spojrzał w moją stronę, a potem minął mnie, jakby szukał kogoś

innego...

...i stanął jak wryty, kiedy zdał sobie sprawę, że dziewczyna siedząca okrakiem na ławeczce do rysowania tuż przed nim to naprawdę ja.

Z jego miny nie umiałam odczytać, czy moje włosy mu się podobają, czy nie. No bo uśmiechał się, ale to nic nie znaczy. David jest generalnie bardzo pogodnym facetem - nie takim humorzastym jak Jack, chłopak Lucy, chociaż na swój sposób David to artysta równie utalentowany co Jack, a może nawet bardziej. Przynajmniej ja tak sądzę.

Moim zdaniem David jest też o wiele przystojniejszy niż Jack, z tymi swoimi zielonymi oczami - naprawdę są zielone; wcale nie piwne, tylko zielone, jak trawa na Wielkim Trawniku wiosną - i z tymi miękkimi, kręconymi brązowymi włosami.

Nie, żeby to był jakiś konkurs - czyj chłopak jest seksowniejszy, mój czy mojej siostry.

Ale prawdę mówiąc, mój jest totalnie seksowniejszy. Chociaż spotykamy się już ponad rok, nadal serce mi tak śmiesznie podskakuje, ilekroć go widzę... To znaczy Davida. Rebecca mówi, że to się nazywa *frisson*.

Nie mam pojęcia, jak to się nazywa ani co to wywołuje. Wiem tylko, że Kocham Davida. Jest taki... cały tutaj. Kiedy wchodzi do pokoju, nie tylko wchodzi do niego... on go wypełnia, chyba dlatego że jest taki wysoki i taki potężnie zbudowany. A gdy mnie całuje, musi się bardzo pochylać, żeby dosięgnąć moich ust, i bardzo często bierze moją twarz w dłonie, żeby ją przytrzymać...

To super seksowne.

Ale nie tak seksowne, jak czasem jego spojrzenie... Na przykład jak teraz.

Moi rodzice, poza tym swoim „szacunkiem dla pracy”, uparli się też przy „stymulowaniu samowystarczalności” (co oznacza, że mamy same robić swoje pranie, a nie zostawiać je Theresie), żebyśmy nauczyły się funkcjonować jako normalne - czytaj: schludne - jednostki społeczne. Więc jedyną czystą rzeczą, jaką znalazłam do włożenia na tę lekcję (bo zapomniałam, że mam zrobić pranie), był czarny podkoszulek, który przysłali mi z Nike, w nadziei że go włożę na następny występ w telewizji - na przykład na przyszlotygodniowe posiedzenie rady miasta nadawane w programie MTV.

To kolejna zaleta bycia narodową bohaterką... Dostajesz ubrania za darmo, i tak dalej.

Tylko że, chociaż bardzo lubię Nike, usiłuję nie dopuszczać się nachalnego promowania produktu. Więc nigdy wcześniej nie nosiłam tej koszulki. I dlatego nie wiedziałam, dopóki nie zobaczyłam wyrazu twarzy Davida, że ona chyba jest seksowna. To znaczy, ta koszulka. Nie mam wielkiego biustu - ani też maleńkiego. Jest po prostu normalny

- ale ta koszulka jest jakaś taka obcisła i chyba sprawia, że mój biust sterczy bardziej niż zwykle... No i ma dekolt w serek, więc pokazuje zdecydowanie więcej „przedziałka” niż koszulki, które zwykle wkładam.

Co być może wyjaśnia, dlaczego David, gdy mnie wreszcie poznał, nie zauważył moich włosów. Bo ledwo mnie zauważył, skierował spojrzenie prosto na moją klatkę piersiową. A potem, kiedy usiadł na ławeczce obok mnie, powiedział tylko:

- Cześć, Sharona.

- Cześć, Daryl - odparłam.

Daryl i Sharona to nasze imiona dla białej hołoty.

No wiecie, wyobrażamy sobie, że takie imiona nosilibyśmy, gdybyśmy się urodzili w przyczepie kempingowej zamiast w Cleveland Park (w moim przypadku) albo w Houston w stanie Teksas (w przypadku Davida).

Przy czym wcale nie twierdzę, że każdy, kto ma na imię Daryl albo Sharona, to od razu biała hołota, ani nawet, że należy do niej każdy, kto się urodził w przyczepie kempingowej. Tylko że gdybyśmy akurat my należeli do białej hołoty, to pewnie takie imiona byśmy nosili...

Pary po prostu tak mają. No wiecie, ludzie, którzy długo ze sobą chodzą, robią rzeczy zrozumiałe tylko dla nich. Na przykład moja mama i tata czasem mówią do siebie Pyszczku - to tekst z jakiegoś serialu, który kiedyś razem oglądali. Ten Daryl i Sharona to coś podobnego.

Tylko nie tak obrzydliwego.

- Podoba mi się twoja koszulka - powiedział do mnie David/Daryl.

- Tak - odparłam. - To dość widoczne.

- Powinnaś częściej nosić takie koszulki - dodał David/ Daryl, ani odrobinę się nie wstydząc, że przygląda mi się tak bezczelnie i filuternie (słowo do egzaminu SAT oznaczające, że się patrzy na kogoś sprytnie i figlarnie).

- Postaram się o tym pamiętać - powiedziałam. - Możesz trochę unieść wzrok? Na moje włosy?

Nadal nie odrywał oczu od mojej koszulki.

- Są czarne - powiedział. Pokiwałam głową.

- Zgadza się. A coś jeszcze? Na przykład... czy ci się podobają?

- Są... - Spojrzał jeszcze raz na moją głowę. - Są bardzo czarne.

- Tak - potwierdziłam. - Ta farba nazywa się Midnight Ebony. Co kazało mi wierzyć, że pewnie będzie czarna. Ale chciałam się dowiedzieć, czy ci się podobają?

- No cóż - odparł - w najbliższej przyszłości nie będziesz się musiała martwić, że ktoś nazwie cię rudzielcem.

- Zdaję sobie z tego sprawę - stwierdziłam. - Ale czy twoim zdaniem te włosy są ładne?

- Wyglądają... - David znów opuścił wzrok na moją klatkę piersiową. - Świetnie.

No pięknie. Zastanawiam się, czy w Nike zdają sobie sprawę, jak ich koszulki oddziałują na gałki oczne chłopaków. A przynajmniej mojego. I tyle pozostało z nadziei, że David powie mi szczerze, czy mi do twarzy z tą odmianą. Chyba będę musiała poczekać, aż...

- Coś ty, na Boga, zrobiła z włosami? - Susan Boone była przerażona.

- Ufarbowałam je - powiedziałam, nawijając na palec luźno zwisający lok. Z jej miny nie wynikało, czy jej się podoba, czy nie. Wyglądała zupełnie jak Theresa i Lucy. To znaczy, osłupiała. - Nie podoba się pani?

Susan przygryzła dolną wargę.

- Wiesz co, Sam? - odparła. - Tysiące kobiet byłyby gotowe zabić, żeby tylko mieć taki kolor włosów jak twój dawny rudy. Mam nadzieję, że ta czerń nie jest, hm, permanentna?

- To zmywalny szampon - odrzekłam słabo. Studio zapełniało się uczniami rysunku z natury. Poza Robem, agentem Służb Specjalnych ochraniającym Davida (jako pierwszy syn, David nigdzie nie może się ruszyć, żeby nie ciągnął się za nim przynajmniej jeden agent Służb Specjalnych), nie rozpoznawałam tu nikogo.

Ale chociaż nie znałam żadnej z osób z czwartkowych zajęć, wszyscy słuchali naszej rozmowy - to znaczy Susan i mojej.

Och, udawali, że nie słuchają, i przekładali te swoje węgle i bloki, siadając na miejscach.

Ale słuchali. To było widać.

- Po prostu potrzebowałam jakiejś odmiany - wyjaśniłam, usiłując obronić swoją - najwyraźniej błędną - decyzję.

- No cóż, to twoja głowa. - Susan wzruszyła ramionami. A potem wskazała wojskowy hełm, który David podarował mi w zeszłym roku, ten ozdobiony stokrotkami namalowanymi korektorem, który leżał na półce nad zlewem do mycia pędzli. - Pewnie nie będzie ci już potrzebny.

Miała rację. Nosiłam go tylko dlatego, że ulubieniec Susan, kruk Joe, miał obsesję na tle moich rudych włosów i często atakował mnie z lotu, jeśli nie zakładałam na głowę jakiegoś ochronnego sprzętu. Spojrzałam na to wściekle ptaszysko, zastanawiając się, czy teraz zostawi mnie w spokoju.

Joe, pochłonięty stroszeniem piór, nie zwracał uwagi na nikogo - a już najmniej na biedną małą Sam z włosami w odcieniu Midnight Ebony.

Tak! Podziałało! Nie będę się już musiała martwić Joem.

- Moim zdaniem wyglądają dobrze - powiedział David, który najwyraźniej wreszcie zdołał zauważyć coś innego niż sposób, w jaki mój biust prezentuje się w nowej koszulce.

- Naprawdę? - spytałam, nie śmiąc robić sobie zbyt wielkich nadziei. Wreszcie jakaś pozytywna reakcja (ze strony kogoś, kto widzi mnie na własne oczy, bo telefoniczne zapewnienia Catherine się nie liczą). - Nie są za bardzo, hm, w stylu Ashlee Simpson?

David pokręcił głową.

- Nie ma mowy - odparł. - Raczej jak Enid z *Ghost World*. A ponieważ o dokładnie taki efekt mi chodziło, rozpromieniłam się.

- Dzięki - powiedziałam. On naprawdę jest najlepszym chłopakiem pod słońcem. Nawet jeśli ma lekką obsesję na punkcie mojej klatki piersiowej.

- Dobrze, moi drodzy - powiedziała Susan, stając obok niewielkiego podwyższenia na środku pracowni, które zakryła jaskrawą aksamitną narzutą. - Witajcie na zajęciach rysunku z natury. Jak widzicie, mamy tu parę nowych osób. To są David, Rob - wskazała ochroniarza Davida - i Samantha.

Wszyscy wymamrotali do nas jakieś powitanie. Nie umiałam stwierdzić, ilu z nich rozpoznało Davida i mnie z telewizji. Może nikt. Może wszyscy. W każdym razie zachowali się fajnie, bo nie gapili się, nie chichotali i wcale się nie zamieniali w jakąś rodzinę Johnsonów na wakacjach. Nie, że bym się tego po nich spodziewała, skoro wszyscy byli dorośli, a w dodatku byli artystami. No bo można się spodziewać, że artyści zachowają żdziebko (słowo do egzaminu SAT oznaczające niewielką ilość czegoś) godności w porównaniu z, powiedzmy, przeciętnym, niebędącym artystą dorosłym.

- W takim razie zaczynajmy - oznajmiła Susan i zawołała do kogoś, kto kręcił się na zapleczu pracowni. - Terry?! Czekamy na ciebie.

Terry, wysoki chudzielec po dwudziestce, wszedł spokojnie na platformę, z jakiegoś powodu ubrany wyłącznie w szlafrok. Pomyślałam, że może to dlatego, że mamy wykonać jakiś rysunek w stylu klasycznym.

I nawet się ucieszyłam, bo nie miałam pojęcia, że będziemy rysowali modeli ubranych w stroje historyczne.

Widziałam też, że zapowiadało się znacznie trudniejsze zadanie niż rysowanie owoców czy krowich rogów. Szlafrok Terry'ego miał kwiatowy orientalny wzór, który trudno będzie oddać. Zwłaszcza w fałdach materiału.

Z trudem powstrzymałam westchnienie radosnego oczekiwania. Wiem, że tylko jajogłowy może się ekscytować tym, że będzie rysować orientalny wzór kwiatowy. Ale ja jestem jajogłowa. A przynajmniej tak mnie nazywają moi rówieśnicy za każdym razem, kiedy otworzę usta, nawet jeśli tylko po to, żeby powiedzieć coś równie niewinnego jak to, że Gwen Stefani napisała *Simple Kind of Life* w przeddzień nagrania tej piosenki przez No Doubt.

Terry wszedł na podwyższenie, a ja zobaczyłam, że wcale nie będzie mi trudno odtworzyć ten kwiatowy orientalny wzór na jego szlafroku. Bo gdy tylko wzięłam do ręki ołówek, Terry szarpnął za pasek i pozwolił szlafrokowi opaść swobodnie na ziemię.

A pod spodem był...

...no cóż, zupełnie nagi.

Dziesięć razy byłam w życiu naprawdę zaszokowana:

10. Kiedy Gwen Stefani wydała solowy album. Nie zrozumcie mnie źle, bo uważam, że to świetnie. Ale co z resztą grupy? Martwię się o nich, to tyle. Oczywiście poza Tonym, bo to on złamał jej serce.

9. Kiedy odwołano ślub J - Lo i Bena Afflecka. Poważnie. Naprawdę myślałam, że oni są dla siebie stworzeni. I o co chodzi z tym Markiem Anthonym? No bo przecież on jest od niej niższy, prawda? Nie, żebym miała coś przeciwko temu. Ale wybrała sobie chyba jedynego faceta, któremu może dokopać *P Diddy*. A to już przesada.

8. Kiedy Lindsey Lohan zagrała w tym całym *Kochanym chrabąszczu*. Serio. Po co w ogóle robić nowe wersje takich filmów? Jakim cudem ktoś mógł kiedykolwiek uznać, że to dobry pomysł?

7. Kiedy zaliczyłam wstępny kurs z niemieckiego.

6. Kiedy syn Theresy, Tito, zdał na politechnikę. A potem zaliczył pierwszy semestr z wyróżnieniem.

5. Na widok mojej siostry Lucy własnoręcznie robiącej pranie.

4. Kiedy Britney Spears wyszła za mąż za tego swojego tancerza z zespołu. Czy ona się niczego nie nauczyła od J - Lo?

3. Kiedy Kristen Parks zaprosiła mnie na swoje szesnaste urodziny do parku tematycznego Six Flags (wcale nie poszłam).

2. Kiedy mój chłopak dostał takiej fiksacji na punkcie mojej klatki piersiowej, że nawet nie zauważył mojej nowej fryzury, czytaj: koloru włosów.

A najbardziej i najmocniej zaszokowana byłam, kiedy:

1. Okazało się, że pierwszy facet, jakiego widzę nago, to zupełnie obcy człowiek.

No dobra, już wcześniej ich widywałam. To znaczy nagich facetów. W telewizji. W Nowym Jorku, gdzie pojechałam w ramach obowiązków nastoletniej ambasadorki. Tam jest cały kanał kabłówki ogólnego dostępu poświęcony nagim facetom.

I oczywiście widziałam zdjęcia posągu *Dawida* Michała Anioła. Nie wspominając o całym dziale sztuki klasycznej w National Gallery, który - no wiecie - składa się głównie z aktów.

Widziałam też nago swojego ojca. Ale przypadkiem, kiedy akurat podskakiwał i kłął, bo wyszedł spod prysznic i zobaczył, że Lucy zużyła wszystkie ręczniki, żeby po praniu odsączyć z wody swoje kaszmirowe swetry, czy coś.

Ale pierwszy nagi facet niebędący moim krewnym, którego widzę z bliska i na własne oczy? Kompletnie się nie spodziewałam, że to będzie ktoś, kogo nie znałam nawet pięciu minut.

Prawdę mówiąc, uważałam, że pierwszym nagim facetem, którego zobaczę z bliska i na własne oczy, będzie mój chłopak David.

A przynajmniej taką miałam nadzieję. No i nie poszło zgodnie z planem.

Rozejrzałam się wkoło, żeby sprawdzić, czy ktoś poza mną jest równie zdziwiony widokiem Terry'ego rozebranego do rosołu.

Wszyscy byli zajęci rysowaniem. Nawet David. Nawet Rob.

Czy oni poszaleli? Czy ja jestem jedyną normalną osobą w tej pracowni? Dlaczego tylko ja pomyślałam: Przepraszam?

Czy może ktoś zauważył, że w tym pomieszczeniu jest nagi mężczyzna? Czy tylko ja mam z tym problem?

Najwyraźniej tak. Nikt inny nawet okiem nie mrugnął. Po prostu wzięli ołówki i zaczęli szkicować.

No dobra, widocznie coś tu do mnie nie docierało.

Pozostało mi tylko udać, że gumka mi spadła na ziemię, a kiedy się schyliłam, żeby ją podnieść, szybko rzuciłam okiem na ich bloki. To znaczy Davida i Roba. Chciałam sprawdzić, czy - no wiecie - będą rysowali Terry'ego w całości, czy może grzecznie zostawią puste miejsce wokół jego... sami wiecie czego. Bo może tak należało to zrobić. Nie wiedziałam. Nie mogłam nawet wypowiedzieć tego słowa, a miałabym to narysować?

Zobaczyłam, że chociaż nie robili z sami wiecie czego centralnego punktu swojego

rysunku, i David, i Rob ujęli tę rzecz w ogólnym szkicu.

Najwyraźniej oni nie mieli problemu z narysowaniem jakiegoś gołego faceta.

Ale ja byłam tym wszystkim mocno wytrącona z równowagi. Dlaczego nikt inny nie był? Może łatwiej jest to rysować, kiedy się to ma. Wiecie co, ten element wyposażenia.

I dlaczego akurat Terry był nagim modelem w szkole rysunku? Przecież nawet nie jest przystojny. Jest taki chuderlawy, prawie wcale nie ma mięśni, za to na lewym bicepsie ma tatuaż, serce przebite strzałą. W sumie ze swoimi długimi blond włosami i kędzierzawą brodą bardzo przypomina Jezusa.

A ja jeszcze nie widziałam obrazów nagiego Jezusa.

- Sam?

Susan mówiła prawie szeptem - zawsze w czasie zajęć mówi jeszcze ciszej niż radio nastawione na jakąś stację nadającą kojącą nerwy muzykę klasyczną.

Ale chociaż Susan mówiła tak cicho, aż podskoczyłam. Bo muzyka klasyczna nie wystarczyła, żeby ukoić moje nerwy pobudzone obecnością nagiego faceta.

- Co? - warknęłam, czując, że robię się czerwona. Ta skłonność do rumienienia się bez żadnego powodu to efekt kłatwy rudych włosów. Policzki coraz bardziej mnie paliły. Zastanawiałam się, czy przy moich nowych czarnych włosach rumieniec będzie tak samo widoczny jak wtedy, kiedy policzki zabarwiały mi się na ten sam odcień co włosy. Teraz chyba jeszcze bardziej rzucał się w oczy. No wiecie, kontrast między czarnym a różowym. W dodatku brwi miałam nadal rude. Tylko rzęsy pociągnęłam sobie czarnym tuszem.

- W czym problem? - Susan przykucnęła koło mojej ławeczki. - Dlaczego nie rysujesz?

- Nie ma żadnego problemu - powiedziałam szybko. Za szybko i chyba za głośno, bo David spojrział w moją stronę, uśmiechnął się lekko i wrócił do rysowania.

- Jesteś pewna? - Susan spojrzała na Terry'ego. - Masz stąd punkt widzenia pod świetnym kątem. - Wzięła kawałek węgla z leżącego przede mną piórnika i naszkicowała na moim bloku zarys sylwetki Terry'ego. - Stąd możesz zobaczyć jego więzadło pachwinowe. To ta linia prowadząca od biodra do krocza. U Terry'ego jest dość wydatna...

- Hm - mruknęłam, czując się niezręcznie. Musiałam coś powiedzieć. Musiałam. - No właśnie. Nie spodziewałam się, że będę oglądać jego więzadło pachwinowe.

Susan podniosła wzrok znad bloku i spojrzała na mnie. Musiała coś dostrzec w moim wyrazie twarzy, bo oczy jej się rozszerzyły i powiedziała:

- Och.

Zrozumiała.

- Ale... - szepnęła - czego się spodziewałaś, Sam, kiedy cię pytałam, czy jesteś zainteresowana dołączeniem do *grupy* rysunku z natury?

- Że będę rysować z natury - odszepnęłam. - A nie, że będę rysować nagich facetów.

- Ale to właśnie oznacza rysowanie z natury - powiedziała Susan z taką miną, jakby próbowała opanować uśmiech. - Każdy artysta musi umieć rysować ciało ludzkie, a nie można się tego nauczyć, nie widząc mięśni i struktury kostnej kryjącej się pod ubraniem. Rysowanie z natury zawsze oznaczało nagiego modela.

- Cóż, teraz już rozumiem - szepnęłam.

- O rany. - Susan już nie wyglądała, jakby jej się zbierało na uśmiech. - Po prostu przyjąłam... to znaczy naprawdę myślałam, że wiesz.

Zauważyłam, że David patrzy w naszą stronę. Nie chciałam, żeby pomyślał, że coś jest nie tak. No bo ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to żeby mój chłopak pomyślał, że dostałam pietra na widok gołego faceta.

- Wszystko gra - powiedziałam, biorąc do ręki ołówki i marząc, żeby Susan wreszcie sobie poszła i zostawiła mnie z moim rumieńcem w spokoju. - Już rozumiem. Nie ma sprawy.

Ale Susan Boone nie wyglądała na przekonaną.

- Jesteś pewna? - dopytywała się. - Wszystko w porządku?

- Jest kapitalnie - zapewniłam.

O Boże. Nie mogłam uwierzyć, że powiedziałam „kapitalnie”. Widzę gołego faceta i stać mnie tylko na „kapitalnie”?

Nie wiem, jak mi się udało dotrzeć do końca zajęć. Próbowałam się skoncentrować na rysowaniu tego, co widziałam przed sobą, a nie tego, co wiedziałam - tak jak *uczyła* mnie Susan w czasie naszych pierwszych lekcji. Nadal wiedziałam, że rysuję nagiego faceta, ale pomagało mi, kiedy koncentrowałam się na tym, że tu widzę jakąś linię, a tamtędy przechodzi następna, tu jest cień, a tam inny, i tak dalej. Rozbijając Terry'ego na wiele płaszczyzn i zagłębień, zdołałam stworzyć w miarę realistyczny i nawet całkiem niezły jego wizerunek (jeśli nawet to tylko moja opinia).

A kiedy pod koniec lekcji Susan poprosiła nas o ustawienie bloków na parapecie okna, żebyśmy mogli ocenić nawzajem swoje prace, zobaczyłam, że moja nie jest ani gorsza, ani lepsza od pozostałych. I naprawdę nie było po niej widać, że pierwszy raz w życiu rysowałam nagiego faceta.

Susan powiedziała, że nie udało mi się scalić przedmiotu mojej pracy z tłem. Co oznaczało, że na moim rysunku był tylko Terry, który unosił się w przestrzeni, nie mając żadnego zaczepienia w jakimś otoczeniu.

- To, *co narysowałaś*, Sam - *orzekła* Susan - *to bardzo* przyzwoite przedstawienie poszczególnych części. Ale musisz się nauczyć myśleć o rysunku jako o całości.

Nie przejęłam się krytyką Susan co do tych części przeciwstawionych całości, bo wiedziałam, że to w ogóle cud, że udało mi się cokolwiek narysować, biorąc pod uwagę szok wywołany nagim facetem.

Kiedy wszyscy szykowaliśmy się do wyjścia, Terry podszedł do mnie i zagaił:

- Podobał mi się twój rysunek. Czy ty czasem nie jesteś tą dziewczyną, która uratowała prezydenta?

Na szczęście zdążył już włożyć dzinsy, mogłam więc spokojnie spojrzeć mu w oczy i powiedzieć:

- Tak.

Pokiwał głową i rzekł:

- Tak właśnie myślałem. To było, no wiesz, bardzo odważne. Ale... hm... coś ty zrobiła z włosami?

- Miałam ochotę na małą odmianę - odparłam dziarsko.

- Aha - powiedział Terry i chyba się nad tym zastanowił.

- No cóż, to świetnie. Niby miłe słowa, ale raczej mało podnoszące na duchu.

Biorąc pod uwagę, że powiedział je ktoś, kto zarabia na życie, stojąc na podium zupełnie bez ubrania.

Chyba jednak nie zachowywałam się tak swobodnie, jak mi się wcześniej wydawało, bo po drodze do samochodu David - zaproponował, że podrzuci mnie do domu - zapytał, z trudem tłumiąc śmiech:

- Co sądzisz o... więzadle pachwinowym Terry'ego?

O mało nie zakrztusiłam się miętówką, którą właśnie włożyłam do ust.

- Cóż... - odparłam. - Widziałam większe.

- Naprawdę? - z głosu Davida zniknęło rozbawienie. - Jest dosyć... hm... wydatne.

- Nie tak wydatne jak kilka innych, które widziałam - powiedziałam, mając na myśli facetów z manhattańskiej kablówki ogólnego dostępu.

A potem, widząc wyraz twarzy Davida, zastanowiłam się, czy on rozumie, co mam na myśli - to znaczy, że tych facetów widziałam w telewizji.

I czy rzeczywiście rozmawiamy o więzadle pachwinowym.

- Mam nadzieję, że następnym razem to będzie modelka - odezwał się Rob, spoglądając ze smutkiem na swój blok rysunkowy. - W przeciwnym razie będę się musiał gęsto tłumaczyć facetom z biura.

David i ja roześmialiśmy się - ja nieco nerwowo, bo nadal byłam trochę zaszokowana. Wiem, że jako artystka powinnam patrzeć na nagie ciało ludzkie właśnie tak - jako na nagie ciało, przedmiot dzieła, które tworzę.

Nie mogłam jednak przestać myśleć o sami wiecie czym Davida i zastanawiać się, czy jest równie duży jak Terry'ego (pewnie nie, sądząc po jego reakcji na moją uwagę o więzadle pachwinowym).

Zastanawiałam się też, czy w ogóle chciałabym zobaczyć sami wiecie co Davida. Do tej pory byłam pewna, że tak. No wiecie. Kiedyś.

Teraz nie byłam już taka pewna.

Nie o to chodzi, żebyśmy mieli wiele okazji do robienia razem takich rzeczy. Wręcz przeciwnie. Znaleźć chwilę na osobności z synem przywódcy wolnego świata to nie lada osiągnięcie. Zwłaszcza że dokoła zawsze snuje się jakiś facet ze słuchawką w uchu.

Ale robiliśmy, co się dało. Pozostawał, rzecz jasna, mój dom. Wprawdzie moi rodzice wyznają zasadę, że chłopcom nie wolno wchodzić do sypialni, oni jednak nie siedzą w domu cały czas. A Theresy zazwyczaj nie ma w weekendy. Kiedy wszyscy gdzieś pójda - na mecz Lucy albo pokaz qigongu Rebecki czy coś - David i ja mamy okazję pobawić się w hokeja językami, a czasami nawet więcej. W ostatnią niedzielę między nami zrobiło się tak - no cóż, gorąco - że nawet nie usłyszeliśmy, jak trzasnęły wejściowe drzwi. Tylko dzięki temu, że Manet, mój pies, zbiegł na dół, żeby przywitać tego kogoś, kto wrócił do domu tak wcześnie - Rebecca przyjechała po imprezie z noclegiem u koleżanki z Instytutu Smithsonian - udało nam się uniknąć przyłapania w nader kompromitującej sytuacji.

Nie, żeby na Rebecce miało to zrobić jakieś wrażenie. Gdy zeszliśmy po schodach, zachowując się, jakbyśmy zajmowali się czymś ekscytującym nie bardziej niż praca domowa, powiedziała tylko:

- Ludzie, czy wy wiecie, że kwasy tłuszczowe typu trans, które znajdują się na przykład w ciastkach Oreos, stanowią zaledwie pięć dziesiątych procenta dziennego spożycia kalorii u Europejczyków, w przeciwieństwie do, jak się ocenia, dwóch i sześciu dziesiątych procenta u przeciętnego Amerykanina, i że to jeden z powodów, dla których Europejczycy są znacznie szczuplejsi niż Amerykanie, chociaż jedzą aż tyle tego swojego brie?

Kiedy David odprowadza mnie do drzwi - jak już mnie przywiezie stamtąd, gdzie akurat byliśmy - to w gruncie rzeczy jedyna okazja, żebyśmy na kilka minut mogli zostać sami... A przynajmniej dopóki Theresa albo któreś z moich rodziców nie zorientuje się, że tam jesteśmy i nie zacznie migać światłem na werandzie.

Mówię wam, to naprawdę kiepska sprawa, jeśli twój chłopak jest synem prezydenta.

Gdy David odprowadzał mnie pod drzwi po naszej pierwszej lekcji rysowania z natury, pociągnął mnie w cień pod wielką wierzbą płaczącą, która rośnie przed domem - taki ma zwyczaj - przycisnął mnie do jej pnia i zaczął mnie całować.

To też jego zwyczaj. Muszę przyznać, że oba te zwyczaje bardzo lubię.

Chociaż tego wieczoru wciąż trochę dziwnie się czułam po tym, jak zobaczyłam tę nagą rzecz Terry'ego, i nie mogłam tak do końca - no wiecie - wejść w sytuację.

David chyba się zorientował, bo w pewnym momencie podniósł głowę i zagaił:

- Naprawdę uważasz, że więzadło pachwinowe tego faceta było małe?

- Nie - powiedziałam, żeby się z nim podroczyć. - Naprawdę podobają ci się moje włosy?

- Tak - zapewnił - ale jeszcze bardziej podoba mi się twoja koszulka. Chcesz ze mną jechać do Camp David na Święto Dziękczynienia? Możesz jechać, jeśli obiecasz, że włożysz tę koszulkę.

- Dobra - odparłam, a potem walnęłam głową o pień drzewa, kiedy ją podniosłam, żeby na niego spojrzeć. - Czekaj. Czekaj. Coś ty powiedział przed chwilą?

- Święto Dziękczynienia - powtórzył, przesuwając wargami po mojej szyi aż do prawego ucha. - Na pewno słyszałaś. To takie święto, w które je się pieczonego indyka i ogląda futbol w telewizji...

- Wiem, co to jest Święto Dziękczynienia - przerwałam mu. - Chodzi mi o... Camp David.

- Camp David to oficjalne miejsce wypoczynku prezydenta w stanie Maryland...

- Przestań się wydurniać - burknęłam. - Wiem, co to jest Camp David. Jak zdołałeś namówić rodziców, żeby ci pozwolili mnie tam zaprosić?

- Wcale nie musiałem ich namawiać. - David wzruszył ramionami. - Po prostu zapytałem, czy mogę cię zabrać, a oni powiedzieli, że tak. Przyznam, że to było, zanim...

- Zanim co?

- Zanim zobaczę, co zrobiłaś z włosami. Ale jestem pewien, że i tak pozwolą ci przyjechać. No więc chcesz jechać?

- Mówisz poważnie? - Nie mogłam uwierzyć, że David mówi o tym tak lekko. Bo to była duża rzecz. Ogromna. Mój chłopak prosił, żebym z nim wyjechała. I została na noc.

No dobrze, może jego rodzice będą tam z nami. Ale to i tak mogło oznaczać tylko jedno.

- Oczywiście, że mówię poważnie - zapewnił. - Będzie fajnie. Tam można robić mnóstwo rzeczy. Jeździć konno. Oglądać filmy. Grać w parcheesi.

Parcheesi? Czy to jedno ze słów, jakim chłopacy określają seks? Bo przecież to właśnie mieliśmy robić, prawda? To znaczy uprawiać seks. Czy nie to robią pary, które razem wyjeżdżają na weekend?

- Nie mów mi, że nie masz ochoty, Sharona - powiedział David. - Wiem, że masz.

Skąd on mógł wiedzieć, że chcę? Czy wydzielałam jakieś wibracje typu: „Mam ochotę na seks” i nawet o tym nie wiem? Bo wcale nie jestem pewna, czy chcę. No dobra, czasami jestem, ale nie przez cały czas. A zwłaszcza nie teraz, kiedy zostałam zmuszona do patrzenia przez trzy godziny na gołego faceta...

- Mówiłaś, że zawsze jeździcie na Święto Dziękczynienia do twojej babci do Baltimore - ciągnął David. - Tam jest piekielnie nudno, prawda? Więc wykręć się od tego i pojedź za mną do Camp David.

Co miałam powiedzieć? Nie wiedziałam, co powiedzieć! Ale powiedziałam:

- Moi rodzice nigdy mi nie pozwolą z tobą wyjechać.

Poważnie. Nie żadne: „Nie wiem, czy jestem na to gotowa, Davidzie” ani: „Czy mówisz o tym, o czym mi się wydaje, że mówisz, Davidzie, czy może parcheesi znaczy dla ciebie tylko... parcheesi?”

Nie. Nic z tych rzeczy. Najzwyczajniej w świecie powiedziałam, że rodzice mnie nie puszczą.

Co w sumie było całkiem rozsądne. Zwłaszcza że to była prawda.

- Na pewno cię puszczą - rzucił David swoim zwykłym pogodnym tonem. - To Camp David. Będiesz tam z prezydentem i tłumem agentów Służb Specjalnych. Rodzice pozwolą ci pojechać. Przecież ci ufają. A przynajmniej ufali, dopóki nie ufarbowałaś włosów.

- David, nie żartuj sobie. To jest... - Serce mi biło jak szalone i to wcale nie z powodu *frisson*. - To naprawdę poważny krok.

- Wiem - powiedział. - Ale chodzimy już ze sobą ponad rok. Moim zdaniem pora na to. Zgadzasz się ze mną?

Pora na co? Na nocleg w Camp David w komplecie z indykiem i parcheesi? Czy na seks?

On musiał mówić o seksie. No bo facet nie zaprasza cię na wyjazd do Camp David tylko dla placka z dyni i gier planszowych, prawda?

Prawda?

- Nie wiem - odparłam z wahaniem. - To znaczy... będę się musiała zastanowić. To się dzieje strasznie szybko.

Czy rzeczywiście? Biorąc pod uwagę ostatnie postępy w naszym obściskiwaniu?

Może weekend w Camp David to kolejny naturalny krok?

- Daj spokój - powiedział David, wsuwając mi dłoń pod bluzkę. - Zgódź się.

Wykorzystywał swoje niezwykle sprawne palce, żeby manipulować moimi emocjami. A właściwie nie moimi emocjami, ale gorsem (słowo do egzaminu SAT oznaczające przód tułowia).

- Powiedz, że pojedziesz - szepnął. Bardzo trudno jest podjąć rozsądną decyzję, kiedy facet trzyma rękę pod twoim stanikiem.

- Pojadę - usłyszałam własny szept. Jak ja się w to wszystko wplątałam? Sama nie wiem.

Dziesięć głównych miejsc, w których dziewczyny tracą dziewictwo:

10. Tylne siedzenie jego samochodu, jak Diane Court w *Nic nie mów* (choć biorąc pod uwagę, że straciła je z Lloydem Doblerem, nie mogło być tak źle).

9. W hotelu po zakończeniu szkoły. To straszny banał. Wiele dziewczyn uważa, że jest coś romantycznego w utracie dziewictwa po balu maturalnym. Najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, że bal na zakończenie szkoły to jeszcze jedna rzecz, którą wymyślili ludzie popularni, żeby tłum mniej popularnych poczuł się źle z braku zaproszenia.

8. W łóżku twoich rodziców, którzy wyjechali na weekend. Ohyda! To łóżko, w którym (prawdopodobnie) zostałaś poczęta.

7. W łóżku jego rodziców, którzy wyjechali na weekend. Może i nieźle, bo nikt się nie zdziwi, kiedy jego matka znajdzie przypadkiem majtki pod kołdrą.

6. W namiocie na letnim obozie. Bez sensu? To przecież namiot. Wszyscy was usłyszą.

5. Na plaży. Piasek. Dostaje się wszędzie.

4. Gdziekolwiek na świeżym powietrzu. Jedno słowo: owady.

3. W jego pokoju. Dobrze, ale czy kiedykolwiek zdarzyło ci się powąchać jego skarpetki? Cały jego pokój tak pachnie. Poważnie. Nawet jeśli on mieszka w Białym Domu. A on tego nie czuje. Zupełnie jakby jego nos przyzwyczył się do tego, tak jak ty przyzwyczajasz się do zapachu własnego dezodorantu.

2. W twoim pokoju. Och, doprawdy? Masz zamiar zrobić to na oczach ulubionej lalki i misia Puchatka? Chyba jednak nie.

I główne miejsce, gdzie dziewczyny najczęściej tracą dziewictwo:

1. Camp David.

Może to nie jest miejsce, w którym większość dziewcząt traci dziewictwo. Ale jest to miejsce, w którym ja stracę swoje.

3

Najważniejsze, że mam asa w rękawie (cokolwiek to znaczy; w każdym razie - coś dobrego).

A tym asem są rodzice.

Bo na pewno nie pozwolą mi się urwać ze Święta Dziękczynienia u babci, żebym mogła wyjechać ze swoim chłopakiem.

Nawet do Camp David.

Nawet z prezydentem.

A to oznacza zero seksu. Ani parcheesi, jak najwyraźniej nazywa to David.

Nie będę udawać, że bardzo się zmartwiłam. Tym, że mama i tata nie pozwolą mi wyjechać z Davidem. No bo wcale nie jestem pewna, czy chcę tam pojechać. Przyznaję, że chciałam jechać, kiedy ręce Davida tkwiły pod różnymi częściami mojego ubrania...

Ale w tej samej chwili, w której stamtąd zniknęły, przestałam być taka napalona na ten pomysł.

Bo powiedzmy sobie otwarcie: seks to ogromny krok naprzód. Diametralnie zmienia związek. A przynajmniej tak się dzieje w książkach, które Lucy lubi czytać i które zostawia w łazience koło wanny, a które ja czasami biorę do ręki, kiedy skończy mi się Vonnegut albo inne rzeczy. W tych książkach dziewczyna i jej facet, którzy zaczynają to robić, potem robią już tylko to. Zapominają o chodzeniu do kina. Zapominają o chodzeniu do restauracji. Teraz, kiedy są razem, ciągle... no cóż, robią to.

Może tak jest tylko w książkach, a w prawdziwym życiu jest inaczej.

Ale skąd mogę to wiedzieć? Tym bardziej, że nie jestem pewna, czy chcę się o tym przekonać.

Jeśli więc - chociaż „kiedy” jest chyba lepszym słowem - mama i tata powiedzą, że nie mogę jechać, to nie będzie najgorsza rzecz pod słońcem. Tylko tyle mam do powiedzenia.

Spuściłam bombę w tej samej chwili, w której wróciłam z lekcji rysunku z natury. Uznałam, że skoro rodzice i tak powiedzą „nie”, mogę darować sobie subtelne aluzje. No bo co z tego, że się nie zgodzą? David będzie musiał się uporać z tym rozczarowaniem.

Rodzice siedzieli przy stole w jadalni z Lucy, która miała dość smętną minę. Pewnie jej ulubiony uczestnik odpadł z jakiegoś reality show.

- Mamo, tato - powiedziałam, przerywając im bez żadnego wstępu ani wyrzutów sumienia. - Czy mogę pojechać do Camp David na Święto Dziękczynienia z, hm, Davidem...

- Do tej pory jakoś do mnie nie dotarło, że David nosi to samo imię co ośrodek wypoczynkowy prezydenta. Czy to nie dziwne? Poza tym głupio brzmi, kiedy to się mówi. - ...i jego rodzicami?

- Oczywiście, kochanie - odparł tata. A mama zawołała:

- O Boże, Sam, coś ty zrobiła z włosami?

- Ufarbowałam je - odpowiedziałam mamie i zwróciłam się do taty: - Co masz na myśli, mówiąc: „oczywiście, kochanie”?

- Czy to trwała farba? - spytała mama.

- Szampon koloryzujący - wyjaśniłam jej. A tatę spytałam: - Mówisz serio? A co z babcią?

- Babcia jakoś to przeżyje - powiedział tata i wreszcie zauważył moje włosy. - Co to ma niby być? - spytał. - Jakaś bohaterka tych twoich mango, które wiecznie czytasz?

- Manga - poprawiłam go i natychmiast dodałam: - Naprawdę mogę jechać?

- Dokąd?

- Do Camp David. Z Dawidem. Na Święto Dziękczynienia. I zostać na noc.

- Nie widzę przeszkód - powiedziała mama. - Zakładam, że jego rodzice tam będą, więc wszystko w porządku. Następnym razem, kiedy będziesz chciała zrobić coś takiego, Samantho, daj mi przedtem znać. Umówię cię z moją fryzjerką. Te farby kupowane w drogeriach niszczą włosy.

I tyle. Oboje skupili się na Lucy, cokolwiek przeskrobała... Cóż, pewnie miała jakieś treningi cheerleaderek, które kolidowały ze zwiedzaniem uniwersytetów. Już od jakiegoś czasu nalegali, żeby zaczęła zawęzać wybór uczelni.

Mnie zostawili samej sobie. Halo? Pamiętajcie, że macie drugą córkę? Tę, którą chłopak właśnie zaprosił na Święto Dziękczynienia, żeby grała z nim w parcheesi? Tak, właśnie tę córkę.

Niewiarygodne! Rodzice pozwolili mi wyjechać na weekend z moim chłopakiem.

Można zrozumieć, że zrobili to, bo jego tata jest prezydentem, i jedzie z nami i tak dalej.

Ale nawet jeśli ma się tatę prezydenta, to jeszcze nie znaczy, że nie chce się grać w parcheesi. Czy im to w ogóle przyszło do głowy?

Najwyraźniej nie. Najwyraźniej moi rodzice są najbardziej niekumatymi ludźmi na całej planecie.

A teraz, dzięki nim, pojedę do Camp David na Święto Dziękczynienia, żeby oglądać z bliska i na własne oczy więzadło pachwinowe mojego chłopaka.

To przecież nie może dziać się naprawdę.

A jednak się dzieje.

Nadal byłam w szoku, gdy parę minut później Lucy podeszła do drzwi mojego pokoju. Miałam na uszach słuchawki - słuchałam Tragic Kingdom, w nadziei że zapewnienia Gwen, że jest „dziewczyną zagubioną w świecie”, ukoją moją roztrzęsioną duszę - więc przez chwilę tylko obserwowałam poruszające się wargi Lucy. Nie odeszła, zdjęłam więc słuchawki i odezwałam się tonem wystarczająco mało przyjaznym, żeby wyrwać ze snu mojego psa Maneta:

- Co?

- Dlaczego masz taką minę, jakbyś właśnie się dowiedziała, że John Mayer umarł? - spytała.

Bo według Lucy, gdyby John Mayer umarł, ludzie poszaleliby z rozpacz. Ja uważam, że nikt by się tym specjalnie nie przejął.

- Bo w tym roku ty będziesz razem z babcią zapalać świece w kształcie Johna i Priscilli Smith, a ja stracę dziewictwo z moim chłopakiem w Camp David.

Tak chciałam jej odpowiedzieć.

Ale jako że nie uważam za rozsądne zwierzanie się starszej siostrze, powiedziałam pierwszą rzecz, jaka mi wpadła do głowy, to znaczy:

- Jestem zdenerwowana, bo... bo... dziś widziałam swojego pierwszego... no wiesz co.

Od razu zrozumiałam, że powinnam była powiedzieć coś innego. Cokolwiek, byle nie to. Bo uzyskałam efekt przeciwny do zamierzonego - Lucy nie odeszła.

Wtargnęła do mojego pokoju, przewracając po drodze figurki z bohaterami *Hellboya*, które rozstawiłam na komodzie, żeby odtworzyć scenę z Liz leżącą na kamieniu ofiarnym.

- Naprawdę? - spytała zaintrygowana. - Wyciągnął go, kiedy całował cię przed chwilą na dobranoc? Obrzydliwe. Nie cierpię, kiedy to robią.

- Nie - odpowiedziałam, nieco zaskoczona. Czy faceci naprawdę robią takie rzeczy? David nigdy czegoś takiego nie zrobił. Ale może tylko dlatego, że jest przesadnie grzeczny.

Bo słowa Liz zabrzmiały tak, jakby jej bardzo często się to przydarzało. A przecież ona ma stałego chłopaka! Fakt, że on wyjechał na studia, ale... Co się wyprawia na tych imprezach, na których bywa moja siostra, tych, na które chodzą popularni ludzie? Nic dziwnego, że Kris Parks poświęciła się Właściwej Drodze; pewnie została skrzywiona psychicznie przez facetów, którzy ciągle go przed nią wyjmowali.

- On należał do faceta imieniem Terry - wyjaśniłam - który pozuje nago na lekcjach rysunku u Susan Boone.

Lucy nie robiło żadnej różnicy, że pokazał go Terry, a nie David.

- No wiesz! - powiedziała. - Widziałas penisa jakiegoś durnego modela, zanim zobaczyłaś penisa własnego chłopaka? To chore.

Biorąc pod uwagę, że dokładnie to samo czułam parę godzin wcześniej, zabawnie było słyszeć własną odpowiedź:

- No cóż, właśnie na tym polega rysowanie z natury. Nie nauczysz się rysować postaci ludzkich, jeśli ubranie zasłania mięśnie i szkielet.

I wtedy - zupełnie nie rozumiem, dlaczego - zaczęłam się jej zwierzać.

Wiem. Musiałam oszaleć. Przecież to ultraczadowa Dauntra z Potomac Video jest osobą, do której należałoby się zwrócić o radę w takiej sprawie. Ale nie. Ja musiałam wplątać w to moją siostrę. Zupełnie, jakby moje usta odezwały się bez jakiegokolwiek udziału mózgu.

- To nie wszystko. - Usłyszałam własne słowa. - David poprosił mnie, żebym pojechała z nim do Camp David.

- Wiem - powiedziała Lucy. - Przecież byłam tam, kiedy mama i tata powiedzieli, że możesz jechać. Biedulka. No bo co to za nudy. Nie mógł cię zaprosić do centrum handlowego jak normalny facet?

Pojawiła się idealna okazja, żeby porzucić ten temat. Lucy najwyraźniej nie zrozumiała ani jednego słowa z tego, co mówiłam... Ale nie. Moje usta nadal się poruszały.

- Lucy - powiedziałam. - Ty chyba nie rozumiesz. David zaprosił mnie na wspólny weekend do Camp David.

- Wiem - mruknęła. - Już to mówiłaś. A ja powtarzam, że to okropne nudy. No bo co można robić w tym Camp David? Jeździć konno? Puszcząć kaczki na jakimś jeziorze? Cóż, pewnie moglibyście malować, skoro oboje lubicie takie rzeczy. Ale tam będzie jeszcze nudniej niż u babci. Przecież w okolicy nie ma żadnych fajnych sklepów z ciuchami.

W głowie mi się nie mieściło, że Lucy mnie nie rozumie, a ja, zamiast sobie odpuścić, próbuję jej wytłumaczyć, o co chodzi. Co ja wyprawiam? Dlaczego się jej zwierzam?

- David chce, żebym z nim tam pojechała. Na weekend. A rodzice się zgodzili.

Lucy pociągnęła nosem.

- Tak, zauważyłam. Wiesz, masz szczęście, że oni go lubią. To znaczy twojego chłopaka. Mnie by nigdy nie pozwolili spędzić weekendu z Jackiem. Ale, oczywiście, rodzice Davida będą tam z wami.

- Tak - przyznałam. To była beznadziejna sprawa. Ona tego nigdy nie zrozumie.

Bo niby skąd miałaby wiedzieć, o co chodzi? W świecie Lucy ludzie tacy jak ja i, spójrzmy prawdzie w oczy - jak David - no cóż, robią To. Myśl, że jajogłowi też mogą mieć

jakieś hormony, była jej najwyraźniej zupełnie obca.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Praktycznie się już poddałam, jeśli chodzi o tę całą sprawę, i myślałam sobie: W sumie to dobrze, bo przecież wcale nie chcę, żeby ona o tym wiedziała, kiedy Lucy nagle złapała mnie za rękę i powiedziała, szeroko otwierając oczy podkreślone kredką Lancôme:

- O mój Boże. Nie chcesz chyba powiedzieć... O mój Boże. Ty i David? I to w Camp David?

No i było za późno. Wiedziała.

Dziwne, ale poczułam coś w rodzaju ulgi. Ulgi z domieszką zażenowania. Nie pytajcie mnie czemu.

- A jakie inne miejsce byś sugerowała? - spytałam ironicznie, żeby pokryć zażenowanie. - Pod trybunami na sali gimnastycznej?

- Nie - odparła z niesmakiem. - Tam jest zawsze tyle wyplutych gum do żucia. - Opadła na moje łóżko, dźgając palcem Maneta, który leżał, żeby się trochę posunął, i siedziała tam z osłupiałą miną. - To naprawdę poważny krok, Sam. Sądzisz, że jesteś na to gotowa?

- Częściowo tak - usłyszałam własną odpowiedź. - A częściowo nie. No bo jedna część mnie bardzo chce, a druga część...

- .. jest przerażona na śmierć - dokończyła za mnie. - No cóż, nie bój się. Pamiętaj tylko, żeby użyć dwóch środków antykoncepcyjnych jednocześnie - ciągnęła tym samym mentorskim tonem, którym zwykle każe mi nie zakładać trampek z cholewką do spódnicy, bo moje nogi będą wyglądać grubo. - On powinien założyć prezerwatywę, ale na wszelki wypadek powinnaś mieć jeszcze zapasową metodę. Od pierwszego dnia okresu powinnaś zacząć brać pigułki antykoncepcyjne, ale skoro miałaś okres w zeszłym tygodniu, to nawet gdybyś jutro poszła do poradni świadomego macierzyństwa, nic ci to nie da przed Świętem Dziękczynienia. Sugerowałabym zatem piankę plemnikobójczą.

Po prostu gapiłam się na nią. Z opadłą szczęką, jestem pewna.

Ale Lucy chyba nie zauważyła mojego szoku.

- Nie kupuj pianki nigdzie w okolicy - mówiła dalej. - Ktoś ze znajomych mógłby cię zobaczyć i potem rozniosłoby się to po całej szkole... Ale w twoim przypadku, po tych wszystkich wieczornych wiadomościach w telewizji, na pewno cię rozpoznają. Boże, uratowanie życia tacie Davida to najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłaś. No bo teraz, cokolwiek zrobisz, cały świat będzie się wtrącał w twoje sprawy. Nawet z tymi ufarbowanymi włosami. Ludzie będą cię rozpoznawać. To nadal ty, tylko z głupio wyglądającymi czarnymi

włosami. Słuchaj, może chcesz, żebym to dla ciebie kupiła?

Wciąż gapiłam się na nią oniemiała. Rozumiałam każde słowo, które padało z jej ust, ale po prostu nie mogłam uwierzyć, że ona je wypowiada.

- Nie licz, że facet się tym zajmie - powiedziała Lucy, najwyraźniej biorąc moje osłupienie za złość na to, że wtrąca się w moje sprawy. - Nawet taki jak David, który chodzi do szkoły dla geniuszy. Jasne, że kupi jakieś prezerwatywy. Ale one czasami pękają. Albo się zsuwają, zanim powinny, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Musisz być... Jak to się mówi? Proaktywna. Jutro po szkole coś ci kupię. Pianka plemnikobójcza to prosta sprawa, wsuwasz aplikator tak jak tampon i wyciskasz ją do środka. Nie powinnaś mieć żadnych problemów.

- Ngrh. - Tylko tyle zdołałam wykrztusić, totalnie zażenowana.

Lucy poklepała mnie po głowie. Naprawdę. Poklepała mnie po głowie. Jakbym była Manetem.

- Nie martw się - powiedziała. - Od czego ma się siostry? A przy okazji, moim zdaniem postępujesz słusznie. No bo chodźcie ze sobą od wieków, a David to świetny facet, jeśli nawet, no wiesz, trochę dziwny. Wiecznie w tych koszulkach z zespołami z lat osiemdziesiątych. I ta cała sztuka to jedna wielka nuda. Ale przecież on nie ma wielkiego wyboru. Gdyby chciał się trochę wyluzować, byłoby o tym w całym „Teen People”. A komu to potrzebne?

- Ale... - Ucieszyłam się, że znów mogę wypowiedzieć jakieś słowa. Niestety, nie łączyły się w sensowne zdania. - Nie uważasz... No wiesz, co z... Kris?

Lucy spojrzała na mnie i zamrugła oczami.

- Jaką Kris?

- Parks. Nawet mnie nie pytajcie, czemu w tym momencie akurat Kris wpadła mi do głowy.

- A co ona ma z tym wspólnego? - spytała Lucy, marszcząc swój idealny nos.

- No cóż - powiedziałam. - Tylko tyle, że... No wiesz, nie uważasz, że David i ja powinniśmy, hm, poczekać?

- Poczekać? Na co? - Lucy była szczerze zdziwiona.

- Na, no wiesz... - Wierciłam się na krześle. - Hm. Do ślubu?

Lucy zrobiła wielkie oczy.

- O dobry Boże! - jęknęła. - Dopiero co ufarbowałaś sobie włosy i nagle zamieniłaś się w amisza?

- Nie. - Czułam się coraz bardziej niezręcznie. - Tylko, no wiesz. Kwestia dziwek, i tak dalej.

Lucy była skołowana.

- A od kiedy to uprawianie seksu ze swoim chłopakiem robi z ciebie dziwkę?

- No wiesz. - Odkasznęłam, żeby oczyścić gardło, w którym nagle coś mi utkwilo. -

Kris. I, ee, Właściwa Droga...

Lucy zaczęła się śmiać, jakby nigdy w życiu nie usłyszała czegoś równie zabawnego.

- Tak, Sam, nie ma nic ważniejszego niż przejmować się Właściwą Drogą...

A potem usiadła prosto i dodała:

- No cóż, miła była ta pogawędka o seksie, ale muszę już iść. Rodzice zobaczyli moje wyniki z testów SAT i nie byli nimi zachwyceni. Powiedzieli, że mam zdawać jeszcze raz. Aha, i że będę miała korepetytora. Poza tym grożą, że każą mi zrezygnować z drużyny cheerleaderek, żebym mogła poświęcać więcej czasu na naukę. Wyobrażasz sobie? - Pokręciła głową ze smutkiem. - Jakby w ogóle się liczyło, co będę miała z egzaminu SAT, skoro i tak chcę zostać projektantką mody. Nie trzeba dobrych wyników z tych testów, żeby to robić. Wystarczy porządna praktyka u Marca Jacobsa. W każdym razie muszę teraz wszystkich obdzwonić i powiedzieć im, jak totalnie rodzice rujną mi życie. Na razie.

Wyszła, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

A ja właśnie chciałam zadać jej parę pytań. Na przykład, jak duży jest przeciętny, no wiecie, kiedy jest, rozumiecie, w stanie napompowanym?

I ile czasu zostaje w tobie ta pianka, kiedy już, no wiecie... zrobicie To.

Ale wtedy pomyślałam, że lepiej nie słuchać opowieści Lucy o jej pierwszym razie z Jackiem, zwłaszcza że, jak większość rodziny, nie przepadam za jej chłopakiem. Zanim wyjechał na studia, kręcił się wiecznie po naszym domu, wygłaszając swoje teorie o tym, jak to artyści są niedoceniani i gnębieni przez resztę świata.

Przyznam, że był taki etap w moim życiu, kiedy te teorie robiły na mnie spore wrażenie. Ale to były mroczne chwile mojego życia i nie lubię ich wspominać. Nie teraz, gdy kocham się w Davidzie, który - choć jest artystą - nigdy nie mówi takich rzeczy, jak: „Ludzie mnie dołują” albo: „Społeczeństwo powinno dać artystom utrzymanie”.

I między innymi dlatego go kocham... Chociaż to, jak entuzjastycznie reaguje na mnie w koszulce od Nike, też pomaga.

Zastanawiam się tylko, czy kocham go na tyle, żeby pozwolić mu zobaczyć, jak wyglądam bez niej.

Dziesięć głównych powodów, dla których Lucy ma o wiele lepiej w życiu niż ja:

10. Ze względu na uratowanie życia prezydentowi stałam się sławna, więc ilekroć zrobię coś głupiego - na przykład włożę do szkoły koszulkę na lewą stronę, co mi się czasem zdarza, zanim przyswoję dość kofeiny, żeby się kompletnie obudzić - zawsze mogę liczyć na to, że moje zdjęcie ukaże się w „People” albo w „US Weekly” (Sławni ludzie - są tacy sami jak my!).

9. Chociaż Lucy bombardują testami SAT, nie zdarza jej się włożyć koszulki na lewą stronę, więc nawet gdyby to ona uratowała prezydenta i stała się narodową bohaterką, nigdy i nigdzie nie ukazałyby się jej zdjęcia tak głupio ubranej. Ona zawsze wygląda idealnie, nawet gdy wychodzi wcześniej rano.

8. Lucy umawia się z młodym buntownikiem, który ma własny motocykl (nawet jeśli nie wolno jej jeździć z nim na tym motocyklu), i chodzi na czadowe imprezy, na przykład na pokazy sztuki performance, gdzie jakaś kapela punkrockowa rzuca kawałkami surowego mięsa w ekran, na którym wyświetlane są podobizny światowych przywódców. A ja umawiam się z synem prezydenta, więc trafiają mi się takie imprezy jak premiera *Toski* w Kennedy Center, co nawet w przybliżeniu nie jest tak zabawne.

7. Kiedy moje zdjęcie w koszulce włożonej na lewą stronę pojawia się w „US Weekly”, czyli prawie co tydzień, zazwyczaj jest umieszczone koło zdjęć Mary Kate i Ashley. Gdyby to Lucy była sławna, nie ja, mogę się założyć, że jej zdjęcie byłoby obok zdjęcia kogoś o wiele bardziej czadowego, na przykład Gwen Stefani.

6. Tłum projektantów przysyła mi darmowe ciuchy, błagając, żebym je nosiła zamiast tych moich koszulek na lewą stronę, aby ich ubrania mogły się pojawić w „US Weekly”. Ale większość z nich muszę odsyłać, bo rodzice nie pozwalają mi wkładać do szkoły skórzanych gorsetów, a poza tym, w przeciwieństwie do Lucy, nie mam takiego biustu, na którym utrzymałby się gorset. Lucy na pewno mogłaby je nosić.

5. Mój chłopak mówi na seks „parcheesi”. Nie wiem, jak to nazywa chłopak Lucy, ale domyślałam się, że inaczej.

4. Lucy potrafi obliczyć w pamięci podatek VAT. Umie zrobić przewrót na rękach w tył. Ja umiem tylko narysować gołego faceta, w dodatku niezbyt dobrze, bo koncentruję się na częściach, a nie na całości.

3. Rodzice bardzo lubią mojego chłopaka, a chłopaka Lucy nie lubią. Tłumaczą jej całymi godzinami, że mogłaby trafić lepiej, i tym podobne. Mnie właściwie ignorują.

2. Moja jedyna przyjaciółka Catherine jest taka wrażliwa, że nie mogę jej nawet powiedzieć, że mój chłopak prawdopodobnie chce ze mną uprawiać seks w weekend Świąta

Dziękczynienia, bo bym ją tylko wystraszyła, zwłaszcza że ona nie ma chłopaka (chyba że taki w Katarze się liczy, chociaż moim zdaniem nie). A Lucy ma dziewięć milionów przyjaciółek, którym może powiedzieć wszystko, bo są płytkie i pozbawione emocji. Jak cyborgi.

1. Lucy już straciła dziewictwo i najwyraźniej nie bardzo się tym przejmuje, a ja się przejmuję strasznie, co oznacza, że pewnie będę w tym tkwiła (moim dziewictwie) do trzydziestki albo do śmierci, cokolwiek przyjdzie pierwsze.

- Więc jak to wyglądało? - chciała wiedzieć Catherine. Nie mogłam uwierzyć, że jest taka ciekawa. To znaczy mogłam, ale nie bardzo miałam ochotę o tym mówić.

- Wyglądało jak penis - odparłam. - A coś ty myślała? Przecież już je widywałaś. Kąpałaś się na golasa nad morzem ze swoimi braćmi, kiedy byliście mali.

- Tak - potwierdziła Catherine - ale to było zanim, rozumiesz, wyrosły mi tam włosy.

- Rozumiem - powiedziałam. - Obrzydlistwo.

- No, ale to prawda. Poważnie. Duży był?

Zaczynałam żałować, że poruszyłam ten temat. Zrobiłam to tylko dlatego, że spytała, jak mi poszła lekcja rysunku z natury. Chciałam jej wyjaśnić prawdziwe znaczenie słow „rysunek z natury”.

Teraz żałowałam, że to zrobiłam.

- Chyba przeciętny - powiedziałam. - Chociaż nie mam jakichś większych doświadczeń w tym zakresie.

- Cieszę się, że nie mam czegoś takiego - oznajmiła Catherine i wzdrygnęła się. - Wyobrażasz sobie, że coś ci cały czas dynda? Jak oni w ogóle jeżdżą na rowerze?

- Sam? - Mogłam się spodziewać, że Kris Parks, która zawsze zjawia się w najmniej odpowiedniej chwili, właśnie teraz podejdzie do naszego miejsca w kolejce po lunch i zagai. - Masz minutkę?

Kris nie należy do moich ulubionych osób. I dopóki nie stałam się sławna, uczucie to było wzajemne.

Ale gdy parę razy trafiłam do telewizyjnych wiadomości o szóstej, Kris nagle uznała, że jestem jej nową najlepszą przyjaciółką. Najwyraźniej fakt, że spotykam się z synem prezydenta, przeważał nad tym, że nie mam ani jednego ciucha od Lilly Pulitzer. Co, według zasad Kris, robi ze mnie jedną z niedotykalnych, o których dowiedziałyśmy się z Rebeccą z *National Geographic Explorer*.

- Zastanawiałam się, czy pomożesz nam w przyszłym tygodniu przygotować salę gimnastyczną? - spytała Kris, krygując się (to słowo na egzamin SAT oznacza pretensjonalne zachowanie, wykonywanie przesadnych gestów i min oraz wdziękowanie się). - No wiesz, na to posiedzenie rady miasta...

- Pomogę - zapewniłam, chcąc, żeby sobie poszła.

- Byczo. - Kris zawsze wyrywa się z czymś takim jak „byczo”. To było niemal tak

beznadziejne jak moje „kapitalnie”, kiedy zobaczyłam swojego pierwszego - sami wiecie co. - Naprawdę przyda nam się pomoc. Jak na razie zgłosili się tylko członkowie samorządu. No i, oczywiście, Właściwa Droga. To naprawdę wstyd. Prezydent ma ogłosić swój nowy program prosto z naszej szkoły, a większość uczniów zachowuje się tak apatycznie. Mam nadzieję, że prezydent nie pomyśli, że wszyscy jesteśmy tacy. Naprawdę chciałabym, żebyśmy dobrze przed nim wypadli. I przed Randomem Alvarezem. Bo on jest taki seksowny... - Przyjrzała się dokładnie mojej głowie. - Co ci się sta... - urwała i ugryzła się w język. - Nieważne.

- Moje włosy? - Uniosłam dłoń do głowy. - Ufarbowałam je. A co? Nie podobają ci się?

Wiedziałam, że Kris nie podobają się moje włosy. Osoby takie jak ona nie przepadają za Midnight Ebony. Chciałam się tylko z nią podroczyć.

- Ależ skąd, są naprawdę ładne. - Kris jakoś doszła do siebie. - Czy to trwała farba?

- Szampon - powiedziałam. - A dlaczego pytasz?

- Tak sobie - odparła z szerokim uśmiechem. - Wyglądają świetnie!

Wiedziałam, że Kris kłamie, i to nie tylko dlatego, że w ogóle poruszała ustami. Tego ranka przyjrzałam się sobie w lustrze i zrozumiałam, że Lucy miała rację - z czarnymi włosami wyglądałam idiotycznie.

Ale nie ufarbowałam włosów, żeby wyglądać modnie. Zrobiłam to, bo chciałam coś zademonstrować. Chciałam powiedzieć: „Pożegnajcie się z czerwonowłosą, ratującą prezydentów Samanthą Madison i powitajcie rysującą z natury i być może już niedługo nie tak dziewczycą Sam”.

- Ta inicjatywa prezydenta, Powrót do Rodziny... - ciągnęła Kris, starannie omijając wzrokiem moje włosy. - Mam nadzieję, że mu powtórzysz, jak bardzo jesteśmy nią zainteresowani tu, w Liceum imienia Adamsa, i że popieramy go w stu dziesięciu procentach. No bo rodzina to najważniejsza sprawa.

- No cóż, kto nie jest prorodziny? - To właśnie powiedziałam. Ale myślałam sobie: Kris Parks, czemu ty trupem nie padniesz? Czemu?

- Może wpadłabyś kiedyś na spotkanie Właściwej Drogi? - Kris zerknęła na Catherine, jakby dopiero teraz zauważyła, że nie stoję tam sama. - Ty i twoja, hm, przyjaciółka.

Kris doskonale wie, jak Catherine ma na imię. Tylko jest po prostu sobą, czyli typową licealną snobką.

Czego dowiodła chwilę później, kiedy przeszła koło nas dziewczyna w kostiumie szkolnego zespołu tanecznego, czyli w króciutkiej fioletowej spódnicy.

- Słyszałyście o tej Debrze Mullins? Podobno puszczała się z Jeffem Rothbergiem pod

trybunami po zesłotygodniowym meczu Trinity. To straszna dziwka. - I dodała pogodnym tonem: - No to do zobaczenia na sali gimnastycznej w poniedziałek!

- Na pewno przyjdę - powiedziałam, żeby się jej wreszcie pozbyć.

Podziałało. Zostawiła nas, żeby w spokoju zjeść swojego podwójnego cheeseburgera.

- Boże, jak ja jej nienawidzę - mruknęła Catherine.

- Coś o tym wiem.

- Serio. Ja jej naprawdę nienawidzę.

- Witaj w moim świecie.

- Tak, ale tobie ona się podlizuje. Przez Davida. Ciebie nigdy by nie nazwała dziwką. No wiesz, gdybyście kiedyś z Davidem... postanowili się puścić. A ona by się o tym dowiedziała. - A po chwili dodała ze śmiechem: - Jakby to mogło się kiedykolwiek stać.

Nie wiem, co wydawało jej się mniej prawdopodobne - że David i ja będziemy uprawiać seks czy że Kris się o tym dowie. Nie miałam zamiaru wyjaśniać, że to pierwsze jest bardziej nieuniknione (słowo do egzaminu SAT oznaczające coś, co ma się niedługo zdarzyć i jest całkiem pewne), niż mogłaby sądzić. Nie dlatego, że nie ufam, że dotrzyma tajemnicy. Powierzyłabym Catherine własne życie.

Ale nadal nie byłam pewna, co powinnam zrobić. To znaczy w sprawie Święta Dziękczynienia. Nie miałam jeszcze okazji powiedzieć Davidowi, że rodzice pozwolili mi spędzić weekend z nim w Camp David.

Nadal byłam jeszcze trochę wściekła. Na to, że się zgodzili. Było takie oczywiste, że zgodzili się, bo rozpraszała ich Lucy i jej wyniki z testów SAT. No bo to niemożliwe, żeby raz dla odmiany zwrócili uwagę na mnie. W domu Madisonów środkowe dziecko zawsze obdarzane było najmniejszym zainteresowaniem.

Chociaż chyba nie mogę winić Lucy za to, że się zgodzili. Moi rodzice mają to swoje wyobrażenie, że jestem Dobrym Dzieckiem. No wiecie, tym, które wprawdzie ufarbuje sobie włosy na czarno, ale koniec końców rzuci się na napastnika, żeby uratować prezydenta. Nikt się specjalnie nie przejmuje takim dzieckiem. Takie dziecko nigdy nie robi czegoś równie karygodnego jak przespanie się ze swoim chłopakiem w czasie weekendu Święta Dziękczynienia.

Moim rodzicom dobrze by zrobiło, gdybym została niezamężną nastoletnią matką.

Ale nie miałam zamiaru mówić o tym wszystkim Catherine. Ona ma dość własnych problemów, bo mama nie pozwala jej nosić do szkoły spodni - poważnie, musi nosić spódnice za kolano, nawet na WF - ie - i ludzie strasznie z niej z tego powodu kpią. Po co ma się jeszcze martwić faktem, że jej najlepsza przyjaciółka poważnie rozważa utratę dziewictwa.

Poza tym to naprawdę wyłącznie moja sprawa.

- Wow - powiedziała Dauntra, kiedy wpadłam do Potomac Video zaledwie minutę przed rozpoczęciem mojej popołudniowej zmiany. - Zrobiłaś to!

W pierwszej chwili nie wiedziałam, o czym ona mówi. Myślałam, że chodzi jej o to, że zdecydowałam się uprawiać seks ze swoim chłopakiem, i zastanawiałam się, skąd wie. Zwłaszcza że niczego takiego nie zrobiłam. Jeszcze.

A potem przypominałam sobie o włosach.

- Tak - powiedziałam. Muszę przyznać, że warto było znosić w szkole wszystkie te: „Coś ty zrobiła z włosami?”, żeby teraz zobaczyć jej reakcję. W Potomac Video - tak jak w domu - jestem uważana za grzeczną dziewczynkę. No bo jestem dziewczyną, która uratowała życie prezydentowi, dziewczyną, która nie potrzebuje tych sześciu dolarów i siedemdziesięciu pięciu centów za godzinę, żeby zapłacić za opiekunkę do dziecka czy coś takiego. Uważali mnie tam za jakieś dziwadło.

Oczywiście, dopóki nie ufarbowałam włosów. Teraz zrobiłam się czadowa.

Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Bo pracownicy Potomac Video są naprawdę czadowi.

A zwłaszcza Dauntra, z którą pracuję w piątkowe wieczory. Jej motto (przyklejone do szafki z rzeczami) to: Kwestionuj autorytety. Jej partia polityczna: inna niż partia taty Davida. Jedno z pierwszych pytań, jakie mi zadała, brzmiało: „Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że gdybyś pozwoliła go zastrzelić, oszczędziłabyś wielu ludziom mnóstwa trosk?”

I chociaż to może być prawda, moim zdaniem nawet Dauntra nie umiałaby stanąć z boku i po prostu patrzeć, jak ktoś mierzy w kogoś innego z rewolweru, nieważne jak różniłaby się w poglądach politycznych z tą osobą. Zwłaszcza że, co jej wyłożyłam, jeśli nawet wielu ludzi prezydenta nie lubi - a sądząc z ostatnich badań opinii publicznej wielu ludzi rzeczywiście bardzo, ale to bardzo go nie lubi - to znam kogoś, kto go bardzo lubi, mianowicie jego syna, a mojego chłopaka, Davida. Nieważne, jak bardzo się nie zgadza z pewnymi rzeczami, które zrobił jego tata w czasie swojej kadencji, uczucie Davida do ojca zawsze było silne.

I dlatego - nie wspominając już o tym, że naprawdę nie miałam w tej sprawie żadnego wyboru, bo właściwie nie decydowałam, co robić, tylko działałam odruchowo - cieszę się z tego, co zrobiłam.

- No, to mi się podoba. - Dauntra z aprobatą kiwała głową, patrząc na moje włosy.

- Naprawdę? - Wrzuciłam plecak do boks na rzeczy. Przed moim wyjściem Sam, kierownik popołudniowej zmiany, miał go jeszcze przejrzeć, żeby się upewnić, że nie wyno-

szę żadnych DVD. Chociaż byłam ulubioną grzeczną dziewczynką wypożyczalni, wszystkim sprawdzano torby przed wyjściem. Tak już jest w Potomac Video.

Chociaż niektórzy pracownicy usiłują to zmienić.

- Uwielbiam czern - powiedziała Dauntra. - Wyszczupła twarz.

- Akurat nie o wyszczuplenie twarzy mi chodziło - odparłam - ale dzięki.

- Co powiedzieli twoi rodzice? - Dauntra, która ma włosy w dwóch odcieniach, Midnight Ebony i Pink Flamingo, bawiła się kolczykiem w brwi. - Dostali szału?

- Niezupełnie - odrzekłam i weszłam za kontuar. - W sumie prawie nie zauważyli.

Dauntra parsknęła z niesmakiem.

- Boże, co ty będziesz musiała zrobić, żeby w ogóle zwrócić ich uwagę? Urodzić dziecko na balu maturalnym?

- Hm - powiedziałam, lekko się krztusząc łykiem dietetycznego Dr Peppera, którego kupiłam w sklepie obok przed swoją zmianą. Bo rozumiecie, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, urodzenie dziecka na balu maturalnym przestaje leżeć tak totalnie poza sferą prawdopodobieństwa. - Tak. Pewnie to by podziałało. Ale wiesz, mówi się, że czasem lepiej nie pchać się w oczy. Na razie skupili się na Lucy przez jej wyniki z SAT.

Dauntra zrobiła jeszcze bardziej zniesmaczoną minę.

- Kiedy ludzie wreszcie zrozumieją, że te głupie testy nic nie dają? No bo co one niby mierzą? Czy uważałaś na lekcjach przez ostatnie dziesięć lat? Daj spokój. Jakby to mogło powiedzieć komisji rekrutacyjnej na jakiejś uczelni, jak sobie poradzisz przez następne cztery lata, które u nich spędzisz.

Dauntra, którą rodzice wyrzucili z domu, kiedy skończyła szesnaście lat i sprawiła sobie kolczyk w brwi (i dwudziestoletniego chłopaka), obecnie studiuje grafikę na jednej z państwowych uczelni. Rzuciła tego chłopaka, ale zatrzymała kolczyk i wymknęła się z całej tej pułapki egzaminów SAT, odmawiając zapisania się na taką uczelnię, która ich wymaga. Dauntra ma mnóstwo takich radykalnych poglądów. W sumie myślę, że ona i chłopak Lucy Jack mają pod tym względem wiele ze sobą wspólnego.

- I co zrobią twoi rodzice? - chciała wiedzieć Dauntra. - Z twoją siostrą?

- Chcą wziąć dla niej korepetytora i ograniczyć jej treningi cheerleaderek, żeby miała na to czas. To znaczy na korepetycje.

- Typowe - powiedziała Dauntra. - Nabierają się na ten cały przesąd, jakoby te testy cokolwiek znaczyły. Chociaż akurat to, że twoja siostra będzie spędzała mniej czasu w minispódnicy, kompromitując kwestie feministyczne, jest raczej pozytywne.

- Jasne - zgodziłam się.

Zastanawiałam się, czy nie zapytać Dauntry, co jej zdaniem powinnam zrobić w sprawie Święta Dziękczynienia z Davidem. No bo ona jest bardziej doświadczona ode mnie - i pewnie bardziej niż Lucy. Stwierdziłam, że rada kobiety obytej w świecie, takiej jak Dauntra, mogłaby być bardzo cenna, nie wspominając już o tym, że pouczająca.

Ale naprawdę nie wiedziałam, jak poruszyć ten temat. No bo co miałam powiedzieć? „Słuchaj, Dauntra, mój chłopak chce, żebym spędziła z nim Święto Dziękczynienia w Camp David, i sama rozumiesz, co to oznacza. Powinnam się zgodzić czy nie?”

Po prostu nie mogłam się na to zdobyć. Zamiast tego zapytałam ją swobodnym tonem:

- Jak idzie walka o plecaki? Dauntra rzuciła mroczne spojrzenie Stanowi.

- Stoi w miejscu - odparła. - Stwierdził, że jak mi się nie podoba, mogę iść pracować w McDonald'sie.

Dauntra twierdzi, że stosowana w wypożyczalni praktyka sprawdzania plecaków pracowników jest niezgodna z konstytucją - chociaż kiedy spytałam o to moją mamę, powiedziała, że formalnie rzecz biorąc, tak nie jest. Dauntra nie chce w to uwierzyć, ale podoba mi się, że w ogóle ją ta sprawa obchodzi. Niektóre znane mi osoby - okay, chodzi mi głównie o Kris Parks - tylko udają, że przejmują się różnymi sprawami, bo to potem dobrze wygląda na ich podaniu o przyjęcie na studia.

- Zastanawiałam się, czy nie zalać całego wnętrza mojego plecaka Aunt Jemimą - ciągnęła Dauntra - żeby Stan, kiedy wsadzi tam rękę dziś wieczorem, ubabrał się syropem. Ale nie chcę niszczyć nowego plecaka.

- Tak - powiedziałam - to mogłoby bardziej zaszkodzić niż pomóc. Poza tym to nie wina Stana. On po prostu wykonuje swoją pracę.

Dauntra spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- Wszyscy niemieccy żołnierze mówili to samo na swoją obronę po II wojnie światowej.

Moim zdaniem sprawdzanie, czy w czyimś plecaku nie ma kradzionych DVD, nie jest tym samym co wymordowanie siedmiu milionów ludzi, ale uznałam, że Dauntrze nie podobałoby się, gdybym powiedziała to głośno.

- Jak ci poszło na tych nowych zajęciach z rysunku? - spytała, zmieniając temat.

- No cóż. Byłam trochę, hm, zbita z tropu. - Nadal nie miałam ochoty poruszać tematu Davida, więc dodałam tylko: - Wiesz, że rysunek z natury oznacza nagiego modela?

Dauntra nawet nie podniosła oczu znad mangi, którą sobie otworzyła nad klawiaturą kasy.

- Jasne.

- Och! - westchnęłam, nieco zawiedziona. - Ja nie wiedziałam. Więc po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy... no, wiesz co.

To zwróciło jej uwagę.

- Modelem był facet? - Podniosła oczy znad komiksu. No cóż, to była bardziej komiksowa powieść, a nawet powieść graficzna. Powinna zacząć dbać o prawidłową terminologię, skoro któregoś dnia sama chcę pisać i ilustrować mangi. - Myślałam, że nagimi modelami są zawsze kobiety.

- Chyba jednak nie zawsze - odparłam.

- Wiesz, któregoś dnia jakiś facet w metrze ściągnął przy mnie spodnie - powiedziała Dauntra. - Za darmo. Musiałam wezwać policję. A ta kobieta, ta Susan Boone, płaci jakiemuś facetowi za to kasę?

- Tak - potwierdziłam. Dauntra pokręciła głową ze zdziwieniem.

- Czy nie czułaś, że to narusza twoje granice? Bo ja, ile razy jakiś facet pokazuje mi swoje klejnoty, kiedy nie jestem zainteresowana ich oglądaniem, czuję, że naruszył moje granice.

- To było trochę inaczej - wyjaśniłam. - No wiesz. Chodziło o sztukę.

- O sztukę. - Dauntra pokiwała głową. - Jasne. W głowie mi się nie mieści, że płacą facetowi za to, żeby pokazywał swoje klejnoty, i jeszcze nazywają to sztuką.

- No cóż, nie jest sztuką pokazywanie przez niego klejnotów, ale rysunek, jaki wtedy robimy.

Dauntra westchnęła.

- Może powinnam zostać nagą modelką. No bo płacą ci tylko za to, że tam siedzisz.

- Naga - dodałam.

- I co z tego? - Dauntra wzruszyła ramionami. - Ludzkie ciało jest piękną formą.

- Przepraszam. - Do kontuaru podszedł wysoki facet w berecie. No naprawdę, w berecie w stylu francuskim, chociaż wcale nie wyglądał na Francuza. - Mam tu odłożony film. Nazywam się Wade, w - a - d...

- Tak, tu leży - powiedziałam szybko. Bo facet w berecie to nasz stały klient i chociaż pracuję w Potomac Video dopiero od dwóch miesięcy, wiem już, że jeśli natychmiast nie pozbędziesz się pana Wade'a, będzie się bez końca rozwodził na temat swojej bogatej kolekcji filmów, głównie czarno - białych.

- Świetnie - powiedział, kiedy pokazałam mu DVD, które dla niego odłożyliśmy. - *Czteryście batów*. Znasz go, oczywiście?

- Oczywiście - zapewniłam, chociaż nie miałam pojęcia, o jakim filmie mówi. - To

będzie czternaście siedemdziesiąt pięć.

- Jeden z najlepszych obrazów Truffauta - oznajmił pan Wade. - Mam go na wideo, ale to jest taki film, że nie można mieć za wiele jego kopii...

- Dziękuję - powiedziałam, podając mu DVD i torebkę.

- Naprawdę znakomite dzieło - ciągnął pan Wade. - Majstersztyk suspense...

- A jak duże były klejnoty tego faceta? - zapytała mnie Dauntra słodkim, niewinnym tonem.

Pan Wade złapał swoją torebkę i uciekł ze sklepu.

- Zapraszamy ponownie! - zawołała za nim Dauntra i obie o mało nie padłyśmy na podłogę ze śmiechu.

- Co tu się dzieje? - Zza westernów wyszedł Stan i popatrzył na nas podejrzliwie.

- Nic - powiedziałam, ocierając z oczu łzy ze śmiechu.

- Pan Wade był tak podekscytowany swoim nowym DVD, że pobiegł do domu, żeby je jak najszybciej obejrzeć - wyjaśniła Dauntra szczerym, przekonującym głosem.

Stan wyglądał, jakby nam nie wierzył.

- Madison - zwrócił się do mnie. - Byli tu wcześniej jacyś fani anime i pomieszalі wszystkie *Neon Genesis Evangelion*. Zajmij się tym, dobrze?

Powiedziałam, że się zajmę, i przesłałam pod kontuarem, żeby sprawdzić dział anime.

Potem, kiedy minęła poobiednia pora szczytu, Dauntra zaczęła czytać kolejną mangę, a ja wyciągnęłam materiały, które dał mi parę dni temu sekretarz prasowy Białego Domu, i zaczęłam je przeglądać.

- Co to jest? - spytała Dauntra.

- Rzeczy, o których będę mówiła w przyszłym tygodniu w MTV - powiedziałam. - Na posiedzeniu rady miasta, u mnie w liceum.

Dauntra wyglądała, jakby miała w ustach jakiś nieprzyjemny posmak.

- Ten durny Powrót do Rodziny? Zamrugałam oczami.

- Nie jest durny. To ważne kwestie.

- Tak - mruknęła Dauntra. - Boże, Sam, czy ciebie nie brzydzi, że jesteś tak wykorzystywana?

- Wykorzystywana? - zdziwiłam się. - W jaki sposób?

- No cóż, prezydent wykorzystuje cię - powiedziała - żeby karmić amerykańską młodzież tym swoim nowym faszystowskim programem.

- Powrót do Rodziny nie ma nic wspólnego z faszyzmem - odparłam. Nie wspomniałam, że nawet gdyby ten program mi się nie podobał, nie bardzo mogę zrezygnować

z funkcji nastoletniej ambasadorki, jeśli nie chcę postawić w wyjątkowo niezręcznej sytuacji rodziców mojego chłopaka. - Ten program ma zachęcać rodziny do wspólnego spędzania czasu.

No wiesz, żeby zamiast całymi dniami oglądać telewizję, usiedli razem i porozmawiali.

- Pozornie o to właśnie chodzi.

- O czym ty mówisz? - Pomachałam trzymanymi w rękę papierami. - Mam to tu na piśmie. Prezydencka inicjatywa Powrót do Rodziny ma...

- .. zachęcać ludzi, żeby przestali oglądać bezmyślne sitcomy i zaczęli ze sobą rozmawiać - dokończyła za mnie Dauntra. - Wiem. Ale to tylko część Powrotu do Rodziny, ta część planu, o której ci mówią. A co z resztą? Z tą częścią, o której nie wiesz?

- Ty chyba masz paranoję - powiedziałam. - Za dużo razy oglądałaś ten film z Melem Gibsonem.

Teoria spisku to jeden z filmów, które najchętniej oglądamy w sklepie. Stan go nienawidzi, bo ile razy Mel i Julia Roberts się całują albo mają się za moment pocałować, Dauntra i ja nie potrafimy zająć się niczym innym poza gapieniem się w ekran.

- No a czy nie okazało się, że miał rację? - spytała Dauntra. - To znaczy Mel? Tam był spiszek. - Spojrzała w dwustronne lustro oddzielające nas od biura na zapleczu. To lustro ma rzekomo pozwolić Stanowi czy komukolwiek innemu siedzącemu na zapleczu łapać sklepowych złodziei. Ale Dauntra jest przekonana, że naprawdę służy szpiegowaniu pracowników. - To nigdy nie znaczy nic dobrego - dodała - kiedy rząd zaczyna się wtrącać w prywatne życie obywateli, na przykład w to, ile czasu spędzamy ze sobą jako rodziny.

Z westchnieniem wróciłam do swoich papierów. Kocham Dauntrę i tak dalej, ale czasami mam wrażenie, że ona jest taka trochę nie z tej ziemi, jeśli wiecie, co chcę przez to powiedzieć. Kto ma czas martwić się rządem i jego zamiarami, kiedy tak wiele jest na świecie prawdziwych problemów? Na przykład takich, że mój chłopak najwyraźniej uważa, że w czasie weekendu Święta Dziękczynienia będziemy uprawiali seks.

Jeszcze raz zastanowiłam się, czy nie zapytać Dauntry o Davida i o mnie, i co sądzi o możliwości огоłocenia mnie w Dzień Indyka z dziewczictwa.

Problem w tym, że Dauntra byłaby jak najbardziej za tym, żebyśmy straciła dziewczictwo. Wiedziałam też, że jeśli jej powiem, to w wypożyczalni pozbędę się opinii grzecznej dziewczynki, wizerunku, którego nie mogłam się pozbyć nawet za pomocą ufarbowanych na czarno włosów.

Ale powiedzieć własnej siostrze to jedna sprawa, a powiedzieć koleżance z Potomac

Video to coś zupełnie innego. To znaczy, mimo mojej sympatii dla *Teorii spisku*, raczej nie wierzę w spiski... Na przykład w to, że Dauntra jest w gruncie rzeczy szpiegiem pracującym dla „US Weekly” i w tej samej chwili, w której zdradzę jej jakieś intymne szczegóły mojego związku z pierwszym synem, poleci z nimi do redakcji.

Ale nieważne. Dauntra chyba ma rację co do jednego: lepiej nie pozwalać rządowi - albo kolegom z Potomac Video - wtrącać się w swoje prywatne sprawy. Pewne rzeczy powinno się zachowywać dla siebie.

A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Ciekawe, jak szybko człowiek potrafi zmieniać zdanie.

Dziesięć filmów najbardziej lubianych przez pracowników Potomac Video:

10. *Podziemny krąg*. Pozbawiony złudzeń młody człowiek spotyka nieznajomego, który pokazuje mu zupełnie odmienny styl życia. Brad Pitt, Edward Norton, 1999. Brad bez koszuli i wielkie eksplozje. Czy to mógłby być zły film?

9. *Zabić drozda*. Prawnik w czasach wielkiego kryzysu na południu Stanów broni czarnego mężczyzny fałszywie oskarżonego o gwałt i uczy swoje dzieci, jak nie żywić uprzedzeń rasowych. Gregory Peck, Mary Badham, 1962. Dwa słowa: „Dziki” Radley. Muszę mówić coś więcej? Chyba nie.

8. *Śmiertelne zauroczenie*. Popularna dziewczyna poznaje buntownika, który pokazuje jej, jak dać nauczkę snobistycznym koleżankom ze szkoły. Christian Slater, Winona Ryder, 1989. Każdy, kto twierdzi, że szkoła średnia tak nie wygląda, to kłamca. No i ten nieśmiertelny tekst: „Kocham mojego zmarłego syna - geja”.

7. *Donnie Darko*. Chłopaka ze szkoły średniej nawiedza wizja wielkiego królika. Jake Gyllenhaal, Patrick Swayze, 2001. Dobra, nie rozumiem tego. Ale strasznie mi się podoba.

6. *Napoleon Wybuchowiec*. Chłopak, którego nikt nie lubi, pomaga nowemu koledze zostać przewodniczącym klasy, a przy okazji zdobyć serce dziewczyny jego marzeń. Jan Heder, Efrén Ramirez, 2004. Najlepsze filmowe sceny tańca, jakie kiedykolwiek nakręcono.

5. *Wszyscy święci*. Dziewczynę z chrześcijańskiego liceum rówieśnicy traktują jak outsidera. Jena Malone, Mandy Moore, 2004. Dla kontrastu trzeba potem obejrzeć *Camp* i można boki zrywać.

4. *Dogma*. Dwa zbuntowane anioły usiłują dostać się z powrotem do nieba. Linda Florentino, Matt Damon, 1999. Alanis Morissette gra Boga. Jeszcze nigdy lepiej nie obsadzono żadnej roli.

3. *Sekretarka*. Sekretarka wdaje się w nietypowy romans ze swoim szefem. Maggie Gyllenhaal, James Spader, 2002. Niepokojący w sposób, który każe ci powiedzieć: Hm.

2. *I'm the One That I Want*. Rutynowa komedia z Margaret Cho z 1999. Margaret Cho, 2000. Powinna być oglądana obowiązkowo przez wszystkie istoty ludzkie.

I mój najbardziej ulubiony film, jako pracownicy Potomac Video:

1. *Kill Bill część I i II*. Najemna zabójczyni szuka zemsty po tym, jak ją samą zaatakowano i uznano za martwą. Uma Thurman, David Carradine, 2003/2004. Czemu ludzie robią jeszcze jakieś filmy, skoro istnieje *Kill Bill*? W *Kill Bill* jest wszystko. Naprawdę, nie trzeba już oglądać niczego innego.

Kiedy tego wieczoru wróciłam z pracy, przez chwilę myślałam, że pomyliłam domy. Niewiele brakowało, a obróciłabym się na pięcie i wyszła. Tak niesamowite było to, co zobaczyłam.

Lucy siedziała przy stole w jadalni, a wokół niej piętrzyły się otwarte książki.

W piątkowy wieczór! Lucy nigdy nie siedzi w domu w piątek wieczorem. Do niedawna zawsze albo była na meczu, albo szła dokądś z Jackiem, który przyjeżdża niemal w każdy weekend, żeby się z nią zobaczyć. A ostatnio pracowała w piątkowe wieczory w Bare Essentials w centrum handlowym.

Ale nie dziś. Dziś wieczorem siedziała nad listą słownictwa do testu SAT razem z - i właśnie dlatego pomyślałam, że trafiłam do niewłaściwego domu na niewłaściwą siostrę - Haroldem Minskym.

Jest wiele miejsc, w których spodziewałabym się spotkać Harolda Minsky'ego. Po pierwsze w Potomac Video, w tym samym dziale anime, gdzie właśnie spędziłam godzinę, robiąc porządek. Albo przy półkach z SE Spodziewałabym się zastać go w szkolnej pracowni komputerowej, gdzie praktycznie mieszka, bo ma uprawnienia pomocnika pana Andrews, który opiekuje się pracownią.

Wcale bym się nie zdziwiła, widząc Harolda w dziale z mangą w miejscowej księgarni Barnes and Noble, albo przed Beltway Biliards, gdzie on i jego kumple przesiadują godzinami i nabijają wysokie wyniki w Arcade Legends.

Ale nigdy, nawet za milion lat, bym się nie spodziewała zobaczyć Harolda Minsky'ego u mnie w domu... A zwłaszcza siedzącego przy stole w jadalni naprzeciwko mojej siostry Lucy.

- Frapujący - mówiła właśnie Lucy, gdy weszłam. - Znaczy, taki z mrożoną kawą?

- Nie - rzucił Harold znudzonym tonem. A po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi mojej siostry, podpowiedział jej: - To przymiotnik.

- Frapujący. - Lucy spojrzała na sufit, jakby w nadziei, że z żyrandola spłynie słownikowa wróżka i ją wybawi.

Wróżki nie zobaczyła, za to zauważyła mnie, stojącą w korytarzu z opadłą szczęką.

- O, cześć, Sara - powiedziała. - Znasz Harolda? Harold, to moja siostra Samantha. Samantha, to jest Harold. No wiesz. Ze szkoły.

Wiedziałam. Harold był pomocnikiem nauczyciela na moich lekcjach informatyki.

- Cześć, Harold - przywitałam się. Harold zerknął na mnie zza okularów (jak mógłby nie być okularnikiem, skoro rodzice dali mu imię po Haroldzie Lloydzie?), skinął głową i odwrócił się z powrotem w stronę Lucy. Co oni sobie, swoją drogą, wyobrażali? Czy nie wiedzieli, że nazwać syna Harold to jak samosprawdzająca się przepowiednia, skazująca go na to, z czym to imię się kojarzy: okulary, szopa zmierzwionych włosów, którym bardzo by się przydał fryzjer, niepewny krok dryblasa, który wystrzelił piętnaście centymetrów w górę w ciągu ostatnich wakacji, przez co w szkole jest jednym z najwyższych facetów nienależących do drużyny koszykówki, i hawajska pomarańczowa koszula, która wyłazi z przykrótkich lewisów.

- No już - powiedział z naciskiem, jakiego zapewne żaden inny przedstawiciel płci męskiej nigdy nie stosował wobec mojej siostry. - Wiesz to. Przed chwilą o tym mówiliśmy.

- Frapujący - powtórzyła Lucy posłusznie. A potem dodała, zwracając się do mnie: - Aha, kupiłam to coś dla ciebie, Sam. Ten drobiazg, o którym rozmawialiśmy jakiś czas temu. Leży u ciebie na łóżku.

Najpierw nie rozumiałam, o czym mówi. Dopiero kiedy zmrużyła jedno oko, oświeciło mnie - i oblałam się rumieńcem. Głębokim.

Na szczęście Harold był zbyt zajęty wymuszaniem z mojej siostry definicji słowa „frapujący” (słowo do egzaminu SAT oznaczające, że coś jest tak ciekawe, że nie można się od tego oderwać), żeby zwracać na mnie uwagę.

- Lucy - powiedział surowo. - Jeśli nie zamierzasz się starać, szkoda marnować mój czas i pieniądze twoich rodziców. ..

- Nie, nie, zaczekaj - odparła. - Znam to słowo. Naprawdę znam. Frapujący. Czy to czasem nie znaczy: „radosny”? Na przykład: „Ostatnie zwycięstwo w meczu futbolowym było dla niego bardzo frapujące”?

Musiałam minąć salon, żeby wejść na górę. Rodzice siedzieli tam i udawali, że czytają. Ale wiedziałam, że słuchają Lucy i jej nowego korepetytora.

- Cześć, kochanie - powiedziała mama, kiedy mnie zauważyła. - Jak było w pracy?

- Pracowicie - odpowiedziałam, nie podnosząc głowy, żeby nie zauważyła moich czerwonych policzków. - Ile czasu to już trwa? - Pokazałam kciukiem w stronę jadalni.

- Dzisiaj mają pierwszą lekcję - wyjaśniła mama. - Zadzwoiłam do szkoły i powiedzieli mi, że ten Harold to ich najlepszy korepetytor do testów SAT. Sądzisz, że zdoła jej pomóc?

- No cóż - odrzekłam - jeśli ktokolwiek miałby jej pomóc, to właśnie Harold.

- Powiedzieli mi, że on na pewno dostanie się na Harvard - powiedziała mama. - Albo

na dowolną inną uczelnię z Ligi Bluszczowej.

- Cały Harold, rzeczywiście.

- Prosiłam o korepetytorcę - mama zniżyła głos, żeby Lucy i Harold nie mogli jej usłyszeć - bo nie chciałam, żeby doszło tu do jakiegoś... romantycznego zawirowania. Wiesz, jak chłopcy zachowują się przy twojej siostrze. Ale kiedy zobaczyłam, jak Harold sobie z nią radzi, wiedziałam, że nadaje się idealnie. To prawie tak, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że ona jest... no cóż, taka, jaka jest.

Ładnie ze strony mamy, że nie powiedziała otwarcie tego, co wszyscy myśleliśmy - że Lucy jest taka śliczna, że faceci regularnie zakochują się w niej od pierwszego wejrzenia i często chodzą za nią, trzymając w dłoni zmięte karteczki z naskrobanym numerem swojego telefonu komórkowego, które Lucy zawsze grzecznie od nich przyjmuje, a potem wyrzuca do kosza w swoim pokoju, kiedy co wieczór robi porządek w swojej torebce.

- No właśnie - powiedziałam - cały Harold. On się kompletnie nie przejmuje takimi rzeczami jak czyjaś popularność. Ani w ogóle dziewczynami. Chyba że nazywają się Lara Croft i żyją w grze na Playstation.

- Nic mnie nie obchodzi, czy on się w niej zakocha - oznajmił tata, gwałtownym gestem odwracając stronę gazety, którą trzymał w ręku. - Jeśli tylko poprawi jej wyniki, będę szczęśliwy.

- Och, Richardzie - zgromiła go mama - nie tak głośno. Sam, David dzwonił, kiedy byłaś w pracy. Powiedział, żebyś do niego oddzwoniła, jak znajdziesz chwilę.

- Świetnie - powiedziałam. Chociaż wcale nie myślałam, że to świetnie. Właściwie miałam na myśli coś przeciwnego do „świetnie”. Bo wiedziałam, dlaczego dzwonił. Żeby się dowiedzieć, co powiedzieli moi rodzice i czy pojedziemy razem na Święto Dziękczynienia, żeby grać w parcheesi.

A ja, prawdę mówiąc, nigdy nie byłam wielką miłośniczką gier planszowych.

Co David by zrobił, zastanawiałam się, gdybym odmówiła? Nie, Davidzie, nie chcę jechać z tobą do Camp David na Święto Dziękczynienia. Czy by mnie rzucił? To znaczy, gdybym po prostu powiedziała, że on może i jest gotowy na seks, ale jeśli chodzi o mnie, wcale nie jestem tego taka pewna.

Nie. David nie jest takim facetem. Po pierwsze, jest totalnym geniuszem - takim podręcznikowym, ze swoimi starymi koszulkami z Boomtowne Rats, bluzami z Converse i długą listą filmów do nagrania na TiVo, wszystkich z gatunku SF. I spójrzmy prawdzie w oczy: geniusze nie rzucają swoich dziewczyn tylko dlatego, że one nie chcą się z nimi obściskiwać, w przeciwieństwie do mięśniaków ze szkolnych reprezentacji. Przynajmniej tak

słyszałam, bo w sumie nie znam bliżej żadnego mięśniaka.

A poza tym wiem, że David naprawdę mnie kocha. Wiem to ze sposobu, w jaki w jednej chwili umie żartować z moich włosów, a w następnej całować mnie w kark i mówić, jak seksownie wyglądam w nowej koszulce od Nike. Wiem, że mnie kocha, bo jestem ostatnią osobą, z którą rozmawia co wieczór, zanim pójdzie spać (nigdy nie zapomina zadzwonić do mnie na komórkę, a jeśli już śpię - albo udaję, że śpię, tak jak wczoraj wieczorem - zostawia mi wiadomość), i pierwszą osobą, do której dzwoni rano (nie, żebym zawsze odbierała telefon, bo zanim nie wypiję swojego porannego dietetycznego Dr Peppera, nie nadaję się do żadnych rozmów).

I nie dzwoni dlatego, że musi, ani dlatego, że w przeciwnym razie załamałabym się nerwowo - tak jak Lucy musi dzwonić do Jacka - ale dlatego, że... No cóż, dlatego, że chce.

Nie, David mnie nie rzuci, jeśli mu powiem, że nie jestem gotowa. On mnie kocha. Poczekaj.

Tak sądzę.

Poza tym, gdyby rzeczywiście mnie rzucił, prasa zjadłaby go żywcem. Nie chcę się przechwalać, ale Amerykanie bardzo mnie kochają za to, że uratowałam ich przywódcę.

Chociaż to było przed ufarbowaniem włosów. Kto wie, jak zareaguje jakaś Margery z Poughkeepsie, kiedy mnie zobaczy w nowej fryzurze, najwyraźniej wzorowanej na Ashlee Simpson?

- Ta inicjatywa Powrót do Rodziny, którą promuje tata Davida - odezwała się mama, przerywając moje rozważania na temat życia seksualnego (czy raczej jego braku) - naprawdę mi się podoba. Czasami mam wrażenie, że w ogóle was, dziewczynki, nie widuję, takie jesteście zajęte.

Wytrzeszczyłam na nią oczy, kompletnie zaszokowana.

- A czyja to wina? - prawie krzyknęłam. - Ta praca na pół etatu to niezupełnie mój pomysł, jak sama dobrze wiesz.

Tata opuścił gazetę.

- Ważne, żebyście nauczyły się wartości...

- Tak, tak - przerwałam mu: - Wartości dolara. Wiem. - Jakby cokolwiek jeszcze kosztowało dolara. - A tak przy okazji, czy Lucy przesunęła sobie zmianę w pracy? Czemu jest w domu tak wcześniej? Zwykle nie wraca z centrum handlowego przed dziesiątą.

Zauważyłam spojrzenia, które wymienili mama z tatą. Nie myślcie, że nie.

- Uznaliśmy, że biorąc pod uwagę wyniki Lucy z testów SAT, będzie musiała poświęcić więcej czasu na naukę, a trochę mniej na życie towarzyskie i pracę - odparła mama

lekkim tonem.

Minutę zajęło mi przetrwanie znaczenia jej słów. A potem, kiedy je wreszcie zrozumiałam, szczęka mi opadła.

- Chwileczkę! - zawołałam. - Pozwalacie jej wykręcić się od pracy tylko dlatego, że zawaliła egzaminy SAT? To nie fair!

- Cii... - Mama spojrzała nerwowo w stronę jadalni. - Lucy było bardzo przykro, że musiała złożyć wymówienie. Wiesz, jak bardzo się cieszyła z tej zniżki przysługującej pracownikom...

- Więc jeśli zacznę dostawać gorsze stopnie - spytałam ostro - będę mogła zrezygnować z Potomac Video?

- Sam! - Mama rzuciła mi karcące spojrzenie. - Co ty wygadujesz. Przecież uwielbiasz swoją pracę. Ciągłe opowiadasz o tej swojej przyjaciółce Donnie i o tym, jaka jest fajna...

- Dauntrze.

- Tak, Dauntrze. A poza tym możesz sobie poradzić z większym zakresem obowiązków niż twoja siostra. Zawsze tak było.

- I staraj się tak dalej - dodał tata. - W przeciwnym razie każemy ci przerwać lekcje rysunku, tak jak kazaliśmy Lucy przerwać treningi cheerleaderek.

Patrzyłam na niego kompletnie zbита z tropu.

- Zaraz... Kazaliście jej zrezygnować z treningów cheerleaderek?

- Egzaminy SAT są od nich ważniejsze - powiedział tata, po którym można było oczekiwać takiej opinii, skoro w szkole średniej bardzo przypominał... no cóż, Harolda, sądząc z opowieści, jakie słyszałam.

- Zrobi sobie przerwę na jakiś czas - dodała mama. - Jeśli poprawi stopnie, będzie mogła wrócić do drużyny. Rozmawialiśmy z jej trenerką. Ona rozumie, że to po prostu trochę za dużo naraz, cheerleading, prace domowe...

- Nie byłoby za dużo - rzucił tata z gazety - gdyby pewna osoba nie przyjeżdżała tu co weekend i nie oczekiwała, że Lucy spędzi z nią każdą chwilę od świtu do nocy.

- Ależ Richardzie - odparła mama. - Przecież wiesz, że rozmawiałam ze Slaterami. Obiecali, że powiedzą Jackowi parę słów...

- To nic nie da - burknął tata, nadal nie wyglądając z gazety. - Facet nigdy ich nie słu...

- Richard - przerwała mu mama wyraźnie poirytowana. Wyszłam z pokoju. To średnia przyjemność słuchać, jak moi rodzice kłócą się o chłopaka Lucy. A robią to niemal za każdym razem, kiedy padnie jego imię. Nie, żeby się różnili w opiniach na jego temat. Oboje

szczerze go nie cierpią. Mają tylko odmienne zdanie co do tego, jak należy postępować w tej sytuacji. Mama uważa, że jeśli spróbują zabronić Lucy tego związku, jej uczucia do Jacka tylko się spotęgują.

Tata natomiast sądzi, że jeśli zabronią Lucy spotykać się z Jackiem, to załatwi całą sprawę.

Dlatego Lucy i Jack wciąż ze sobą chodzą. Bo wszyscy (poza moim tatą) wiedzą, że jeśli zabroni się dziewczynie spotykać z jakimś facetem, ona tylko jeszcze bardziej będzie tego chciała.

To zresztą kolejny przykład na to, że Lucy ma znacznie lepsze życie niż ja. Chodzi z facetem, którego moi rodzice nie lubią i mu nie ufają, więc cały czas się o nią martwią.

Lucy to szczęściara.

Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, jej szczęście jakby się wyczerpało - przynajmniej w kwestii treningów cheerleaderek. No bo - może mówię coś kompromitującego kwestie feministyczne - ona to uwielbiała, a teraz jej to zabrano.

Nie wyglądała jednak na zdruzgotaną, siedząc przy stole w jadalni z poczciwym Haroldem. Co trochę mnie dziwi, bo nieważne, czy żal jej cheerleadingu, czy nie, rzeczą, której na pewno jej zabraknie, jeśli mama z tatą przeprowadzą swoją wolę, jest Jack... A tak w ogóle, gdzie on się podziewa? Dlaczego nie wali do drzwi, nalegając na spotkanie? Czyżby państwo Slater „powiedzieli synowi parę słów”, jak obiecali mojej mamie?

Ale przecież Jack, wielkomięjski buntownik, nie jest typem, który zgodzi się nie spotykać z dziewczyną tylko dlatego, że ona ma jakieś kłopoty w szkole, a on powinien dać jej trochę spokoju. W gruncie rzeczy, odkąd zaczął się uczyć w RISD, jeszcze bardziej niż do tej pory wczuł się w rolę artysty - malkontenta, z tym swoim nowym motocyklem i tak dalej.

Wprawdzie rodzice zabronili Lucy na nim jeździć, mimo że Jack kupił jej nawet kask (Lucy specjalnie się nim nie zachwyciła, bo wolałaby różowy, a poza tym mówi, że kask rujnuje fryzurę), ale to nie znaczy, że Jack nie może krążyć na swoim motorze wokół naszego domu.

Często słyszę w środku nocy, jak to robi...

Chociaż, jak się nad tym zastanowić, ostatnio nie słyszałam zbyt często ryku jego harleya. Co to znaczy? Będę musiała zapytać o to Lucy po wyjściu Harolda.

Na razie obejrzę tę paczkę, którą dla mnie zostawiła.

Leżała dokładnie tam, gdzie mówiła Lucy: na środku mojego łóżka. Zajrzałam do nierzucającej się w oczy brązowej papierowej torebki i zobaczyłam dwa pudełka. Na pierwszym był napis wydrukowany taką męską w kroju czcionką: ŻEBERKOWANE DLA JEJ

PRZYJEMNOŚCI!

O mój Boże. Siostra kupiła mi paczkę prezerwatyw.

Czując, że robi mi się niedobrze, zajrzałam do drugiego pudełka. W środku znalazłam pojemnik, plastikowy aplikator w kształcie tamponu oraz ulotkę.

Tytuł na ulotce głosił: JAK UŻYWAĆ PIANKI PLEMNIKOBÓJCZEJ.

O mój Boże.

O mój Boże!

Schowałam wszystko z powrotem do pudełka, potem oba pudełka do papierowej torby, a torbę wcisnęłam pod łóżko.

Nie byłam przygotowana na coś takiego. Nie, nie i jeszcze raz nie. Poczułam się kompletnie, całkowicie, totalnie niegotowa.

Czy ja, Samantha Madison, naprawdę zamierzałam to zrobić? Naprawdę chciałam uprawiać seks z moim chłopakiem?

Nie mogłam przestać myśleć o tej dziewczynie, z której kpiła Kris... Debra, czy jak jej tam było. Ona uprawiała seks ze swoim chłopakiem. A co, jeśli David i ja zrobimy to, a potem to się rozejdzie, jak w przypadku Deb? Czy ludzie zaczną mnie nazywać dziwką za moimi plecami?

Prawdopodobnie.

Chociaż trudno nazwać mnie gorzej, niż już mnie nazywają (Dziwadło, Goth, Czciicielka Szatana, Punkowa, Psychol itp.).

Ale nie chodzi tylko o ludzi ze szkoły. No bo przy moim szczęściu do zdjęć w prasie (głównie w działach *Jak się nie ubierać*, ale nieważne) wiadomości o moim życiu seksualnym trafią pewnie do wszystkich brukowców. Nie, żebym kiedykolwiek chwaliła się całemu światu, że jestem dziewicą, czy coś. Ale wiecie, byłabym zażenowana, gdyby przeczytała o tym moja babcia...

Dokładnie wtedy Lucy weszła do mojego pokoju, oczywiście bez pukania.

- Sam - wydyszała, bo zapewne wbiegła przed chwilą po schodach. - Mogę pożyczyć twój kalkulator?

Spojrzałam na nią groźnie.

- A co się stało z twoim?

- Pożyczyłam go Tiffany, kiedy byliśmy ostatnio w The Cheesecake Factory i próbowałyśmy obliczyć, jaki zostawić napiwek, a ona zapomniała mi oddać. No, pożycz mi. Jutro odbiorę swój.

Podaliśmy jej kalkulator. W końcu tyle mogłam dla niej zrobić, biorąc pod uwagę

prezent, jaki mi kupiła.

- Dzięki - powiedziała i ruszyła do wyjścia.

- Czekaj... - Dzięki za prezerwatywy i piankę plemnikobójczą. To właśnie chciałam powiedzieć. Ale wykrztusiłam tylko: - Jak ci idzie? To znaczy z Haroldem?

- Świetnie - odparła, przyglądając pasmo tycjanowskich włosów założonych za ucho.

- Zdaniem Harolda zdałam tak źle nie dlatego, że nie jestem mądra. On uważa, że cierpię na stres egzaminacyjny.

- Naprawdę?

- Tak. Harold mówi, że jeśli się przyłożę, to podniosę wynik o sto punktów, a może nawet więcej, tylko muszę robić jakieś ćwiczenia oddechowe, zanim wejdę na egzamin.

Zastanawiałam się, czy to dlatego Harold wiecznie potrzebował inhalatora. No wiecie, do tych wszystkich ćwiczeń oddechowych, które musiał wykonywać, żeby podtrzymać swoją idealną średnią ocen.

- Wiesz - ciągnęła Lucy - Harold jest naprawdę miły. Kiedy już przestaniesz zwracać uwagę na te wszystkie bzdury o *Star Trek* i o tym, jaki jest zły, że przestali nadawać *Angel*.

- Wiem - powiedziałam. - Zawsze lubiłam Harolda. Kiedy schrzanisz coś na informatyce, nigdy nie mówi: „Dlaczego nie zrobiłaś kopii zapasowej?”, tak jak inni asystenci nauczyciela.

- To naprawdę urocze - przyznała Lucy. - Dziwię się, że nie jest bardziej popularny. Jak to się stało, że nie spotkałam go nigdy na żadnej imprezie?

- Bo faceci tacy jak Harold nie dostają zaproszeń na imprezy organizowane przez twoich przyjaciół.

- Dziwne. Przecież moi przyjaciele nie są wykluczający. Uniosłam brwi. To było słowo na egzamin SAT, które przyswoiła sobie dzięki Haroldowi.

- Cóż - odparłam - chyba jednak są. Lucy nie spodobało się to, co usłyszała. Widziałam to, bo spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

- Dzięki za kalkulator. Muszę wracać do Harolda. I wyszła, zanim zdążyłam jej podziękować za to, co mi pożyczyła. No cóż, niezupełnie pożyczyła, bo wątpię, żeby chciała odzyskać to z powrotem...

W tym momencie odezwała się moja komórka.

Tak mnie to zaskoczyło (jeszcze się nie przyzwyczaiłam, że mam komórkę), że aż wrzasnęłam, a Rebecca zawołała ze swojego pokoju:

- Mogłabyś się uspokoić, Sam?! Jestem w naprawdę kluczowym momencie sekcji tej larwy.

Czego, w sumie, wołałabym raczej nie wiedzieć.

Na wyświetlaczu jako dzwoniący zidentyfikował się David. David, z którym nie rozmawiałam - prawdę mówiąc celowo - od naszej wczorajszej rozmowy pod wierzbą płaczącą na trawniku przed moim domem. Zignorowałam już dwie wiadomości, jakie mi nagrał. Teraz musiałam odebrać.

Tylko... co miałam powiedzieć?

- Cześć - wydawało się dobre na początek.

- Cześć - powiedział David.

Ale to nie było takie zwykłe „cześć”. Nikt nigdy nie zdołał zawrzeć więcej w jednym krótkim słowie. Cała radość Davida, że wreszcie odebrałam telefon, cała frustracja, że nie rozmawiał ze mną od ponad dwudziestu czterech godzin, i - naprawdę! - brak pewności *co* do tego, co myślę o propozycji, żeby „pograć z nim w parcheesi” w czasie weekendu Święta Dziękczynienia, były w tym „cześć”.

Jestem pewna.

- Gdzieś ty była? - zapytał. Nie był zły, był po prostu ciekawy. - Zostawiłem ci dwie wiadomości. Nic ci nie jest?

- Przepraszam - powiedziałam. - Miałam tu urwanie głowy. - Zauważyłam brązową torbę wystającą spod łóżka i wepchnęłam ją czubkiem stopy pod zakurzoną falbanę narzuty. Nie pytajcie mnie, dlaczego. No bo przecież Davida nie było ze mną w tym pokoju. Chociaż w sumie był. W pewnym sensie. - Wiesz, w szkole. I w pracy.

- Rozumiem - rzekł David. - No i co powiedzieli? Przez chwilę naprawdę nie pojmowałam, o co mu chodzi.

- Kto co powiedział?

- Twoi rodzice - odparł. - O Święcie Dziękczynienia. Pamięć wróciła mi powodziową falą.

- Ach, Święto Dziękczynienia. - O mój Boże. Święto Dziękczynienia. Chciał wiedzieć, co ze Świętem Dziękczynienia.

No cóż, jasne, że chciał. Przecież dlatego unikałam jego telefonów przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

Wiedziałam, że czeka na odpowiedź w sprawie Święta Dziękczynienia.

Ale nie byłam pewna, czy jestem gotowa dać mu tę odpowiedź.

- Hm. - Zerknęłam na Maneta, który jak zwykle rozwalał się na moim łóżku, zupełnie nieświadomy, że życie jego właścicielki właśnie się wywracało do góry nogami. Psy to mają dobrze. - Przepraszam, ale... jeszcze nie miałam okazji ich zapytać.

Właśnie okłamałam mojego chłopaka. Po raz pierwszy.

- Aha - powiedział David.

To „aha” tak jak „cześć” parę minut wcześniej wiele mówiło. Brzmiało mniej jak „aha”, a bardziej jak „aha?” Ale wpadłam!

- Bo wiesz - nagle zaczęłam mówić strasznie szybko - chodzi o Lucy. Zawaliła testy SAT i teraz rodzice kazali jej zrezygnować z treningów cheerleaderek i załatwili jej korepetytora, i wszyscy w domu dostali kota.

- No tak. - Zabrzmiało to, jakby mi uwierzył. Bo dlaczego miał nie uwierzyć? Zresztą częściowo była to prawda. - Bardzo zawaliła?

- Bardzo - odparłam. - Więc to nie najlepszy moment, żeby ich pytać.

- Rozumiem - powiedział David.

Problem w tym, że jak na faceta, który czekał, aż się dowie, czy będzie - no wiecie - uprawiał seks ze swoją dziewczyną w przyszłym tygodniu, mówił niesamowicie spokojnie. Zupełnie nie tak, jak ci faceci w książkach Lucy, którzy zawsze mówią: „Filippo... muszę cię mieć. Moje lędźwie płoną pożądaniem”.

W każdym razie ja nie wyczułam ani śladu wibracji biorących się z płonących lędźwi.

I dobrze, pomyślałam, że David nie robi sobie zbyt dużych nadziei. Bo przecież to mało prawdopodobne, żebym wykazała się wielką znajomością rzeczy gdy już będziemy to robić, tylko dlatego, że przeczytałam instrukcję stosowania pianki plemnikobójczej.

On też nie, bo jego doświadczenia łóżkowe są równie skromne (czyli żadne) jak moje.

Mimo wszystko, o wiele większe jest prawdopodobieństwo, że ja coś schrzanię, niż że schrzani on. Nie jestem najlepiej skoordynowaną fizycznie osobą na świecie. Ledwie wyciągnęłam się z WF - u (Choć prawdę mówiąc, dlatego, że jestem przeciwna wszelkiej rywalizacji, więc przez większość czasu odmawiałam udziału w zajęciach. Ja po prostu nie widzę w tym sensu. Złap piłkę, goń piłkę, podaj piłkę. A po co to komu? To tylko jakaś głupia piłka).

Czułam, że kiedy - czy raczej jeśli - nadejdzie Wielki Moment, moje ciało samo mi powie, co mam robić. No bo do tej pory jakoś mnie nie zawiodło.

Pomijając wspinanie się po linie na WF - ie.

- No cóż - powiedział David, nadal nie brzmiąc jak facet, którego lędźwie płoną. - Po prostu daj mi znać. Aha, co z jutrzejszym wieczorem?

Z jutrzejszym wieczorem? Czy mieliśmy zamiar robić coś razem jutro wieczorem?

Tak, zgadza się, jutro jest Sobotnia Randka. Czy gdzieś się wybieramy? A jeśli tak, to czy on wróci do tematu? To znaczy do planu wyjazdu na Święto Dziękczynienia? Jutro to

jeszcze za wcześnie! W żaden sposób nie zdążę się zdecydować do jutra! Wciąż dopiero się przyzwyczajam do całego tego pomysłu. Wciąż nie wiem. Nie wiem, czego chcę.

- No tak - powiedziałam, zaskoczona, że mogę mówić o tym wszystkim tak spokojnie.

- Co z jutrem?

- Tata przez cały dzień będzie zajęty w Four Seasons. To ma związek z tym całym Powrotem do Rodziny. Chodzi o zyskanie poparcia różnych grup interesów. Chce, żebym z nim tam był, bo... no wiesz.

- Rozumiem - zapewniłam. - Rodzina i tak dalej.

- Ale możesz przyjść, jeśli masz ochotę.

Po co? Żeby siedzieć obok niego nad talerzem obrzydliwego hotelowego jedzenia, słuchać kolejnej nudnej mowy jego taty i mieć nadzieję, że potem uda nam się pocałować na trawniku przed domem? Nie, dziękuję.

To właśnie miałam ochotę powiedzieć, ale nie zrobiłam tego.

- To może być świetna zabawa - powiedziałam. - Niestety będę zajęta. Baw się tam dobrze.

David roześmiał się.

- Byłem pewien, że to powiesz. I tak udało mi się wykręcić. Z całej rozmowy na temat Święta Dziękczynienia.

- Wiem, że u ciebie pewnie jest nieciekawie - powiedział David. - Przez Lucy i to wszystko. Ale zadzwoń do mnie, dobrze? Naprawdę za tobą tęsknię.

- Ja też za tobą tęsknię - zapewniłam. I wcale nie kłamałam. Naprawdę mi go brakowało.

- Kocham cię, Sharona - powiedział David.

- Kocham cię, Daryl - odparłam i odłożyłam słuchawkę. A potem pomyślałam: Boże, jestem najgorszą dziewczyną na całej planecie.

Dziesięć głównych oznak, po których możesz poznać, że twój chłopak cię kocha.

10. Wytrzymuje twoje dziwaczne nastroje, nawet kiedy masz PMS i oskarżasz go, że woli od ciebie Fergie z Black - Eyed Peas, chociaż doskonale wiesz, że nigdy nie miał okazji jej poznać.

9. Na ogół pozwala, żebyś to ty wybrała film do obejrzenia.

8. To samo co do deseru, który i tak będziecie jedli na spólkę.

7. Zna imiona twoich przyjaciółek i pyta, co u nich słychać (choć w przypadku Davida to nie jest jakieś specjalnie trudne, bo mam tylko jedną przyjaciółkę).

6. Kiedy przychodzisz na obiad, dba (w miarę swoich możliwości), żeby szef kuchni Białego Domu podał coś, co będziesz mogła zjeść.

5. Dzwoni, i to często, żeby po prostu spytać, co robisz.

4. Uważa, że wyglądasz świetnie, nawet gdy nie masz makijażu.

3. Słucha, kiedy mówisz o swoich problemach i próbuje ci podsuwać rozwiązania (nawet jeśli większość tych rozwiązań jest głupia, bo facet pewnych rzeczy po prostu nie rozumie).

2. Nie martwi się, gdy podsłucha, jak mówisz swojej najlepszej przyjaciółce, jak bardzo seksowny jest ten nowy facet z *Kochanych kłopotów*.

A najważniejsza oznaka, po której możesz poznać, że twój chłopak naprawdę cię kocha, to:

1. Nie robi wielkiej afery, kiedy wolisz spędzić sobotni wieczór przed telewizorem niż z nim.

Tyle, że mi się nie udało. To znaczy spędzić sobotniego wieczoru na oglądaniu *National Geographic Explorera* z Rebeccą. Bo koło trzeciej po południu zadzwonił telefon, a kiedy odebrałam, usłyszałam po drugiej stronie linii Dauntrę.

- Sam? - Z jakiegoś powodu wrzeszczała. Wkrótce zrozumiałam, czemu. Gdziekolwiek była, w tle było naprawdę głośno.

- Dauntra? - Trochę się zdziwiłam jej telefonem. Dauntra nigdy przedtem nie dzwoniła do mnie do domu. Nawet nie wiem, skąd miała numer. Wprawdzie telefony wszystkich pracowników Potomac Video są wywieszane na tablicy w gabinecie Stana, ale nie wiedziałam, że Dauntra zapisała sobie mój. - Co to za hałas? Gdzie ty jesteś?

- Na jakimś komisariacie! - wrzasnęła Dauntra. Usłyszałam, że ktoś w tle krzyczy: „Odłóż to natychmiast albo znów ci założę kajdanki!”

- Na komisariacie? - powtórzyłam. - A co ty robisz na komisariacie? Nic ci nie jest?

- Nic a nic - odpowiedziała Dauntra radośnie. - Tyle, że mnie aresztowali.

- Aresztowali? - O mały włos nie upuściłam telefonu. - To znaczy... dzwonił do mnie z aresztu?

- Yhm - potwierdziła. - Bo chyba nie uda mi się stąd wyjść tak, żeby zdążyć na moją zmianę dzisiaj wieczorem.

Zrobisz to dla mnie? Od czwartej do zamknięcia? Obiecuję, że kiedyś ci się odwdzięczę!

Nadal byłam w szoku z powodu miejsca, w którym się znalazła. Poza tym cieszyłam się, że żadne z moich rodziców ani Theresa nie kręcą się na tyle blisko, żeby podsłuchać rozmowę. Nie byłam pewna, czy ucieszyliby się, słysząc, że koleżanka z pracy dzwoni do mnie z więzienia.

- Ale za co cię aresztowali? - spytałam.

- Co? - Dauntra odsunęła się od słuchawki i wrzasnęła:

- Zamknijcie się, ludzie! W ogóle jej nie słyszę. - A potem znów do słuchawki: - Co mówiłaś, Sam?

- Pytałam, za co cię aresztowali.

- A, o to. Z grupą znajomych zorganizowaliśmy leżący strajk okupacyjny przed Four Seasons. Wiesz, tam gdzie twój kumpel prezydent zorganizował swoje spotkanie, żeby zbierać fundusze. Kurczę, ależ się zdziwił.

Hm, nie tylko on. Ja też nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam.

- No jak, możesz wziąć moją zmianę czy nie? - chciała wiedzieć Dauntra. - Bo jeśli nie, to chociaż podzwoń i sprawdź, czy może ktoś inny. Mam prawo tylko do jednego telefonu, a naprawdę nie chcę stracić pracy.

- Masz prawo tylko do jednego telefonu i dzwonisz do mnie? - Byłam zaszokowana. - Czy nie powinnaś raczej zadzwonić do adwokata? - A potem coś sobie przypomniałam.

- Moja mama jest prawnikiem. Powiedz mi, gdzie jesteś, a ja poproszę, żeby tam pojechała i...

- Nie potrzebuję prawnika - powiedziała Dauntra. - Ktoś wkrótce wpłaci za mnie kaucję. Ale nie zdążę na swoją zmianę. No jak, możesz to zrobić?

- Jasne. To znaczy, oczywiście... - Usłyszałam, jak ktoś po drugiej stronie linii wykrzykuje jakieś przekleństwo. - O mój Boże, Dauntra, uważaj na siebie!

- Uważać? - Dauntra roześmiała się. - Ja się tu świetnie bawię! Dzięki, Sam!

I odłożyła słuchawkę.

Godzinę później znalazłam się za kasą w Potomac Video, szukając na jednym z wiszących odbiorników telewizyjnych kanału, na którym pokazywaliby tę demonstrację, w czasie której aresztowano Dauntrę.

Niestety, telewizory w Potomac Video nie są podłączone do kablówki, bo mają służyć do pokazywania filmu, który w danym tygodniu promujemy. Więc udało mi się tylko uzyskać śnieżący ekran. Wreszcie Stan kazał mi przestać i puścić ostatnie DVD z Jasonem Bourne'em. Nie wydawał się specjalnie zdziwiony, kiedy pojawiłam się zamiast Dauntry na jej zmianie.

- Nic mi nie mów - powiedział, kiedy usiłowałam mu wcisnąć zmyśloną historyjkę tłumaczącą, gdzie podziała się Dauntra (pojechała w odwiedziny do ciotki). - Uważaj tylko na złodziei. W sobotnie wieczory mamy ich tu na pęczki. Głupie dzieciaki z okolicy, które się nudzą. Wydaje im się, że to bardzo śmieszne, kiedy zwiną jedną czy drugą grę na Xbox.

Siedziałam za kasą i uważałam na głupie dzieciaki z okolicy, kiedy zabrzęczał dzwonek nad drzwiami wejściowymi. Ale zamiast pana Wade'a czy innych stałych klientów, którzy przychodzą ponarzekać na nasz ograniczony wybór filmów, do środka weszła moja siostra Lucy.

Strasznie się zdziwiłam, bo o ile wiem, stopa Lucy nie przekroczyła progu Potomac Video od lat. Popularne dziewczyny, takie jak ona, nie mają czasu oglądać DVD, bo są za bardzo zajęte chodzeniem na imprezy i obściskiwaniem się ze swoimi chłopakami. Co prawda od czasu do czasu Lucy spędza piątkowy wieczór w domu, ale zawsze pozwala, żeby ktoś inny zajął się wybraniem filmu na wideo. Potomac Video, z wyciętymi z tektury naturalnej

wielkości postaciami Boby Fetta i Hana Solo, z okablowaniem widocznym pod sufitem i ręcznie wypisanymi wywieszkami (TOALETA TYLKO DLA PRACOWNI CALA RESZTA MA SIĘ WSTRZYMAĆ) trudno nazwać miejscem odpowiednim dla Lucy.

Widać było, że ona sama też tak myśli, kiedy mijała półkę z nowościami, przyciągając zachwycone spojrzenia chyba wszystkich obecnych, w większości studentów w koszulkach z napisem POCAŁUJ JAJOGŁOWEGO, kłócących się, którego *Star Treka* wypożyczyć. Gdy wreszcie zobaczyła mnie przy kasie, uśmiechnęła się z ulgą, szybko podeszła do kontuaru - nieświadoma, jak opadały szczęki facetów, których mijała - i powiedziała:

- Cześć, Sam.

- Cześć. Co ty tu robisz? - Byłam pewna, że wyjdzie gdzieś dzisiaj z Jackiem albo przynajmniej ze swoimi koleżankami.

A potem sobie przypomniałam.

- Boże - powiedziałam przerażona. - Na dodatek dali ci szlaban?

Lucy zrobiła zdziwioną minę. - Kto?

- Rodzice. No wiesz. Przez tę sprawę z SAT.

- Nie, nie dali mi szlabanu - odparła ze śmiechem. Popatrzyłam na nią. Wszędzie wokół nas na ekranach telewizorów migotał obraz Matta Damona, który właśnie mówił: „Zabili moja ukochaną!” Jajogłowi stojący przy dziale z fantastyką naukową gapili się na Lucy z tym samym wyrazem tęsknego pożądania, jaki miał na twarzy Matt.

- No dobrze - spytałam - co ty tutaj robisz?

- Och. - Lucy przewiesiła maleńką torebkę od Louis Vuittona (prezent urodzinowy od babci) z jednego ramienia na drugie. - Pomyślałam, że wypożyczę sobie DVD. Jakiś film pod tytułem *Hellboy*. Może o nim słyszałaś.

Gapiałam się na nią przez chwilę.

- *Hellboy* - powtórzyłam.

- Tak. - Lucy rozglądała się po sklepie. Kiedy tylko zerknęła w stronę jajogłowych w dziale z SF, pochylili głowy i zaczęli udawać, że strasznie ich zaciekawiła okładka ostatniego filmu z cyklu *Obcy*. - Macie to tutaj?

- *Hellboya* - powiedziałam jeszcze raz. - Z Ronem Perlmanem i Selmą Blair. Nakręconego w 2004. Opartego na komiksie z serii Dark Horse pod tym samym tytułem. Tego *Hellboya*?

- Chyba tak - odparła obojętnie. - Ja tam nie wiem. Harold mi go polecił.

Gapiałam się na nią jeszcze intensywniej.

- Harold Minsky?

- Tak - potwierdziła. - Powiedział, że to jeden z jego ulubionych filmów wszech czasów. Zdawało mi się, że słyszałam, jak też coś o nim mówiłaś. Nie podobał ci się? Tak myślałam. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jednej z figurek z *Miasteczka Halloween*, które Dauntra ustawiła wokół tacy na bilon. - Macie to?

Nie odrywając wzroku od siostry, zawołałam do facetów w dziale SF:

- Hej, chłopaki, złapcie któregoś *Hellboya* i rzućcie mi go tu.

Sekundę potem kopia *Hellboya* wylądowała na kontuarze. Lucy spojrzała na jajogłowych i uśmiechnęła się.

- Dzięki - powiedziała.

Jajogłowi, śmiertelnie zawstydzeni, uciekli do bezpieczniejszego działu filmów dokumentalnych.

- Proszę. - Wręczyłam Lucy DVD. Spojrzała na okładkę i powiedziała:

- Kurczę. Więc to jest ten *Hellboy*, ten z wypustkami na głowie?

- To są rogi - wyjaśniłam. - On je sobie spiłowuje.

- Ach tak. Czy on jest, hm, fajny? Bo wygląda... niefajnie.

- Na tym polega problem - odparłam. - *Hellboy* to demon pozostający w konflikcie z własną naturą. Jest szatanem, ale został wychowany przez ludzi, którzy serca mieli pełne myśli o dobru ludzkości, więc teraz, jako dorosły, przysiągł walczyć z własną naturą i ocalić świat przed złem. Ratuje go miłość do Liz, która też jest w konflikcie ze swoją naturą piromanki.

- Brzmi fajnie - orzekła Lucy. - No cóż, wezmę to. Ile mam ci zapłacić?

- Dolar - powiedziałam. - Skorzystaj z mojej zniżki dla pracowników, skoro należysz do rodziny.

- Świetnie. - Lucy pogrzebała w torebce. A potem spytała nonszalanckim tonem, wpatrując się w podłogę, na której pełno było wyplutych gum do żucia: - Dobrze znasz tego Harolda, Sam? To znaczy, jakoś tak towarzysko?

Zamrugałam oczami. To była mało pochlebna sugestia, biorąc pod uwagę kręgi, w jakich obraca się Harold. A poza tym... skąd ta nagła fascynacja Haroldem Minskym?

- Cóż - odparłam - niezupełnie. On jest pomocnikiem nauczyciela na moich lekcjach informatyki, więc raczej nie mamy wspólnych przyjaciół. Jestem dziwadłem, ale nie aż takim.

- Ale przecież zbierasz komiksy tak jak on i inne takie - powiedziała Lucy.

- Mangi - poprawiłam ją. - Harold zbiera mangi. Ja je lubię rysować.

- Nieważne. - Lucy znalazła dolara i podała mi go. - Problem w tym, że ... Może wiesz, czy on ma jakąś dziewczynę?

Byłam tak zaszokowana, że omal się nie przewróciłam.

- Harold? Harold Minsky? - A jaka dziewczyna by go chciała? Z tymi włosami? - Nie, Harold nie ma dziewczyny.

- Tak sądziłam - powiedziała Lucy z namysłem. - I dlatego to takie dziwne.

- Co jest dziwne?

- To, że on mnie chyba nie lubi - wyjaśniła. - A właściwie chyba mnie lubi. Ale wydaje mi się, że mnie nie lubi. To znaczy...

- Wiem, o co ci chodzi - przerwałam jej. - O to, że nie leci na ciebie.

- No cóż, tak - przyznała. - To jest takie... dziwne. W sumie trudno się na nią złościć, że mówi coś takiego.

Ona naprawdę nie umie inaczej. Lucy to dziewczyna, na którą lecą wszyscy faceci - wszyscy poza gejami albo tymi, którzy są już zajęci jak David. To, że facet na nią nie leci, było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem.

I to najwyraźniej takim, które niespecjalnie (słowo do egzaminu SAT oznaczające nie do końca i niezupełnie) jej się podobało.

- Lucy - powiedziałam - rodzice lubią Harolda, bo ich zdaniem to taki chłopak, który nie zacznie na ciebie lecieć. Więc jeśli nie chcesz trafić na kogoś jeszcze gorszego... - Chociaż, prawdę mówiąc, nie ma kogoś bardziej jajogłowego niż Harold. No, może poza ludźmi ze szkoły Rebecki i Davida. - Ja bym się raczej nie skarżyła, gdybym była na twoim miejscu.

- Nie mam zamiaru się skarżyć - odparła, rzucając mi spojrzenie, które mówiło: „Czyś ty zwariowała?” - To po prostu dziwne, nic więcej. No bo wszyscy chłopcy mnie lubią, więc dlaczego on nie?

Teraz zaczęła mi działać na nerwy. Lucy potrafi być świetną siostrą - przykład to ta pianka plemnikobójcza, którą mi kupiła - ale jest też jedną z najbardziej próżnych istot na tej planecie.

- Nie wszyscy oceniają ludzi na podstawie wyglądu - powiedziałam. - Może w kręgu twoich znajomych to jest *de rigueur* (słowo do egzaminu SAT oznaczające, że coś jest przyjęte albo zaakceptowane). Ale Harold sądzi ludzi raczej po ich wnętrzu niż po wyglądzie.

Kiedy Lucy gapiła się na mnie, nic nie rozumiejąc, postukałam palcami w okładkę DVD, które wypożyczała.

- Jak on - powiedziałam, wskazując Hellboya. - Wygląda paskudnie, ale nie jest paskudny. Nie możesz wiecznie oceniać ludzi po tym, jak wyglądają. Brzydki ludzie miewają cudowne wnętrza. A piękni bywają brzydki w środku. Może Harold uważa, że twoje wnętrze

pozostawia coś do życzenia.

- Dlaczego? - spytała Lucy kwaśno. - Nie jestem zła. Ani głupia, jeśli o tym myślisz. Nie wiedziałam, co to znaczy frapujący, ale to jeszcze nie powód, żeby...

- A dlaczego cię to w ogóle obchodzi? - spytałam ją, no wiecie, tylko po to, żeby się upewnić, że nie zaczyna, wbrew wszystkim prawom natury, lecieć na Harolda. - Czy ty czasem nie masz już chłopaka? I w ogóle, gdzie jest Jack?

- Och! - westchnęła Lucy, znów wpatrując się w podłogę. - Nie przyjechał na ten weekend. Powiedziałam mu, żeby nie przyjeżdżał. No wiesz, rodzice są tacy zmartwieni tymi całymimi testami SAT.

- Tak - powiedziałam z nieco większym współczuciem. - Słyszałam o Bare Essentials. I o treningach cheerleaderek. Na pewno ci przykro.

- Nieważne. - Lucy wzruszyła ramionami. - I tak byłam już trochę zmęczona cheerleadingiem. Kiedy jesteś kapitanem drużyny, to już nie jest taka sama frajda. Mam pomagać wymyślać układy i inne takie. To za duża odpowiedzialność. Wiesz, o co mi chodzi?

Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś określał wymyślanie układów dla drużyny cheerleaderek jako zbyt trudne czy za bardzo odpowiedzialne. Ale może to i było trudne. Tak trudne jak wtopienie rysowanego obiektu w tło.

- Jak Jack to przyjął? Był bardzo zły? - spytałam. Bo Jack należy do ludzi, którzy oczekują, że każdy będzie ich uważał za najważniejszą osobę w swoim życiu.

- Och, kompletnie mu odbiło... - powiedziała Lucy wesoło. - Chciał wiedzieć, dlaczego on nie może być moim korepetytorem. .. Jakby jego wyniki były o wiele lepsze niż moje. Rodzice z miejsca to wykluczyli. Twierdzą, że we dwójkę w ogóle byśmy się nie zajmowali nauką. Poza tym Slaterowie chcą, żeby Jack skoncentrował się na własnych studiach. Nie przykładał się do nich zbyt, przyjeżdżając tu co weekend i tak dalej. Oblał jakiś projekt i okropnie się na niego za to wkurzyli.

Mogłam to sobie wyobrazić. Państwo Slaterowie musieli pociągnąć za wiele sznurków, żeby Jack w ogóle się dostał do RISD, bo stopnie miał raczej marne. Najwyraźniej ta jego teoria, że stopnie o niczym nie świadczą, nie sprawdza się.

- Pewnie będziesz za nim tęsknić - powiedziałam, chcąc zaoferować Lucy siostrzane wsparcie. - No bo teraz nie będziecie mogli się widywać przez jakiś czas.

- Pewnie tak - przyznała, ale bez przekonania. - Jak sądzisz, czy Harold lubi ciastka z kawałkami czekolady? Bo pomyślałam sobie, że mu trochę upiekę. W ramach podziękowania za to, że mi pomaga.

- Rodzice płacą mu za te lekcje - zauważyłam. - Nie musisz piec mu jeszcze

ciasteczek.

- Wiem, ale nie zaszkodzi być miłym dla ludzi. - Wzięła torebkę z płytą DVD. - No cóż, dzięki.

- Nie ma za co - odparłam, a potem, zdając sobie sprawę, że pewnie robię z siebie idiotkę (No bo czy Lucy mogłaby durzyć się w Haroldzie Minskim? Litości...), dodałam: - Ja też ci dziękuję. Za... hm, no wiesz, za torebkę, którą mi zostawiłaś.

- Nie ma sprawy. - Lucy roześmiała się i jeden z jajogłowych potknął się o naturalnej wielkości postać Boby Fetta.

- Hej, Madison! - Stan, który nagle pojawił się u mojego boku, stanął i zaczął gapić się na Lucy. - To twoja przyjaciółka?

- Moja siostra - odparłam. - Lucy, pozwól, to jest nasz kierownik wieczornej zmiany, Stan.

- Miło mi - powiedziała Lucy uprzejmie, a Stan wciąż stał i gapił się na nią, jakby wyszła prosto z *Amazing Nurse Nanako*.

- Cześć - szepnęła. A potem powiedział do mnie już normalnym głosem: - Słuchaj, Madison, jeśli chcesz wrócić do domu z siostrą, to możesz już iść. Ja zamknę.

Spojrzałam na zegar. Do końca zmiany zostało całe piętnaście minut, a on mi pozwalał wyjść wcześniej! Czasami świetnie jest mieć taką seksowną siostrę.

- Dzięki, Stan. - Złapałam za kurtkę i plecak.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Stan, kiedy przechodziłam pod kontuarem, żeby dołączyć do Lucy.

W milczeniu podałam mu plecak, który otworzył i szybko przejrzał zawartość. Luzy patrzyła na to zaciekawiona.

- Proszę - powiedział Stan, oddając mi plecak. - Miłego wieczoru.

- Dzięki - odparłam. - Na razie. I razem z Lucy wyszliśmy na chłodne wieczorne powietrze.

- Czy on wszystkim przeszukuje plecaki przed wyjściem - spytała Lucy, kiedy tylko drzwi się za nami zamknęły - czy tylko tobie?

- Wszystkim - odrzekłam.

- Boże - powiedziała Lucy. - Czy to cię nie wkurza?

- Sama nie wiem. - Prawdę mówiąc, miałam o wiele większe zmartwienia niż to, że ktoś mi przeszukiwał plecak po pracy. Myślałam, że Lucy też. - Czy w Bare Essentials tego nie robią?

- Nie.

- No cóż. Nie da się tyle zarobić, sprzedając staniki na eBayu, co sprzedając kradzione DVD.

- Ty chyba żartujesz - parsknęła Lucy. - Niektóre z tych staników idą za ponad osiemdziesiąt dolarów sztuka. Naprawdę dziwię ci się, Sam, że pozwalasz sobie na takie traktowanie. To zupełnie do ciebie niepodobne.

- A co niby miałabym w tej sprawie zrobić? - mruknęłam. - Zorganizować strajk okupacyjny?

- Nie wiem - odparła. - Ale coś.

Dobrze jej mówić. Ona już nie musiała pracować, a ja tak. Inaczej nie miałabym czym zapłacić za materiały na lekcje rysunku.

Powinłam być od razu się domyślić. Pojawienie się Lucy w Potomac Video powinno stać się dla mnie pierwszym sygnałem tego, co się z nią dzieje.

Ale byłam zbyt zaabsorbowana własnymi problemami, żeby zwracać uwagę na problemy siostry. Zwłaszcza że moje miały się wkrótce znacznie spotęgować.

Dziesięć powodów, dla których nie warto ze mną chodzić:

10. Zamiast wyjść z moim chłopakiem w sobotni wieczór, wolałam zastąpić w pracy kogoś, kto został aresztowany za protestowanie przeciwko czemuś, co bardzo popiera ojciec tego chłopaka.

9. A potem do niego nie zadzwoniłam.

8. Do mojego chłopaka, chociaż mnie o to prosił. Nawet gdy wróciłam tego wieczoru do domu i zobaczyłam w wiadomościach, że setki ludzi aresztowano za to, że położyli się na ziemi przed tym samym hotelem, w którym on jadł obiad.

7. A kiedy on (mój chłopak) dzwoni, pozwalam, żeby włączyła się poczta głosowa. Po prostu nie dorastam do sytuacji.

6. Chociaż wiem, że jemu pewnie jest przykro.

5. Bo ci ludzie wyglądali, jakby naprawdę nienawidzili jego taty.

4. Ale mam w tej chwili na głowie tyle problemów. Na przykład muszę zdecydować, czy się z nim zgadzam, że jesteśmy już gotowi. Na sami wiecie co.

3. Bo mam wątpliwości, czy jestem gotowa.

2. Całkiem poważne wątpliwości.

A główny powód, dla którego nie warto ze mną chodzić, to ten, że:

1. Następnego dnia też do niego nie dzwonię. Ani nie odbieram telefonu, kiedy on dzwoni do mnie.

Oni byli wszyscy okropnie... brudni. - Tylko tyle miała do powiedzenia Catherine na temat protestujących, których widziała w telewizji. Tych, którzy byli przed Four Seasons, kiedy aresztowano Dauntrę. I których też aresztowano. - Wyglądali, jakby się nie kąpali od tygodni.

- Przecież to był leżący strajk - zauważyłam. - Udawali, że nie żyją, więc musieli leżeć na ulicy. Dlatego się pobrudzili.

- To nie był tylko uliczny brud - powiedziała stanowczo, szukając wśród jabłek w barze sałatkowym takiego, które nie byłoby obtłuczone. - Wyglądali zupełnie jak bezdomni. Czy oni nie mogli włożyć lepszych ubrań?

- Nikt nie kładzie się na ulicy w odświętnych ciuchach - tłumaczyłam jej.

- Może i tak, ale jeśli chcieli zyskać więcej sympatii dla swojej sprawy, to powinni chociaż wyjąć trochę tych swoich kolczyków. No bo jak mamy się poczuć solidarni z takimi ludźmi? Wystarczy, że obrażali prezydenta. Czy musieli wyglądać przy tym tak... grandżowo?

- Oni nie obrażali prezydenta - sprostowałam. - Oni protestowali przeciwko jego ...

Zanim zdążyłam dokończyć zdanie, podeszła do nas Kris Parks i spytała:

- A co wy tu robicie? Miałyście mi pomóc na sali gimnastycznej!

Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Catherine trąciła mnie łokciem i przypomniała:

- Przed jutrzejszym posiedzeniem rady miasta. Pamiętasz?

- Tak, jasne - odparłam, usiłując nie okazać irytacji. Bo spędzenie długiej przerwy na rozstawianiu składanych krzeseł z Kris Parks i jej wstrętną Właściwą Drogą było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę.

- No, chodźcie - powiedziała Kris, łapiąc mnie za ramię. - Powiedziałam wszystkim, że będziesz.

Tymi wszystkimi okazali się... No cóż, wszyscy. Nie tylko dziewczyny z Właściwej Drogi i inni ludzie z Liceum imienia Adamsa, włącznie z moją nauczycielką niemieckiego Frau Rider, która chodziła po sali i pokrzykiwała:

- Nie zachlapijcie farbą podłogi!

Nie, Kris zaprosiła także przedstawicieli prasy i telewizji. Żeby mogli sobie popatrzeć jak ja, dziewczyna, która uratowała prezydenta, rozstawiam składane krzesła.

Na szczęście nie pojawiło się ich zbyt wielu. Dziennikarze szukają ciekawych tematów, a przygotowania do wizyty prezydenta w jakimś liceum do takich nie należą. A może zorientowali się, że to wszystko było tylko spiskiem zaplanowanym przez Kris po to, żeby mogła trafić do gazet i dołączyć jeszcze jeden papier do pliku, kiedy będzie rozsyłała zgłoszenia na uniwersytety.

Po sali kręciło się kilku dziennikarzy z prasy niezależnej, a ich fotoreporterzy zawzięcie pstrykali zdjęcia, kiedy malowałam wielki napis: WITAMY W LICEUM IMIENIA ADAMSA, PANIE PREZYDENCIE.

Wreszcie Debra Mullins, dziewczyna z zespołu tanecznego, wobec której Kris była taka wredna w zeszłym tygodniu, podeszła i zapytała donośnym, wysokim głosem:

- Hej, ludzie, co robicie?

Kris, świadoma skierowanych na nią obiektywów, odparła:

- Szykujemy się do wizyty prezydenta we wtorkowy wieczór.

- Prezydent tu przyjeżdża? - Debra była pod wrażeniem. - Do Adamsa?

- Tak - potwierdziła Kris. - Gdybyś mniej czasu spędzała pod trybunami ze swoim chłopakiem, a więcej uważając na lekcjach, dotarłoby to do ciebie.

Debra, słysząc to, nerwowo zamrugnęła oczami. Szczerze mówiąc, ja też.

- Czy to było naprawdę konieczne? - zwróciłam się do Kris, kiedy Debra odeszła.

Popatrzyła na mnie, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię.

- Czy co było naprawdę konieczne? - spytała.

- To - wskazałam Debrę końcem pędzla - co jej powiedziałaś.

Kris uśmiechnęła się głupawo.

- O co ci chodzi? Przecież to prawda.

- Tak, ale to jej chłopak. Jeśli chce z nim siedzieć pod trybunami, to co to ciebie obchodzi?

- Tego, co robią tam razem, raczej bym nie nazwała siedzeniem. Puszczaniem się już prędeż.

Dopiero gdy zmrużyła oczy, zrozumiałam, co jest grane. Wszyscy reporterzy, którzy snuli się po sali wyraźnie znudzeni, przeklinając swoich redaktorów, że zlecili im taki beznadziejny temat, nagle się ożywili i zaczęli zwracać uwagę na to, co mówimy. Było niemal słychać, jak myślą: Niezłe. Dziewczyna, która uratowała prezydenta, wdaje się w sprzeczkę z przywódczynią Właściwej Drogi. Bardzo interesujący materiał.

- A tak przy okazji - dodała Kris z wymuszonym uśmiechem, bo nie mogła powiedzieć tego, na co miała ochotę, czyli: „Spadaj, Sam” - nie wiedziałam, że ty i Deb się

przyjaźnicie.

- Nie przyjaźnimy się - odparłam. I zrobiło mi się głupio. Bo zabrzmiało to, jakbym nie chciała się przyjaźnić z Deb ze względu na to, że jest „dziwką”. Tak naprawdę nie mogłam się z nią przyjaźnić, bo ona należy do zespołu tanecznego, a ja nie cierpię ludzi ogarniętych „duchem szkolnego entuzjazmu”.

- Chodzi mi o to, że...

Nie zdążyłam powiedzieć, o co mi chodzi, bo w tym momencie rozdzwoniła się moja komórka.

David. To musiał być David.

A ja nadal nie byłam gotowa, żeby z nim porozmawiać.

Wszyscy na mnie patrzyli - Kris, Catherine, Frau „Nie pochłapcie farbą podłogi”, Rider, reporterzy.

Komórka znów zagrała *It's My Life*. To melodyjka, jaką sobie wybrałam, z piosenki No Doubt.

- No co? - powiedziała Kris. - Nie odbierzesz? Wyciągnęłam komórkę z kieszeni dżinsów i chciałam ją wyłączyć, ale nim zdążyłam to zrobić, Kris zauważyła na wyświetlaczu imię Davida.

- Ooch - powiedziała bardzo głośno. - To pierwszy syn! Obiektywy wszystkich kamer na sali skierowały się prosto na mnie.

Nie mogłam zignorować telefonu Davida.

Czując, że robi mi się niedobrze, odebrałam połączenie.

- Halo?

- Sam? - David znów w jednym słowie zdołał zawrzeć tysiąc różnych emocji: ulgę, że wreszcie odebrałam, zadowolenie, że słyszy mój głos, niepokój, że przez ostatnie dwa dni go unikałam... a może nawet trochę złości z tego powodu. - Jesteś wreszcie. Gdzie się podziewałaś? Usiłuję się z tobą skontaktować od soboty.

- Wiem - powiedziałam, świadoma skierowanych w moją stronę kamer. - Przepraszam, miałam urwanie głowy. Co u ciebie?

- Mówisz, że ty miałaś urwanie głowy? - David roześmiał się. - Czy ty ostatnio włączałaś telewizję? Widziałaś, co się stało w sobotę wieczorem? Żałuj, że cię tam nie było. Bardzo by ci się podobało.

- Pewnie tak - przyznałam. - Słuchaj, David, to nie jest dobry moment na rozmowę.

- A kiedy będzie dobry moment? - zapytał. Już się nie śmiał. - Prawie ze mną nie rozmawiasz od czwartku. Czy znajdziesz dla mnie choć chwilę w swoim wypełnionym ka-

lendarzu?

- To ty musiałeś wyjść w sobotę ze swoimi rodzicami - powiedziałam i w tej samej chwili, w której to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że jestem niesprawiedliwa. No bo przecież prosił, żebym poszła z nimi.

A jego rodzice to nie... no cóż, to nie są zwykli rodzice.

- Co się dzieje, Sam? - David był całkiem zbity z tropu. - I nie mów mi, że nic. Widzę, że coś się dzieje. Jesteś na mnie zła czy co?

Nagle dotarło do mnie, jak cicho się zrobiło na sali gimnastycznej. Dziwne, bo przecież było tam wielu ludzi, a wszyscy zajmowali się dość hałaśliwymi zajęciami, na przykład rozstawianiem składanych krzeseł i ustawianiem ich w rzędy.

Nic z tego nie działo się w tej chwili. Wszyscy po prostu stali i gapili się na mnie. Nawet Catherine znieruchomiała z pędzlem w ręku („Nie pochlap farbą podłogi!” - syknęła Frau Rider). Jedyнным słyszalnym dźwiękiem był szmer kamer, które mnie filmowały.

- Bo mnie się wydaje - ciągnął David, który był coraz mniej niepewny, a coraz bardziej zły - że od czasu, kiedy cię zaprosiłem na Święto Dziękczynienia, jesteś na mnie wściekła. I chciałbym wiedzieć, dlaczego. Co ja ci zrobiłem?

- Nic - powiedziałam, piorunując wzrokiem Kris Parks, która wyglądała jak kot, który właśnie połknął kanarka. A wszystko dlatego, że filmowali mnie podczas kłótni z moim chłopakiem. - Muszę kończyć. Później ci wyjaśnię.

- Co mi wyjaśnisz? - spytał David. - Dlaczego musisz kończyć, czy dlaczego jesteś na mnie wściekła?

- Nie jestem - zapewniłam. - Naprawdę.

- Naprawdę?

- Naprawdę - powiedziałam. A potem dodałam z desperacką nadzieją, że on zrozumie coś, czego ja sama nie rozumiałam: - Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparł, ale dosyć niecierpliwym tonem. I przerwał połączenie.

Włożyłam telefon do kieszeni i wróciłam do napisu, który malowałam.

- Wszystko w porządku? - spytała Catherine, podając mi pędzel.

- Tak - powiedziałam, wypełniając farbą litery E, N, C, I, E w słowie „prezydencie”.

- To świetnie - powiedziała Kris Parks, pochylając się nad literami Z, Y, D. - Bardzo bym nie chciała, żeby pojawiły się jakieś kłopoty.

I wtedy, z powodów, których nigdy nie zrozumieć, kopnęłam puszkę z farbą. Farba rozlała się po całym plakacie z napisem WITAMY W LICEUM IMIENIA ADAMSA, PANIE PREZYDENCIE, po butach ludzi, którzy przy nim pracowali, i po podłodze sali

gimnastycznej.

- Oooo! - wrzasnęła Frau Rider.

- Sam! - zawołała Catherine, uskakując na bok.

- Ty suko! - krzyknęła Kris Parks, kiedy zobaczyła, co zrobiłam z jej mokasynami.

A ja po prostu cisnęłam ubabrany farbą pędzel na sam środek linii rzutu wolnego i wyszłam.

Dziesięć rzeczy, którymi można sobie wypełnić czas, kiedy cię zatrzymają po lekcjach w Liceum imienia Adamsa:

10. Odrobić pracę domową z trygonometrii.
 9. Obgryzać paznokcie.
 8. Przeczytać lekturę na niemiecki.
 7. Zastanowić się, co zrobią rodzice, kiedy się dowiedzą, że zatrzymali cię w szkole po lekcjach.
 6. Dojść do wniosku, że pewnie zabronią ci pojechać z twoim chłopakiem do Camp David na Święto Dziękczynienia.
 4. Napisać wypracowanie z angielskiego na temat: *Co dla mnie oznacza patriotyzm*. I koniecznie wspomnieć w nim, że za niezgadanie się z rządem nie powinno się trafić do więzienia.
 3. Narysować własną mangę. Nie taką głupią, w której chłopaki zamieniają się w puchate króliczki, kiedy bohaterka ich przytuli, ale czadową, w której bohaterka ma ważną misję. Na przykład musi pomścić swoją rodzinę jak Urna Thurman w *Kill Bill*, i zabija wszystkich, którzy staną jej na drodze.
 2. Dać sobie spokój z mangą po pięciu ramkach, bo to za trudne, i spróbować narysować z pamięci swojego chłopaka, koncentrując się na całości, zamiast na częściach.
- A najważniejsza rzecz, którą można sobie wypełnić czas, kiedy cię zatrzymają po lekcjach w Liceum imienia Adamsa, to:
1. Zastanawiać się, czy twój chłopak jeszcze cię lubi po tym, jak go potraktowałaś. I martwić się, że może zdać sobie sprawę, że bez trudu znajdzie dziewczynę o wiele normalniejszą niż ty.

Rodzice zachowali się naprawdę fajnie w sprawie całego tego zatrzymania po lekcjach. Kiedy usłyszeli, że była w to zamieszana Kris Parks, powiedzieli tylko:

- No cóż. Po prostu nie rób tego więcej. Nawet Theresa powiedziała: - Jestem z ciebie dumna, Sam, że nie wylałaś jej tej farby na głowę.

Co mi uświadomiło, że zrobiłam w tym roku spore postępy, dojrzewając jako jednostka ludzka. Bo w zeszłym roku na pewno wylałabym farbę na głowę Kris Parks, a nie na jej buty.

Ani rodzice, ani Theresa nie mieli pojęcia, dlaczego rozlałam farbę po całej podłodze sali gimnastycznej. Tylko Lucy, która wpadła do mojego pokoju po obiedzie, kiedy biedziłam się nad pracą domową z niemieckiego, odgadła prawdziwy powód.

- No więc - spytała, kładąc się na łóżku obok Maneta - co się dzieje z tobą i Davidem?

- Nic - burknęłam ze złością. Nawet mnie nie pytajcie, dlaczego. No bo przecież Lucy była dla mnie bardzo miła w tej całej sprawie z prezerwatywami i pianką plemnikobójczą.

Pewnie to nie na nią się złościłam, tylko na siebie samą. Bo wciąż nie oddzwoniłam do Davida. Ja po prostu... ..po prostu nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć.

- Czyżby? - Lucy przewróciła się na plecy i wpatrzyła w sufit. - To dlaczego unikasz rozmów z nim?

- A kto ci powiedział, że unikam rozmów z Davidem?

- Cała szkoła o tym mówi - odparła Lucy znudzonym tonem. - Czy nie dlatego tak się wściekłaś i rozlałaś farbę? Bo Kris jakoś to skomentowała?

- Nie - skłamałam. Lucy zaśmiała się cicho.

- Okay. Nieważne - mruknęła.

Ale nie wyszła. Nadal leżała na łóżku, bawiąc się grzywką nad oczami Maneta. Wiedziałam, że spróbuje zapleść ją w warkoczyki albo, co gorsza, pospina malutkimi spinkami w kształcie motylek. Nie cierpię, kiedy to robi. Owczarkom nie bez powodu sierść opada na pyski. Ich oczy są bardzo wrażliwe na światło.

Popatrzyłam na Lucy, która przeczesywała palcami grzywkę Maneta, strosząc ją na irokeza, i pomyślałam, że ona naprawdę ma pewne doświadczenie z chłopcami. Istniała więc szansa - niewielka, ale jednak - że będzie wiedziała, jak mi pomóc. Przecież kiedyś sama znalazła się w podobnej sytuacji.

Zamknęłam książkę do niemieckiego i powiedziałam:

- Już sama nie wiem. To znaczy chcę z nim to zrobić, i tak dalej, ale co, jeśli...

Lucy dała spokój grzywce Maneta i przyłożyła głowę do jego boku.

- Co, jeśli... co? – spytała.

- Co, jeśli... to mi się nie spodoba?

- A ćwiczyłaś? - zapytała Lucy. Wyrzeszczyłam na nią oczy.

- Co miałabym ćwiczyć?

- Kochanie się - odparła. - To bardzo łatwe. Wchodzisz do wanny, puszczasz wodę i przesuwasz się pod kran, aż twoja sama wiesz co znajdzie się pod bieżącą wodą. A potem wyobraź sobie, że ta woda to facet, i pozwól jej...

- O mój Boże! Lucy była szczerze zdumiona moją reakcją.

- Naprawdę nigdy nie próbowałaś? Żałuj, bo to naprawdę działa.

- Lucy! - wrzasnęłam. A przynajmniej rozdarłam się dość głośno, żeby Manet podniósł łeb i rozejrzał się sennie wokoło.

- Co? - zapytała. - Nie ma w tym nic złego.

- To dlatego zawsze tak długo siedzisz w wannie? - w y - chrypiałam.

- Jasne - przyznała. - A co innego miałabym tam robić?

- Myślałam, że się... no, nie wiem. Myjesz. I czytasz te swoje romanse.

- Owszem, to też - powiedziała Lucy. - To naprawdę pomaga. Niektóre mają całkiem ciekawe opisy. Podobno pomaga też wyobrażanie sobie Orlanda Blooma. Kiedy pozwalasz działać strumieniowi wody. U mnie Orlando się nie sprawdza, ale słyszałam, że działa na wiele dziewczyn.

Nie mogłam przestać gapić się na nią.

- Czy to o tym tak ciągle gadacie przy swoim stoliku w stołówce? O kim myślicie, kiedy... kiedy jesteście pod kurkiem?

- Nie w stołówce, głuptasie. - Lucy roześmiała się. - Tam są przecież faceci. A faceci nie lubią słyszeć, że myśli się o czymkolwiek poza nimi. Wierz mi. Ale kiedy facetów nie ma w pobliżu, to owszem, gadamy o takich rzeczach. Zdaje się, że Tiffany Shore pierwsza na to wpadła. Przeczytała o tym w Cosmo. Ale ona używa ręcznej końcówki prysznica.

- O mój Boże! - zawyłam. Lucy była bardzo zdziwiona moim wybuchem.

- No cóż - powiedziała - dziewczyny różnią się od facetów. Nie rodzą się wiedząc, jak to robić. A na faceta raczej nie można liczyć. Większości z nich jest kompletnie obojętne, czy ty będziesz z tego miała jakąkolwiek przyjemność. Na tym świecie dziewczyna musi sama o siebie zadbać. Dlatego ćwiczenia są takie ważne. No i wyrobienie sobie odpowiedniego nastawienia. Sama najczęściej myślę o tym facecie z *Hrabiego Monte Christo*...

- O Jimie Caviezielu? - przerwałam jej, jeszcze bardziej przerażona.

- Tak. Jest taki seksowny. W głowie mi się nie mieściło, że w ogóle prowadzę tę rozmowę.

Musiała się to jakoś odbić na mojej twarzy, bo Lucy dodała:

- Słuchaj, Sam. Nie możesz oczekiwać, że facet będzie wiedział, co zrobić, żebyś miała orgazm. Musisz sama o to zadbać. A przynajmniej dopóki go nie nauczysz.

To było dla mnie coś zupełnie nowego.

- Nauczyłaś Jacka? - spytałam. Nie mogłam uwierzyć, że Jack pozwolił, żeby ktokolwiek kiedykolwiek czegoś go uczył. Nawet Lucy. Bo jemu się wydaje, że wszystko wie.

- Jacka? - Lucy miała dziwny wyraz twarzy. Jakby nagle zebrało jej się na płacz.

Naprawdę. Tak ni stąd, ni zowąd. Na sam dźwięk jego imienia.

A potem zobaczyłam, że chowa głowę w gęstym futrze Maneta.

- Lucy? - Położyłam jej rękę na ramieniu. - Nic ci nie jest? Czy... zrobiło ci się niedobrze, czy coś?

- Tak, zrobiło mi niedobrze - powiedziała prosto w kość biodrową Maneta. - Na dźwięk tego imienia.

Gapiałam się na nią, mrugając oczami. Imienia? Jakiego imienia? Imienia Jacka?

- Czy coś się stało między tobą a Jackiem? - spytałam zmartwiona.

Jeszcze zanim skończyłam mówić te słowa, zdałam sobie sprawę, jak głupio brzmią. Przecież to oczywiste, że coś się zdarzyło między nią a Jackiem. Może znalazł sobie jakąś inną dziewczynę, ze studiów?

Nie, na pewno nie. Jack świata nie widział poza Lucy. Nigdy by jej nie oszukał! No więc co się działo?

Aż sapnęłam, kiedy sobie przypomniałam, co tata powiedział w salonie tamtego wieczoru. Może mama pozwoliła mu zabronić Lucy spotykać się z Jackiem? I teraz oni chcą razem uciec na tylnym siedzeniu jego motocykla. Jak Daryl Hannah i Aidan Quinn w filmie *Buntownik z Eberton*, który widziałam na Romance Channel. O mój Boże, Lucy jest nawet cheerleaderką jak ta dziewczyna, którą grała Daryl! A Jack ma skórzaną kurtkę jak ten chłopak, którego grał Aidan!

Ale gdzie będą mieszkać, jeśli uciekną? Nie mają pieniędzy, a Lucy nie ma już nawet pracy w Bare Essentials! Będą musieli zamieszkać...

W przyczepie kempingowej.

Jak Daryl i Sharona.

- Lucy - powiedziałam, mocniej ściskając jej ramię. - Nie możesz uciec z Jackiem. Nie możesz mieszkać w przyczepie kempingowej. Parkingi dla przyczep są ciągle atakowane przez tornada.

Lucy podniosła głowę znad futra Maneta i popatrzyła na mnie zapłakanymi oczami.

- Uciec z Jackiem? Wcale nie mam zamiaru uciekać z Jackiem. Ja z nim już nawet nie chodzę. W zeszłym tygodniu napisałam mu na IM, że z nami koniec.

Szczęka mi opadła. - Co?!

- Słyszałaś. - Lucy wreszcie usiadła. Wyglądała ślicznie mimo kłaków psiej sierści, które jej się przyczepiły do mokrych od łez policzków.

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

- Zerwałaś z Jackiem? - Czułam się, jakby mózg mi się rozpuścił. - Przez czaty?

- Tak - potwierdziła, obierając sobie twarz z psich kudłów. - A co?

- Czy to nie jest... - Jak ona mogła nie rozumieć? - .. .bezwzględne?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła. - Miałam już szczerze dość tego jego żalosego jęczenia. On mnie przyduszał. Przecież jest na studiach, więc powinien mieć jakieś własne życie, a nie wiecznie czekać, żeby tu przyjechać i zawracać mi głowę.

- Hm - rzekłam. - Jack cię naprawdę kocha. Nic nie może poradzić na to, że za tobą tęskni.

- Ale mógłby przestać być takim kontrolującym świrem, prawda? Boże, jak dobrze mieć go z głowy. „Wierzyć mi się nie chce, że wolisz iść na mecz niż spotkać się ze mną” - powiedziała, naśladowując głos swojego byłego chłopaka. - ”Czasami wydaje mi się, że ta twoja głupia drużyna cheerleaderek obchodzi cię bardziej niż ja”. Jakby to, że chcę się rozerwać z przyjaciółmi, było dla niego jakąś obrazą!

Więc Lucy i Jack się rozstali? Naprawdę się rozstali, a nie tylko, po swojemu, pokłócili? I między nimi wszystko skończone? Nie mogłam w to uwierzyć.

- Ale przecież chodziłaś z nim całe lata - powiedziałam. - Uznano was za najbardziej prawdopodobną parę, która się kiedyś pobierze.

- No cóż - odparła. - Nie udało się.

- Ale on był twoim pierwszym! - zawołałam.

- Moim pierwszym czym? - spytała Lucy.

- Twoją pierwszą miłością. Lucy skrzywiła się.

- Mów do mnie jeszcze. Gdybym tylko wiedziała, nie wybrałabym kogoś tak humorzastego. Ani tak zaborczego. Wybrałabym kogoś bardziej podobnego do...

Spojrzałam na nią badawczo.

- Podobnego do kogo?

- Do nikogo - powiedziała szybko. - Nieważne.

- Pytam poważnie - nalegałam. - Mnie możesz to powiedzieć. Nikomu nie powtórzę.

Do Davida, pomyślałam. Powie, że do Davida. Na pewno chciałaby mieć takiego chłopaka jak on. David wymyślił dla nas imiona odpowiednie dla białej hołoty. Jack nigdy nie wymyślił dla nich imion odpowiednich dla białej hołoty.

I Lucy wie, że kiedy David do mnie dzwoni, to nigdy po to, żeby się upewnić, czy nie umawiam się z jakimś innym chłopakiem, ale dlatego, że naprawdę jest ciekawy, co u mnie słychać, jak mi minął dzień.

David odprowadza mnie do drzwi za każdym razem, kiedy mnie odwozi do domu. Czasami to jest jedyna okazja, żebyśmy mogli się pocałować, co może wpływać na jego motywację, ale Lucy nie musi tego wiedzieć. A Jack nigdy nie odprowadził jej do drzwi.

Lucy chciałaby mieć chłopaka, który będzie podobny do mojego.

I wcale jej za to nie winię. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że David to po prostu idealny kandydat na chłopaka.

Więc dlaczego zaczynam być dla niego taka wredna?

- Ale on... - Lucy zaszlochała i dostała czkawki. - On jest taki... taki inteligentny!

Biedna Lucy. David z pewnością jest o wiele inteligentniejszy niż Jack. Nie sposób temu zaprzeczyć. Przyznaję, że Jack jest utalentowanym artystą, ale to jeszcze nie robi z niego inteligentnego faceta. Kiedyś uparcie twierdził, że Picasso wynalazł fowizm. Poważnie.

- Tak - powiedziałam współczująco. - Jest bardzo inteligentny.

- To niesamowite spotkać faceta, który wie... no cóż, wszystko - ciągnęła Lucy takim tonem, jakby znów zbierało jej się na płacz. - Jack tylko uważa, że wie wszystko.

- Masz rację - przyznałam i zamyśliłam się. Biedna Lucy. Gdyby tylko David miał brata. - On tylko tak uważa.

- I ciągle powtarza, jaki to z niego wielkowiejski buntownik. .. Co to za buntownik, skoro rodzice płacą za wszystkie jego wydatki?

- Racja - powiedziałam. - Święta racja.

- Chodzi o to, że Jack jest zwykłym pozerem.

- To prawda. - Davida nie sposób nazwać pozerem. Jest zawsze sobą i nikogo nie udaje. - Jack to zwykły pozer.

- Nie chcę chodzić z pozerem - oznajmiła Lucy. - Chcę czegoś prawdziwego. Chcę prawdziwego mężczyzny.

Takiego jak David. No cóż, trudno ją za to winić.

- Znajdziesz go - pocieszyłam ją. - Któregoś dnia.

- Już znalazłam - powiedziała Lucy. - Co?

- Znalazłam - powtórzyła - ale on mnie nie chce! A potem z płaczem ukryła głowę na moich kolanach. Patrzyłam, nic nie rozumiejąc, na jedwabiste loki rozsypane na moich udach.

- Znalazłaś go? Gdzie?

- W sz - szkole - chlipała Lucy.

Chociaż wiedziałam już, że nie mówiła o Davidzie, odczułam pewną ulgę. Że to nie do mojego chłopaka tak wzdychała.

- No cóż - powiedziałam, trochę się w tym wszystkim gubiąc - to świetnie, że tak szybko kogoś znalazłaś...

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Usiadła prosto i spojrzała na mnie gniewnie. - Powiedziałam, że on mnie nie chce.

- Nie chce? - Wytrzeszczyłam na nią oczy. - Ale dlaczego? Już ma dziewczynę?

- Nie - odparła. - A przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

- To może jest... no wiesz, gejem? - To był jedyny powód, dla którego jakimś wolnemu facetowi nie podobałaby się moja siostra.

- Nie - powiedziała Lucy. - Nie sądzę.

- No to dlaczego...

- Nie wiem, dlaczego - przerwała mi. - Mówiłam ci już. Robiłam, co mogłam, żeby zwrócił na mnie uwagę. Ostatnim razem włożyłam najkrótszą mini, tę, którą Theresa przyrzekła wyrzucić do śmieci, jeśli ośmielę się znów wyjść w niej na ulicę. Dwie godziny poświęciłam na makijaż. Użyłam nawet konturówki do ust. I co mi to z tego przyszło? - Walnęła idealnie wymanikiowaną dłońią w materac. - Nic! On nadal nie ma pojęcia o moim istnieniu. Zapytałam go, no wiesz, czyby nie poszedł do kina w ten weekend, na nowego Adama Sandlera - a on powiedział.. powiedział.. że ma inne plany!

Złapała poduszkę i zaniósłszy się płaczem, ukryła w niej twarz.

- No cóż - wciąż nic nie rozumiałam - może miał. To znaczy inne plany.

- Nie miał - szlochała Lucy. - Widziałam, że nie miał.

- No to może nie lubi Adama Sandlera. Mnóstwo ludzi go nie lubi.

- Nie o to chodzi - jęknęła. - Chodzi o mnie. On po prostu mnie nie lubi.

- Przecież ciebie wszyscy lubią. Każdy facet, który nie jest zajęty albo nie woli facetów od dziewczyn. To musi być coś innego. A tak w ogóle, kto to jest?

Lucy pokręciła głową i odparła przez łyż:

- A czy to ważne? Co to ma za znaczenie, skoro on nawet nie zdaje sobie sprawy, że ja

w ogóle istnieję?

Znowu rzuciła się na łóżko i zaczęła głośno szlochać. Patrzyłam na nią, próbując zrozumieć to, co przed chwilą usłyszałam. Moja siostra - cheerleaderka, ekspedientka w Bare Essentials, bogini o tycjanowskich włosach, najpopularniejsza dziewczyna w Liceum imienia Adamsa - zakochała się bez wzajemności.

Nie. To nie trzymało się kupy. To było niemożliwe.

Siedziałam tam i usiłowałam doszukać się w tym wszystkim sensu. Jaki chłopak zaproszony na randkę przez najładniejszą dziewczynę w szkole powiedziałby „nie”? Mówiła, że jest inteligentny... Ale czy inteligentny facet może odrzucić moją siostrę? Chyba że...

Aż jęknęłam, kiedy dotarła do mnie straszna prawda.

- Lucy! - zawołałam. - Czy to Harold? Podoba ci się Harold Minsky?

Jedyną odpowiedzią na moje pytanie był tylko głośniejszy płacz.

I wtedy zrozumiałam wszystko.

- Och, Lucy - powiedziałam, próbując się nie roześmiać. Wiedziałam, że dla niej ta sytuacja nie jest śmieszna. Była naprawdę zmartwiona. Ale moja siostra i Harold Minsky? - Harold nie przywykł do tego, żeby dziewczyny zapraszały go na randki. Zaskoczyłaś go i dlatego powiedział, że ma inne plany. Powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Lucy podniosła głowę i spojrzała na mnie przez łzy.

- Dlaczego uważasz, że nie przywykł do tego, żeby dziewczyny zapraszały go na randki? - spytała. - Harold jest taki inteligentny. Dziewczyny na pewno bez przerwy zapraszają go na randki.

Teraz to już naprawdę trudno było się nie roześmiać.

- No cóż - powiedziałam, nie do końca wierząc, że muszę tłumaczyć takie rzeczy osobie, która właśnie poinformowała mnie o alternatywnym zastosowaniu kranu nad wanną - nie wszystkim dziewczynom podobają się tacy faceci jak Harold. Mnóstwo dziewczyn przywiązuje większą wagę do wyglądu chłopaka niż do inteligencji.

Lucy spiorunowała mnie wzrokiem.

- O czym ty mówisz? Harold świetnie wygląda i ma wspaniałe ciało. Pod tymi za dużymi koszulami. Wiem, bo zabrudził jedną paellą Teresy i musiał ją zdjąć, i widziałam go tylko w podkoszulku.

Harold musi chodzić na siłownię albo ćwiczyć w piwnicy, bo jego takie wspaniałe ciało na pewno nie jest efektem uczestniczenia w grach zespołowych w Liceum imienia Adamsa.

- Wiesz - ciągnęła Lucy - obejrzałam tego *Hellboya*. I odbyliśmy z Haroldem miłą

rozmowę o tym, jak ciężko musiało być Hellboyowi bronić innych przeciwko siłom ciemności, skoro sam był księciem ciemności. Sądziłam, że Harold zrozumiał...

- Zrozumiał co? - spytałam łagodnie.

- Że nie powinien osądzać mnie po wyglądzie - powiedziała. - No bo ja nic nie poradzę na to, jak wyglądam, tak samo jak Hellboy nic nie mógł poradzić na swój wygląd. Może wyglądam jak zarozumiała popularna dziewczyna, ale ja taka nie jestem. Dlaczego Harold tego nie widzi? Dlaczego? Liz umiała zobaczyć coś więcej niż tylko rogi Hellboya.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Lucy z równą pasją mówiła o czymkolwiek. Nawet o cheerleadingu. Nawet o błyszczyku do ust Bonnie Bell. Nawet o ostatniej linii majteczek bikini z Bare Essentials.

To wydawało się niewiarygodne, ale... ona chyba rzeczywiście zakochała się w Haroldzie. Naprawdę się w nim zakochała.

Czy Harold w ogóle miał pojęcie, jakie uczucia wzbudził w okolicy usztywnianych miseczek stanika 34C mojej siostry?

- Może - powiedziałam ostrożnie, bo zakochana cheerleaderka to niebezpieczna istota - powinnaś pozwolić Haroldowi na te wątpliwości. Może on dostrzega prawdziwą ciebie pod twoimi, hm, rogami, ale po prostu nie potrafi uwierzyć, że ktoś tak... rogaty jak ty mógłby jego uczucie odwzajemnić.

Spojrzenie Lucy uświadomiło mi, że zabrzmiało to raczej nieskładnie. Dodałam więc:

- Może powinnaś po prostu zaprosić go na następny weekend i zobaczyć, co powie.

- Tak myślisz? - Lucy spojrzała na mnie podpuchnięty - mi, ale wciąż pięknymi oczami. - Uważasz, że jest po prostu... nieśmiały?

- To możliwe - powiedziałam. Chociaż nieśmiały to nie było dobre słowo. Prędzej już nie z tej ziemi. Albo może się bał, że Lucy zaprosiła go tylko dla żartu. - Nigdy nie wiadomo.

- Bo ja myślałam, że to dlatego... dlatego, że jestem taka głupia.

- Lucy! - Popatrzyłam na nią, a serce przepełniła mi litość. Litość dla Lucy! Dziewczyny, która zawsze dostawała to, czego chciała... najwyraźniej do czasu.

Bo... no cóż, bardzo możliwe, że miała rację. Co do tego, że Harold jej nie lubi, bo raczej trudno ją nazwać klasową prymuską. Co tych dwoje ma ze sobą wspólnego? Lucy interesują tylko dzinsy od Juicy Couture, a Harolda wyłącznie... megabajty.

- Na pewno nie dlatego - powiedziałam, chociaż uważałam, że to bardzo prawdopodobne. - Może nie dysponujesz książkową wiedzą, w przeciwieństwie do Harolda, ale wiesz mnóstwo rzeczy, o których on nie ma pojęcia. Na przykład... hm...

Jedyna rzecz, na której Lucy na pewno lepiej się znała niż Harold, a która

przychodziła mi do głowy, to antykoncepcja.

- Nauczyłam się na pamięć *tych* wszystkich głupich słów, które mi pozadawał - powiedziała gorzko. - Estuarium i cokół. Miałam nadzieję, że on zrozumie, że, no wiesz, że się naprawdę staram. Bo ja chcę być taka inteligentna jak on. Naprawdę. Tak jak Hellboy chce być dobry. Ale Harold w ogóle tego nie zauważył. Powiedział tylko, żebym nauczyła się następnych.

- Powinnaś znów go gdzieś zaprosić - zasugerowałam. - Może jemu nigdy nie przyszło do głowy, że go lubisz. No wiesz, w taki sposób. Może po prostu uważa, że lubisz go jak przyjaciela. - Taką miałam nadzieję.

Lucy spojrzała półprzytomnym wzrokiem na mój wielki plakat z Gwen w ślubnej sukni, wycięty z „US Weekly” i powiększony na kolorowej kopiarce w Białym Domu.

- No cóż. Chyba to zrobię... - westchnęła z zadumą.

- Co?

- Teraz rozumiem, jak się muszą czuć te wszystkie dziewczyny w szkole.

- Jakie dziewczyny?

- Te, które zapraszają facetów na randki, a faceci zawsze im odmawiają. Nie miałam pojęcia, że to takie okropne uczucie.

- Odrzucenie? - Stłumiłam uśmiech. - Tak, bywa naprawdę wredne.

Lucy spojrzała na zegarek.

- Boże! Muszę nauczyć się chyba z dziesięciu stron słówek, zanim w ogóle będę mogła pomyśleć o pójściu do łóżka. Dzięki za rozmowę, ale czas na mnie.

Poderwała się z łóżka i ruszyła do drzwi.

- Lucy? - zatrzymałam ją. Przystanęła i obejrzała się przez ramię. - Tak?

- Cieszę się, że zerwałaś z Jackiem. Zaslugujesz na kogoś lepszego. Nawet jeśli on był, no wiesz, tym pierwszym.

- Pierwszym - powiedziała - ale mam nadzieję, że nie ostatnim.

- Na pewno - odparłam. - I chyba wiesz - musiałam to powiedzieć, choć czułam się bardzo niezręcznie - że ten sam facet, który grał hrabiego Monte Christo, zagrał Jezusa w *Pasji* Mela Gibsona?

Tym razem to Lucy była zaszokowana.

- Niemożliwe!

- No cóż, tak. Więc za każdym razem w tej łazience...

- Przestań! - przerwała mi i uciekła do swojego pokoju. Naprawdę nie mam do niej żalu, że tak mocno zatrzaskała za sobą drzwi.

Dziesięć głównych powodów, dla których beznadziejnie jest być siostrą najpopularniejszej dziewczyny w szkole:

10. Kiedy dzwoni telefon, to nigdy do ciebie.

9. To samo co do dzwonka u drzwi.

8. Drzwi lodówki są całe pokryte jej wycinkami z gazet. Jedyna rzecz dotycząca ciebie to kartka od dentysty przypominająca ci o okresowej kontroli zębów.

7. Nigdy, ale to nigdy nie odchodzi od telefonu na dość długo, żebyś sama zdążyła zadzwonić.

6. Wszyscy spodziewają się po tobie, że też będziesz chciała należeć do drużyny cheerleaderek, a kiedy się okazuje, że nie chcesz, zachowują się, jakby coś z tobą było nie w porządku.

5. Ona zawsze wszystko dostaje pierwsza: i chłopaka, i prawo jazdy, i film dozwolony od 18 lat, i ferie zimowe na nartach w Aspen z przyjaciółką i jej rodzicami. Nieważne, co wybierzesz, Lucy już to dostała o wiele wcześniej niż ja i na pewno lepsze.

4. Kiedy ludzie porównują was do postaci z filmów Johna Hughesa, Lucy zawsze zostaje Molly Ringwald, a ty zawsze zostajesz Erikiem Stoltzem. Który nawet nie jest dziewczyną.

3. Nie ma nic bardziej dołującego dla osoby tak przeciwnej establishmentowi jak ja niż siedzieć i słuchać, jak twoja siostra czyta poranne informacje na apelu w czasie Tygodnia Szkolnego Ducha.

2. Ona zostaje królową balu na zakończenie liceum, a ty zostajesz osobą, która ma dbać o opróżnianie kosza na śmieci w pracowni plastycznej.

A główny powód, dla którego beznadziejnie jest być siostrą najpopularniejszej dziewczyny w szkole, to ten, że:

1. Nie mogę jej nienawidzić, bo w sumie ona jest świetna.

No więc zadzwoniłam do niego. Sama nie wiem, czemu. A właściwie wiem.

Nie dlatego, że Lucy zerwała z Jackiem, a ja zdałam sobie sprawę, jakim świetnym chłopakiem jest David w porównaniu z jej byłym. Bo przecież zawsze wiedziałam, że David jest świetny.

I nie dlatego, że jej pełna przejęcia mowa o Hellboyu lepiej uświadomiła mi, że miłość, która łączy mnie z Davidem - tak jak miłość Helboya i Liz - jest bardzo cenną rzeczą, taką, jaka w życiu nie trafia się często. Już to wszystko wiedziałam.

Nie, szczerze mówiąc, poszłam za radą Lucy. Co do tych rzeczy w łazience.

I to naprawdę podziałało.

Mówię wam, podziałało jak diabli.

I nagle cały ten pomysł spędzenia weekendu Święta Dziękczynienia z Davidem zaczął mi się wydawać o wiele bardziej... interesujący.

Nie, żebym była gotowa zgodzić się czy coś. To znaczy na jego zaproszenie. Nadal totalnie się tego wszystkiego bałam. Ale byłam zdecydowanie bardziej... zainteresowana niż przedtem.

Jedyny problem polegał na tym, że David, kiedy wreszcie dodzwoniłam się do niego dziś wieczorem na komórkę, nie wydawał się tak samo... zainteresowany.

Nawet gdy mu wyjaśniłam, że nie chodzi o niego, tylko o mnie.

- Poważnie - powiedziałam. - Chciałabym... Chciałabym... - Nie bardzo wiedziałam, jak to ująć. Uprawiać z tobą seks? A może powinnam użyć jego dialektu (słowo do egzaminu SAT oznaczające język charakterystyczny dla grupy osób czy konkretnej osoby) i powiedzieć: „zagrać z tobą w parcheesi”? Przekonałam się, że ani jedno, ani drugie nie przejdzie mi przez usta i zdecydowałam się w końcu na: - ...spędzić z tobą Święto Dziękczynienia, Davidzie. Naprawdę tego chcę. Ale zastanawiam się, co ludzie powiedzą, kiedy to odkryją.

- Sam - odezwał się David głosem, który mogłabym określić jako zmęczony. Ciekawe, co go tak zmęczyło? Chłopcy mają przecież o wiele łatwiejsze życie. - Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.

To była taka typowo męska odzywka.

- Chodzi po prostu o to, że kiedy jesteś dziewczyną, stosuje się wobec ciebie podwójne standardy - wyjaśniłam. Czy raczej usiłowałam wyjaśnić. - Rozumiesz, o czym

mówię?

- Prawdę mówiąc - odparł tym samym zmęczonym głosem - od tygodnia nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co do mnie mówisz.

Boże. Naprawdę uraziłam jego uczucia. Czekają mnie przeprosiny.

- Poważnie, Davidzie - powiedziałam. - To jest po prostu coś, z czym sama muszę się uporać. I naprawdę nie ma nic wspólnego z tobą. Bo widzisz... - Próbowałam wymyślić, jak wyjaśnić mu to w taki sposób, żeby zrozumiał.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, przypomniała mi się Debra Mullins. Debra Mullins w króciutkiej tanecznej spódniczce, z wielkimi niebieskimi oczami przepełnionymi bólem po kolejnej szpilce Kris Parks.

- Widzisz, w naszej szkole jest taka dziewczyna i krążą plotki, że ona to zrobiła, i chociaż nikt tego nie wie na pewno, ludzie prosto w oczy obrzucają ją różnymi wyzwiskami - powiedziałam. - To jest okropne. Strasznie jej współczuję.

- Cóż - mruknął David. - Okay.

- A jak to wygląda u ciebie w szkole? Muszą się zdarzać takie sytuacje.

- Hm. Nie wiem. To znaczy, chyba...

- Chyba? - Głos mi się załamał, taka byłam zdziwiona.

- Nie wiem - powtórzył David. - To znaczy, nigdy czegoś takiego nie zauważyłem.

O mój Boże. W głowie mi się nie mieściło, że w Horizon jest tak zupełnie inaczej. Horizon to musi być taka Walhalla prywatnej edukacji, a Liceum imienia Adamsa to... no cóż, piekło.

- A Właściwa Droga? - spytałam ostro.

- Właściwa Droga? Ta durnowata grupa, do której należy ta twoja koleżanka Kris?

- Tak - potwierdziłam, nie zwracając już sobie głowy tłumaczeniem, że Kris Parks trudno nazwać moją koleżanką, bo o tym już wiedział. A przynajmniej powinien wiedzieć, przecież tyle razy mu się na nią skarżyłam. - Widzisz, David, ludzie się o tym dowiadują. - Jak miałam mu to wytłumaczyć? - Nieważne, jak bardzo jesteś dyskretny, wcześniej czy później wszystko i tak wyjdzie na jaw. A wtedy się do ciebie dobierają. To znaczy Kris i Właściwa Droga. Chyba że należysz do elity - jak Lucy. Ale ja nie należę do elity, Davidzie. Jasne, uratowałam życie twojemu tacie i pokazali mnie w telewizji, i tak dalej, ale nie należę do grupy najpopularniejszych dziewczyn. Ani do żadnej grupy, skoro już o tym mowa. I po prostu wiem, że dobiórą mi się do skóry w następnej kolejności.

- Kto? - spytał David. O mój Boże. Naprawdę czułam, że głowa mi pęka.

- Właściwa Droga - wycodziłam przez zęby.

- A co cię obchodzi, co mówią ludzie z Właściwej Drogi? - chciał wiedzieć David. - Przecież nawet ich nie lubisz.

- No cóż - przyznałam. - Nie. Ale...

- I w ogóle kim oni są, żeby oceniać innych? - zapytał David. - Czy to najlepsi uczniowie w szkole?

- Nie, niekoniecznie - odparłam. - Ale...

- Tak sądziłem - przerwał mi. - Bo gdyby byli naprawdę inteligentni, to by wiedzieli, że programy abstynenckie i inne takie... Jedno badanie po drugim dowodzi, że są nieskuteczne.

Pomyślałam, że źle go usłyszałam. - Jak to?

- Są nieskuteczne - powtórzył David. - Po prostu mów „nie”. Dzieciaki, które przeszły przez ten program w szkołach, tak samo często eksperymentują z narkotykami i alkoholem, jak dzieciaki, które go nie przechodziły. Te programy stosują taktyki zastraszania, na które żaden normalny dzieciak się nie nabierze. No bo każdy wie, że nie zostanie bezdomnym ćpunem od jednego zaciągnięcia się marihuaną.

- Racja - powiedziałam. Gdyby to miała być prawda, wszystkie gwiazdy z Hollywood byłyby bezdomnymi ćpunami. Słyszałam, co się wyprawia na tych filmowych premierach.

- Jedyny skutek tych programów jest taki, że kiedy ludzie, którzy się do nich stosują, spróbują tego, czego mają rzekomo odmawiać, a wierz mi, więcej niż połowa koniec końców próbuje, nie mają pojęcia, jak sobie z tym poradzić - ciągnął David. - Na przykład pary, które przysięgały, że nie będą uprawiać seksu. Kończy się na tym, że wcześniej czy później uprawiają seks, tyle że bez zabezpieczenia, bo nie mają żadnego pod ręką, skoro cały czas planowali mówić „nie”. Widzisz? To nie działa.

Omam nie upuściłam słuchawki.

- Czy to... czy to na pewno prawda?

- A co, uważasz, że Centra Kontroli Chorób i Prewencji wymyśliły to sobie? Bo to one przeprowadzały te badania. No więc nie bardzo wiem, na jakiej podstawie ci twoi zwolennicy Właściwej Drogi uważają się za nieomylnych.

- Ja też nie wiem - powiedziałam, oszołomiona usłyszaną informacją.

- Cóż... - David odchrząknął. - Między nami wszystko w porządku?

- W jak najlepszym - odparłam uszczęśliwiona. Tylko poczekajcie, aż Kris znów napadnie na Deb! Od razu jej powiem o tych Centrach Kontroli Chorób i Prewencji.

- A udało ci się porozmawiać z rodzicami o Święcie Dziękczynienia? - spytał David.

Tak! A oni się zgodzili!

To właśnie chciałam powiedzieć. A przynajmniej jakaś część mnie chciała.

Ale ta druga część - większa - odezwała się natychmiast: Nie! Nie rozmawiałam. To poważna decyzja i chociaż powoli zaczynam się do niej przekonywać, wciąż potrzebuję czasu. Bardzo cię kocham i jestem pewna, że jesteś moją jedyną, wielką miłością, ale mam dopiero szesnaście lat, nadal trzymam na komodzie figurki z bohaterami komiksów i naprawdę nie wiem, czy jestem już gotowa je stamtąd zdjąć...

- Uh, nie. Zapomniałam - powiedziałam. Skrzyżowałam palce, kiedy to mówiłam.

- Och - rzekł David, tylko trochę rozczarowany. Znacznie mniej, niż się spodziewałam. - Dobra, daj mi znać, jak z nimi pogadasz. Bo mama chce wiedzieć, jakiego indyka ma zamawiać.

Czy to jakiś szyfr na: „Muszę wiedzieć, ile prezerwatyw kupić” ? Zastanawiałam się, czy mu powiedzieć, że tym akurat nie musi sobie zawracać głowy. Ale wtedy komórka dała znać o oczekującym połączeniu.

- Mam drugą rozmowę na linii. - Trochę mnie to zdziwiło, bo był już późny wieczór, a jedyną osobą poza Davidem, która do mnie dzwoni na komórkę, jest Catherine, której rodzice w dni powszednie każą się kłaść do łóżka o jedenastej.

- Okay - powiedział David. - I tak jutro się widzimy.

- Jutro? - Jutro miało być posiedzenie rady miasta poświęcone Powrotowi do Rodziny i transmitowane w MTV. - Przyjeżdżasz z tatą?

- Tak - odparł. - Ale przedtem mamy rysunek z natury. Zapomniałaś?

Terry! Jak mogłam zapomnieć Nagiego Terry'ego?

- Racja - powiedziałam. - No to do zobaczenia. A potem przerzuciłam się na drugą linię.

- Halo?

- Sam?! - zawołała Dauntra, przekrzykując hałas w tle. Brzmiało to tak, jakby dzwoniła z jakiegoś nocnego klubu, gdzie właśnie popełniano morderstwo.

Co, znając Dauntrę, wcale nie było niemożliwe.

- Dauntra? - Nie byłam pewna, czy ona mnie słyszy. Gdzie ona jest? I nagle uderzyła mnie okropna myśl. - O mój Może, wciąż jesteś w więzieniu?

- Nie - odparła ze śmiechem. - Jestem u przyjaciół. Dzwonię, żeby ci podziękować. Za to, że wczoraj wzięłaś za mnie zmianę.

- Nie ma sprawy - powiedziałam. - Mam nadzieję, że w tym areszcie nie było strasznie.

- Strasznie? Chyba żartujesz? Było świetnie. Powiedziałam im, żeby zarezerwowali

dla mnie pryczę, bo pewnie wkrótce znów tam trafię. Ale nie martw się, wrócę na moją zmianę w piątek. Ach, racja, ty jedziesz do swojej babci na Święto Dziękczynienia. Wrócisz do piątku?

- Cóż - powiedziałam - właściwie nie jestem pewna. Może wcale nie pojedę do babci.

- Znów przyszło mi do głowy, żeby zapytać Dauntrę, co by zrobiła na moim miejscu.

Ale przecież dobrze wiedziałam, co odpowie. Żebym po prostu to zrobiła. Powiedziałam więc:

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

- No cóż, bez ciebie to nie będzie to samo - odparła Dauntra i w tej samej chwili ktoś w tym miejscu, w którym była, dziko zawył. Dauntra zawołała: - Kevin! Przestań!

- Wszystko tam porządku? - spytałam.

- Jasne - powiedziała Dauntra i zachichotała. - Tylko Kevin wszedł w pizzę. Znowu.

Nie zwracałam sobie głowy pytaniem, co pizza robiła na podłodze. Gdy rozmawiam z Dauntrą, wychodzę czasem na kompletną idiotkę.

- Pomyślałam sobie - ciągnęła Dauntra - że mogłybyśmy zorganizować w pracy leżący strajk okupacyjny. Żeby zaprotestować przeciwko przeszukiwaniu naszych plecaków.

- Hm - mruknęłam. - Sama nie wiem.

- Zgódź się! Będzie fajnie.

- Nie jestem pewna, czy leżący strajk okupacyjny to najlepsza metoda wytłumaczenia im, o co nam chodzi. - Nie chciałam sprawić jej zawodu, bo pod pewnymi względami chciałam być taka jak ona. Dauntry nic nie obchodzi, co ludzie mówią na jej temat. Szkoda, że ja tak nie umiem. - No i mogą nas wywalić z pracy.

- Chyba masz rację - przyznała. - Cholera. Zresztą, nieważne. Wymyślę coś.

- Na pewno - powiedziałam. - To na razie.

- Do zobaczenia jutro wieczorem - rzuciła Dauntra i przerwała połączenie w tej samej chwili, w której ktoś w tle zawył: - Kevin!

Trochę dziwne, że powiedziała: „Do zobaczenia jutro wieczorem”. Bo ja jutro wieczorem nie pracuję. Będę na tym posiedzeniu rady miasta transmitowanym w MTV.

Dziesięć głównych powodów, dla których świetnie jest być nastolatką w Stanach Zjednoczonych (w przeciwieństwie do innych miejsc na świecie):

10. Mało prawdopodobne, że będziesz jednym z dwustu pięćdziesięciu milionów dzieci w wieku od czterech do czternastu lat, które pracują w pełnym wymiarze godzin (chyba że masz takich rodziców jak ja. Jedyny powód, dla którego nie każą mi pracować czterdziestu godzin tygodniowo zamiast sześciu, to ten, że prawo tego zabrania. Dzięki Bogu).

9. Trzysta tysięcy dzieciaków rocznie zmuszają do służby wojskowej różne rządy czy rebelianccy dyktatorzy. (Chociaż jaki rząd dałby karabin mojej siostrze Lucy? Ona by go na pewno używała jako lokówki do włosów).

8. Stosowania kar cielesnych zabroniono już całe wieki temu, ale w wielu krajach nadal się uważa, że nauczyciel może uderzyć dziecko za nieposłuszeństwo albo złą odpowiedź (choć z drugiej strony stosowanie tej praktyki w Liceum imienia Adama ukróciłoby durne wygłupy i sprawiło, że może byśmy się dla odmiany czegoś nauczyli).

7. W krajach rozwijających się sto trzydzieści milionów dzieci nie chodzi nawet do szkoły podstawowej, przy czym znakomita większość z nich to dziewczynki. (Niezależnie od tego, jak bardzo nie cierpię szkoły, zdaję sobie sprawę, że jest konieczna. No bo można po niej dostać lepszą pracę niż w Potomac Video. A za sześć dolarów siedemdziesiąt pięć centów wiele się nie kupi).

6. W niektórych rejonach Bliskiego Wschodu i w Indiach krewni dziewczyny przyłapanej na flirtowaniu z jakimś palantem, którego poznała w centrum handlowym, mają prawo ją zabić i uchodzi im to na sucho, bo uważa się, że w ten sposób dziewczyna zhańbiła rodzinę (to znaczy, że Lucy nie pożyłaby dość długo, żeby oblać testy SAT, gdyby mieszkała na przykład w Arabii Saudyjskiej).

5. Przypadki zmuszania do małżeństwa dziewczynek poniżej ósmego roku życia są bardzo powszechne w Afryce Subsaharyjskiej, gdzie osiemdziesiąt dwa miliony dziewcząt wychodzi za mąż przed ukończeniem osiemnastu lat, czy im się to podoba, czy nie - a większości się nie podoba. (W Stanach Zjednoczonych to się zdarza tylko w Utah. I może w rejonie Appalachów).

4. Co roku na świecie umiera około dwunastu milionów dzieci poniżej piątego roku życia, najczęściej na łatwo wyleczalne choroby, a około stu sześćdziesięciu milionów dzieci jest niedożywionych (i nie dlatego, że jedzą tylko grzanki Pop Tarts, co robiłabym ja, gdyby mi na to pozwolili).

3. W Singapurze musisz mieć specjalne zezwolenie, żeby żuć gumę w miejscach publicznych. Karą za żucie gumy bez zezwolenia jest publiczna chłosta (choć gdyby w

Stanach Zjednoczonych trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie na żucie gumy w miejscach publicznych, w metrze byłoby o wiele mniej do sprzątnięcia).

2. Aby zwalczać wiele z tych nadużyć, ONZ opracowała Konwencję Praw Dziecka, która określa prawa przysługujące dzieciom i wyznacza minimalne standardy ich przestrzegania. Podpisaniu tej konwencji sprzeciwiają się tylko dwa kraje. Jednym jest Somalia. A drugim Stany Zjednoczone. Dlaczego? Bo w konwencji jest klauzula, która mówi, że dziewczynkom, ofiarom międzynarodowych działań wojennych, należy świadczyć porady dotyczące antykoncepcji, a to nie podoba się religijnej prawicy w Stanach Zjednoczonych.

A oto najważniejszy powód, dla którego świetnie jest być nastolatką w Stanach Zjednoczonych:

1. To nadal jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie możesz publicznie się sprzeciwić wszystkim patologiom, które wymieniłam powyżej, i nie pójść za to do więzienia.

Chyba że jesteś Dauntrą i sprzeciwiasz się w ten sposób, że kładziesz się na środku ulicy i udajesz nieżywą.

David dotarł do pracowni przede mną. Kiedy weszłam, siedział okrakiem na ławeczce do rysowania i rozkładał ołówki na siedzeniu przed sobą.

W tej samej chwili, w której go zobaczyłam, serce zabiło mi mocniej, jak zawsze w momencie spotkania. Rebecca nazywa to *frisson*. David podniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały.

- Hej, Sharona - powiedział z uśmiechem. - Dawno cię nie widziałem.

A ja, zupełnie jakby łączyła nas jakaś lina do bungee, podeszłam do niego, otoczyłam ramionami jego głowę i przyciągnęłam ją do swojego brzucha. Nawet nie dałam mu czasu, żeby mógł wstać i uściskać mnie jak należy.

- Też się cieszę, że cię widzę - powiedział zduszonym głosem w sam środek mojej koszulki.

- Przepraszam. - Puściłam jego głowę (niechętnie) i usiadłam na sąsiedniej ławce. - Ja... naprawdę za tobą tęskniłam.

Nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo, dopóki cię nie zobaczyłam.

- Ja też za tobą tęskniłem - powiedział David. A potem pochylił się i mnie pocałował.

To był bardzo długi pocałunek.

Tak długi, że nawet nie zauważyliśmy, że pokój zapełnia się ludźmi. Dopiero gdy Susan Boone głośno odchrząknęła, odsunęliśmy się od siebie zawstydzeni, a ja zobaczyłam, że Terry układa się wygodnie na aksamitnej narzucie, którą Susan rozłożyła na podwyższeniu.

Terry mrugnął do mnie. Pewnie ze względu na intymną rozmowę, jaką odbyliśmy poprzednim razem.

Odmrugnęłam, bo co innego można zrobić, kiedy mruga do ciebie nagi facet?

Poza tym już nie byłam zaszokowana tym, że widzę nagiego faceta.

A przynajmniej tak mi się wydawało.

Chyba jednak musiałam być nieco wytrącona z równowagi, bo po półtorej godzinie Susan Boone podeszła do mnie i zapytała, czy wszystko w porządku.

Spojrzałam na nią półprzytomna jak zawsze, kiedy koncentruję się na rysowaniu i ktoś mi przerwie.

- Wszystko w porządku - odparłam. - A czemu pani pyta?

I wtedy mnie oświeciło. Może Susan wcale nie mówiła o tym, co zaszło w czasie

ostatniej lekcji, kiedy zdenerwowałam się Terry'ym i tak dalej? Może mówiła o czymś innym - na przykład o tym, że myślałam o uprawianiu seksu z Davidem? No bo ona, artystka, jest o wiele bardziej przenikliwa niż moi rodzice, więc mogła się tego domyślić. Czy właśnie o to jej chodziło, gdy mnie zapytała, czy wszystko w porządku?

A jeśli tak, to co jej miałam odpowiedzieć?

- No cóż, po prostu się niepokoję - wyjaśniła Susan, patrząc na mój blok. - Tak bardzo koncentrujesz się na oddaniu postaci, że kompletnie zapominasz o całej reszcie.

Spojrzałam na swój rysunek - wysoce realistyczny portret Terry'ego w całym splendorze jego nagości.

Tyle że on tam po prostu tkwił jak zawieszony w kosmicznej próżni.

- Rysunek jest jak budowanie domu, Sam. Nie możesz zacząć od wieszania firanek. Najpierw musisz postawić ściany.

Wzięła ode mnie ołówek i naszkicowała tło za postacią.

- A potem położyć podłogi - powiedziała, rysując ławkę pod Terry'ym. Nagle przestał wisieć w powietrzu. - Dom trzeba budować od podstaw, zaczynając od wszystkich tych nudnych rzeczy... Hydrauliki i okablowania. Zaczynanie rysunku od tych wszystkich szczegółów - wskazała portret Terry'ego - to jak urządzenie wnętrza, zanim jeszcze dom stanął. Musisz przestać się tak koncentrować na fragmentach i zacząć widzieć obraz jako całość.

Susan miała rację. Tak się starałam jak najdokładniej oddać twarz Terry'ego, że zaniedbałam pozostałe trzy czwarte kartki. W rezultacie teraz miałam przed sobą tę wielką płaszczyznę, a na niej małą główkę.

- Rozumiem - powiedziałam. - Ja chyba... chyba mnie poniosło.

Susan westchnęła.

- Mam nadzieję, że nie popełniłam błędu, pozwalając tobie i Davidowi dołączyć do tych zajęć. Uznałam, że jesteście gotowi.

Spojrzałam na nią niemal ostro.

- Jesteśmy gotowi - zapewniłam. - Oboje.

- Mam nadzieję. - Susan spojrzała na mnie z troską. Odchodząc, dodała z naciskiem: - Naprawdę mam nadzieję.

Ja niegotowa? Też coś! Wściekle pracowałam przez ostatnie piętnaście minut, starając się zakotwiczyć Terry'ego na rysunku. Udowodnię Susan Boone, że jestem gotowa. Jeszcze sama zobaczy!

Niestety, nie zdążyłam skończyć tego, co chciałam zrobić, i kiedy przyszedł czas na

ocenę naszych prac, Susan tylko pokręciła głową, spojrzawszy na mój rysunek.

- Bardzo realistycznie narysowałaś Terry'ego - powiedziała - ale on nadal wisi w powietrzu.

Miałam już dosyć tych ciągłych uwag. Kogo obchodzi jakieś głupie tło? Przecież najważniejszym elementem rysunku jest portretowana osoba.

Terry był najwyraźniej tego samego zdania, bo podszedł do mnie, wskazał mój rysunek i zapytał:

- Masz zamiar go zatrzymać?

Nie byłam pewna, co odpowiedzieć. Najchętniej zgmiotłabym rysunek w kulę i wyrzuciła, ale nie chciałam się do tego przyznać, bo to by było tak, jakbym uważała, że portret Terry'ego nie jest wart tego, żeby go oprawić i powiesić nad kominkiem - jakby nie był dość atrakcyjny czy coś. A chociaż uważałam, że ma naprawdę dziwną pracę, nie chciałam go urazić.

- Dlaczego? - rzekłam wreszcie. Uprzejme, bezpieczne pytanie, stosowane na niemal wszystkie okazje.

- Bo jeśli ty nie chcesz, to ja chętnie go wezmę - odpowiedział Terry.

Było mi miło. Nawet więcej niż miło. Terry'emu podobał się jego portret w moim wykonaniu! Mimo że nie był zintegrowany z żadnym tłem.

- Proszę. - Podałam mu rysunek. - Możesz go wziąć.

- Fajnie - powiedział Terry. A potem zauważył, że nie ma podpisu artysty. - Podpiszesz go dla mnie?

- Oczywiście. - Podpisałam rysunek.

- Fajnie - powtórzył Terry, patrząc na mój podpis. - Teraz mam rysunek dziewczyny, która uratowała prezydenta.

I wtedy zrozumiałam, że wcale nie chodziło mu o rysunek, tylko o mój autograf na jego akcie. Ale to zawsze lepsze niż nic.

- Jesteś gotowa? - spytał David, stając za mną przy zlewie, w którym zmywałam węglowy pył z rąk.

Aż podskoczyłam. Nie dlatego, że mnie zaskoczył, ale dlatego, że mnie o to spytał.

- Jeszcze nie miałam okazji ich zapytać - wyrwało mi się, kiedy się odwracałam, żeby stanąć twarzą do niego. - Naprawdę mi przykro, ale w domu jest takie urwanie głowy z Lucy i tymi jej korepetycjami...

David spojrział na mnie, jakby na czole wyrosły mi rogi jak Hellboyowi.

- Chodziło mi o posiedzenie rady miasta w twoim liceum - powiedział. - Tata

zapropował, żebyśmy cię podrzucili.

- No tak! - Roześmiałam się nerwowo. - Racja! Jestem gotowa i wcale nie mam tremy.

- Słusznie - powiedział David, a w jego zielonych oczach zamigotał jakiś ogień. - To w końcu tylko MTV. Będą to oglądać zaledwie miliony ludzi.

Problem w tym, że miałam tyle innych spraw, że w ogóle nie zastanawiałam się, co powiem na posiedzeniu rady miasta. Przeczytałam materiały, które dał mi sekretarz prasowy, i nawet poczytałam trochę sama na ten temat, ale...

...o wiele bardziej denerwowałam się tym, co zrobić w całej sprawie z wyjazdem do Camp David niż wystąpieniem w telewizji.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam. - Zawsze jest.

Bo to prawda. Już kilka razy występowaliśmy z tatą Davida w telewizji i zawsze wszystko było w porządku. Nie, żebyśmy robili to często albo występowali razem w *Crossfire*. Chodzi mi o wystąpienia w ONZ czy okazjonalne przemówienia podczas zbierania funduszy, które potem relacjonowano w C - Span.

Skoro do tej pory jakoś się udawało, uważałam, że dzisiaj wieczorem nie będzie inaczej.

Dopóki nie podjechaliśmy pod Liceum imienia Adamsa i nie zobaczyliśmy demonstrantów.

Wtedy zrozumiałam, że to posiedzenie będzie się bardzo, ale to bardzo różniło od przemawiania do magnatów naftowych w salach balowych hoteli. Bo magnaci naftowi nie próbują rzucać się na samochód, którym podjeżdżasz ze swoim chłopakiem.

Ani nie machają ci przed nosem transparentami z napisem: NIE WSADZAJCIE NOSA W MOJE MAJTKI.

Ani nie oskarżają cię, że zdradziłaś swoje pokolenie, kiedy próbujesz wysiąść z samochodu chroniona przez agentów Służb Specjalnych i policjantów.

Ani nie rzucają w ciebie kanapkami z indykiem, gdy biegniesz do wejścia do szkoły, która na ten wieczór zamieniła się w teren bitwy - ich przeciwko tobie.

Ale że w Liceum imienia Adamsa zawsze tak było - oni przeciwko mnie - nie czułam się specjalnie wytracona z równowagi.

Pomijając fakt, że w gromadzie demonstrantów zauważyłam dziewczynę z włosami w kolorach Midnight Ebony i Pink Flamingo.

Dziesięć głównych powodów, dla których beznadziejnie jest występować w telewizji:

10. Jeśli jesteś gościem jakiegoś talk show, osoba, która ma z tobą rozmawiać, korzysta z podpowiedzi na kartkach albo z telepromptera, wie, co ma mówić. Ty nie. Możesz liczyć tylko na siebie i jeśli zadadzą ci pytanie, na które nie potrafisz odpowiedzieć, możesz przepaść z kretesem.

9. Widzisz siebie na monitorze. Tak, twoja głowa jest naprawdę taka wielka i tak ją widzą wszyscy inni.

8. Pięć minut przed wejściem na żywo ty siedzisz i denerwujesz się tak, że chce ci się rzygać, a wszyscy inni biegają dokoła i świetnie się bawią. Oni nie będą występować w telewizji, więc co ich to wszystko obchodzi?

7. Zrobią ci taki makijaż i fryzurę, że w ogóle nie będziesz przypominać osoby, którą jesteś w zwyczajnym życiu, i potem twoja własna babcia zadzwoni do ciebie i zapyta, czy naprawdę chcesz wyglądać jak Paris Hilton.

6. Prowadzący program będzie cię kompletnie ignorował, pomijając chwile, kiedy kamery są włączone. Wtedy będzie się zachowywać tak, jakby był twoim najlepszym przyjacielem.

5. Jedzenie w bufecie składa się głównie z tego, czego najbardziej nienawidzisz... W moim przypadku to zawsze oznacza pomidory.

4. Garderobę będziesz dzielić z dwiema finalistkami zawodów w pikowaniu kołder z Pensylwanii, które będą bez przerwy mówiły o tym, jak się denerwują.

3. Ktoś ze studia zadzwoni z komórki do swojego siostrzeńca albo siostrzenicy i zmusi cię do powiedzenia jemu albo jej cześć przez telefon, bo jesteś dziewczyną, która uratowała prezydenta, a ta siostrzenica czy siostrzeniec to twoi fani.

2. A kiedy odezwiesz się do tego telefonu, okaże się, że siostrzeniec albo siostrzenica nie mają zielonego pojęcia, kim jesteś.

A oto najważniejszy powód, dla którego beznadziejnie jest występować w telewizji:

1. Chwilę po wyłączeniu kamer przypominasz sobie wszystko, co właśnie padło z twoich ust.

I wtedy chcesz umrzeć.

Jestem taka podekscytowana - powiedziała Kris. Nie musiała mi mówić. Widziałam, że jest podekscytowana, bo bez przerwy podskakiwała w miejscu i ścisnęła mnie za ramię.

Ja też powinnam być podekscytowana - sam prezydent Stanów Zjednoczonych miał się zwrócić do amerykańskiej młodzieży z budynku mojego liceum.

Ale ponieważ nie cierpię mojej szkoły, trudno mi było zdobyć się na jakikolwiek entuzjazm w obliczu faktu, że Liceum imienia Adamsa miało mieć swoje pięć minut sławy...

Pomijając nawet ten drobny fakt, że przed szkołą zebrało się z tysiąc osób, które wcale nie były zachwycone tym, co mieliśmy zamiar powiedzieć.

A co do Kris, wcale nie była taka podekscytowana dlatego, że jej ukochana Alma Mater wreszcie zyska należne jej uznanie. Demonstrantów nawet nie zauważyła na swoim radarze. Nie, ona była pijana radością, że pozna prezydenta...

...nie wspominając już o Randomie Alvarezie, najseksowniejszym prezenterze telewizyjnym.

- Tam jest - powtarzała, podskakując obok mnie. - Popatrz na niego! Jest taki elegancki!

Od czasu do czasu mówiła też: „Jest taki seksowny”. Tylko w ten sposób mogłam się zorientować, o kim mówi. Elegancki odnosiło się do prezydenta. Seksowny do Randoma Alvareza. Obu poprawiano fryzury i makijaż przed programem.

- Nie podoba mi się - powiedział Random do stylistki, która go szykowała na wizję. - Za bardzo sterczą!

- Właśnie tak mają wyglądać - zapewniła go stylistka. - Wszystkie dzieciaki tak się noszą.

Random spojrzął na mnie i zauważył:

- Ona nie. Stylistka zerknęła w moją stronę i aż podskoczyła, jakby ją coś ugryzło. A potem powiedziała do Randoma:

- No cóż, ona ma własne pomysły. Chyba uważała, że moje włosy nie wyglądają aż tak źle. Bo nie wyglądają, prawda?

Prezydent z pewnością nie był zachwycony, kiedy je zauważył. Spojrzął na moje włosy, a potem tak jakby zadrżał i spytał trochę zduszonym głosem.

- Czy to na stałe?

- Niezupełnie - odparłam.

- Rozumiem - powiedział. - Chcesz wyglądać jak. Tylko mnie nie pytaj, czy chcę wyglądać jak Ashlee Simpson, szepnęłam gorączkowo. Ale tylko w myślach.

- ... punkowa? - dokończył prezydent.

- Nie. - Skąd mu przyszła do głowy ta punkowa? Miałam na sobie dzinsy, fakt. Ale miałam też moją obcisłą koszulkę Nike. Punky nie noszą produktów Nike. - Po prostu chcę być sobą.

- Ale...

Tata Davida najwyraźniej postanowił nie zadawać pytania, które miał ochotę zadać, bo tylko popatrzył w stronę nieba, a potem na stylistkę, która pudrowała mu nos. Na mnie już więcej nie spojrzał.

Co po prostu dowodzi, że nie sposób dogodzić wszystkim.

- Niesamowite, że mogę cię wreszcie poznać - mówiła stylistka, którą mi wyznaczono, usiłując pozbawić moje czoło połysku. Bardzo trudno jest się nie pocić, kiedy się wie, że ma się wystąpić w telewizji. - Jesteś, no wiesz, jedną z moich idolek. Strasznie mi się podobało, jak uratowałaś prezydenta. To było super.

- Dzięki - powiedziałam.

- To wielki zaszczyt móc z tobą pracować. - Uśmiech stylistki ukazywał idealnie proste zęby, robotę zdolnego ortodonty albo produkt niezłego DNA - Jesteś świetnym przykładem do naśladowania dla dziewczyn na całym świecie.

- Dzięki - powiedziałam.

Też mi przykład. Przecież całkiem poważnie zastanawiałam się nad uprawianiem seksu z moim chłopakiem w czasie święta narodowego. No i ktoś przed chwilą usiłował rzucić we mnie kanapką z tuńczykiem.

- To wielka szkoda - powiedziała stylistka. Popatrzyłam na nią ostro. O mój Boże, czy ona czytała mi w myślach? Czy odgadła prawdę o Davidzie i o mnie? Słyszałam o fryzjerach, którzy potrafią czytać w myślach klientów, tylko dotykając ich włosów...

- Chodzi mi o twoje włosy - ciągnęła stylistka, nawijając na palec ich luźne pasmo. - Naprawdę powinnaś pójść z nimi do fachowca.

Kiedy już uporała się z moim świecącym czołem, usiadłam spokojnie na wyznaczonym mi miejscu, a wszyscy pozostali biegali dokoła, powtarzając, jak się denerwują. Wszyscy poza Randomem Alvarezem i prezydentem.

- O Boże. - Podeszła Kris i znów ścisnęła mnie za ramię. - Sądziś, że on da mi autograf?

- Który? - zapytałam.

- Jeden albo drugi - powiedziała. - Obaj. Wszystko jedno.

- Prezydent ci da - zapewniłam. - Co do Randoma, nie wiem. Nie znam go.

- Pójdę i się przedstawię, zanim program się zacznie. Nie uważasz, że powinnam? W końcu jestem w panelu dyskusyjnym. Zwykła uprzejmość nakazuje się przedstawić. Nie sądzisz? Powiem tylko dzień dobry, witamy w naszej szkole. Tak chyba wypada zrobić. Prawda?

Wzruszyłam ramionami. Prawdę mówiąc, w ogóle mnie nie obchodziło, co zrobi Kris. Miałam własne zmartwienia.

Jednym z nich było to, że chwilę wcześniej zauważyłam, jak do sali gimnastycznej wchodzi moja rodzina i siadają obok Davida i pierwszej damy. Moja rodzina w komplecie - rodzice, Lucy i Rebecca. Podeszłam do nich szybko i powiedziałam:

- A co wy tu robicie? Mama popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

- Chyba nie sądziłaś, że opuścimy twoje posiedzenie?

- Mogliście zostać w domu i obejrzeć je w telewizji - odparłam. - To leci na żywo, więc nic by was nie ominęło.

- Sam - rzekła mama lekko urażonym tonem. - Przemówienie prezydenta będzie dotyczyło tego, że rodziny powinny spędzać ze sobą więcej czasu. Czy to by nie pachniało hipokryzją, gdyby nas tu nie było, żeby cię wspierać?

O tym nie pomyślałam. Chyba miała rację.

Ale chociaż przyszli, wspieranie mnie wcale nie było zbyt wysoko na liście ich priorytetów. Tata nie odkładał komórki - bo gdzieś na świecie jakiś bank zawsze jest otwarty - Rebecca czytała jakąś książkę o teorii chaosu, mama co chwila zerkała w swój PDA, a Lucy wyciągała szyję, szukając w tłumie swoich przyjaciółek.

Kiedy ominęła wzrokiem Tiffany Shore i Amber Carson, zrozumiałam, że wcale nie wypatruje przyjaciółek. Rozglądała się za Haroldem Minskym. Który zapewne wcale się nie pojawi, bo posiedzenie rady miasta transmitowane z jego szkoły - nawet takie, któremu przewodzi prezydent Stanów Zjednoczonych - nie było ani w przybliżeniu tak interesujące jak dzisiejszy program na UPN, cokolwiek by nadawali.

Moje drugie zmartwienie dotyczyło Dauntry. Cały czas zastanawiałam się, czy to ją zauważyłam w gromadzie demonstrantów przed szkołą. A jeśli tak, to czy to znaczy, że ona mnie teraz nienawidzi? Tylko dlatego, że popieram inicjatywę taty mojego chłopaka?

Kiedy wróciłam na swoje miejsce przed kamerami - które jeszcze nie były włączone - zobaczyłam, że Kris wreszcie zebrała się na odwagę i poszła się przedstawić tacie Davida i Randomowi Alvarezowi. Właśnie potrząsała ręką Randoma, najwyraźniej nieświadoma lekko

rozzłoszczonego wyrazu jego twarzy. Pewnie nadal był niezadowolony ze swojej fryzury.

- Hej. - W uchu odezwał mi się głos Davida. - Połamania rąk.

- Bardzo śmieszne - mruknęłam. Zawsze mi życzy połamania rąk, kiedy mam wystąpić w telewizji, bo przecież poznałam go tuż po złamaniu sobie ręki, gdy ratowałam jego tatę przed postrzeleniem.

- Nie martw się - powiedział David, całując mnie w czubek głowy. - Poradzisz sobie świetnie. Zawsze sobie radzisz.

- Dzięki - odparłam, chociaż nie wierzyłam w ani jedno słowo.

- Aha, i jeszcze coś - dodał David, usiłując podnieść mnie na duchu. - Poznasz wreszcie Randoma Alvareza!

- To kompletny dupek - stwierdziłam.

- Twoja koleżanka Kris myśli inaczej - zauważył David. Spojrzałam w kierunku, w którym skinął głową, i zobaczyłam, jak Kris zaśmiewa się z czegoś, co powiedział Random (pewnie coś w rodzaju: „Przynajmniej mam lepszą fryzurę niż ta laska, tam”). Wyciągnęła rękę i położyła ją na piersi Alvareza, jakby chciała powiedzieć: „Przestań! Bo umrę ze śmiechu! Jesteś taki dowcipny!” Ale widać było, że chciała po prostu go dotknąć.

Randomowi wcale to nie przeszkadzało, bo sekundę później pochylił się i szepnął Kris coś do ucha. Zarumieniła się i pokiwała głową z entuzjazmem, a Random klepnął ją w tyłek.

Naprawdę.

Popatrzyłam na Davida.

- Uh. - Tylko tyle przyszło mi do głowy.

- Co się dzieje z Lucy? - spytał David, wskazując brodą moją siostrę, która nadal szukała wzrokiem miłości swojego życia wśród rozkładanych krzeseł poustawianych w zaciemnionej sali gimnastycznej.

- Szuka Harolda - wyjaśniłam. Opowiedziałam Davidowi o Lucy i jej korepetytorze w samochodzie, w drodze z pracowni rysunku. Pokiwał tylko głową i stwierdził:

- Podoba jej się, bo jest jedynym facetem na świecie, który nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Rozumiesz chyba, że to pociąga.

Uniosłam brwi.

- A ty to rozumiesz?

- No cóż, Lucy zawsze zdobywała facetów, którzy jej się podobali, więc facet, którego nie może zdobyć, stanowi jakąś odmianę. Jasne, że się w nim zakocha.

Cóż, nie myślałam o tym w ten sposób. Ale to brzmiało sensownie.

- To genialny plan ze strony tego Harolda - zauważył David.

- Plan? - Skrzywiłam się, ale mam nadzieję, że nie tak paskudnie jak Brittany Murphy.

- Myślisz, że Harold to sobie zaplanował?

- No jasne. To naprawdę genialne. Udaje, że Lucy nic go nie obchodzi, czym doprowadza ją do szału... Przed końcem tygodnia będzie mu jadła z ręki.

- Cóż - powiedziałam. - Gdybyś znał Harolda... To nie jest taki facet.

- Naprawdę? - zdziwił się David. A potem pokręcił głową. - Biedna Lucy.

Spojrzał na moją siostrę, która wciąż rozglądała się za Haroldem, i powtórzył:

- Biedna Lucy. W tym momencie reżyser zawołał:

- No dobra, ludzie, na dziesięć wchodzimy na antenę! Wszyscy na miejsca!

- Słuchaj. - David pochylił się i zaczął mi szeptać do ucha. - Prawie zapomniałem.

Właśnie wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Moja mama rozmawiała przed chwilą z twoją mamą i wspomniała o tym całym Świącie Dziękczynienia. Żebyś przyjechała do nas do Camp David.

Cała krew w moich żyłach nagle zamieniła się w lód.

- A twoja mama powiedziała, że nie ma nic przeciwko - ciągnął David. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz. To znaczy, że moja mama tak wyskoczyła przed peleton, zanim sama miała szansę spytać. Ale ona naprawdę chciała wiedzieć. Co z indykiem i tak dalej.

- Dziewięć, osiem, siedem... - Random wślizgnął się na stołek koło mnie. Prezydent już siedział na swoim stołku, po drugiej stronie. - ...sześć, pięć, cztery... pamiętajcie, żeby spoglądać na siebie nawzajem, a nie w kamerę...

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz - powtórzył David, cmoknął mnie w policzek i pobiegł na swoje miejsce, w tej samej chwili, w której reżyser zawył:

- I jedziemy!

Wszystkie kamery na sali obróciły się i skupiły na mojej zastygłej w wyrazie przerażenia, bladej jak ściana twarzy.

- Wita was Random Alvarez. Będę prowadził dzisiejsze posiedzenie rady miasta nadawane w programie MTV. - Random mówił głosem o wiele niższym niż przed włączeniem kamer, a połowa dziewczyn siedzących na rozkładanych, krzesłach ustawionych przed nami, z Kris Parks na czele, gapiała się na niego z uwielbieniem, jakby wyobrażały sobie, że stoją we dwoje przed pastorem na środku kaplicy w Las Vegas i za chwilę połączą się na wieki węzłem małżeńskim.

- W tym programie wy, widzowie, poznacie niektóre problemy, jakie staną przed młodymi ludźmi w nadchodzącym roku wyborów. Z ogromną radością i dumą witam człowieka, którego nie trzeba nikomu przedstawiać, prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pan

prezydent opowie nam o swojej nowej inicjatywie Powrót do Rodziny. Jest z nami również Samantha Madison, uczennica Liceum imienia Johna Adamsa w Waszyngtonie, skąd mamy zaszczyt na żywo nadawać nasz program... - Rozległy się okrzyki uczniów Liceum imienia Adamsa, a Kris właśnie ten moment sobie wybrała, żeby wrzasnąć: „Kocham cię, Random!”, co Random kompletnie zignorował. - To Samantha ryzykowała własne życie, żeby uratować prezydenta, i w uznaniu jej wysiłków została mianowana nastoletnią ambasadorką przy ONZ. Panie prezydencie, Samantho... Witam i zapraszam.

- Witaj, Random - powiedział prezydent z uśmiechem. - Bardzo dziękuje za zaproszenie na dzisiejszy wieczór. I niech mi będzie wolno dodać, że jesteś moim ulubionym prezenterem telewizyjnym.

Tu tłum roześmiał się radośnie. Zauważyłam, że pierwsza dama, która siedziała koło mojej mamy, obróciła się do niej i powiedziała coś z szerokim uśmiechem. Mama odpowiedziała i również się uśmiechnęła.

Ciekawe, czy byłoby jej tak bardzo do śmiechu, gdyby wiedziała, co naprawdę planuję robić w czasie wolnych dni z okazji Święta Dziękczynienia.

- Dziękuję, panie prezydencie - rzekł Random tym niepokojąco głębokim głosem. Mogę przysiąc, że zerknął w tym momencie na majtki Kris, która miała minispódniczkę w szkocką kratę i właśnie obróciła się na krześle, żeby powiedzieć coś do dziewczyny siedzącej za nią.

- A zatem, panie prezydencie. - Random czytał z telepromptera umieszczonego tuż pod kamerą, w którą podobno mieliśmy nie patrzeć. - Proszę nam opowiedzieć o swoim programie Powrót do Rodziny.

- Bardzo chętnie - powiedział prezydent. - Otóż uważam, że w obliczu niepokojąco dużej liczby rozwodów i tym samym coraz wyższej liczby rodziców samotnie wychowujących dzieci, powinniśmy tym bardziej pamiętać, jak ważna jest rola rodziny, która zawsze stanowiła i stanowi podporę Ameryki. Jeśli rodzina ulega osłabieniu, to i Ameryka się osłabia. A ja obawiam się, że amerykańskie rodziny uległy osłabieniu... Nie tylko przez obciążenia finansowe, jakim muszą podołać, ale również ze względu na podstawowe zaniedbania w porozumiewaniu się. Rozumiem presję, jaka spoczywa obecnie na rodzicach, którzy ciężko pracują, żeby zapewnić swoim dzieciom udogodnienia, których sami byli pozbawieni, dorastając. Ale uważam zarazem, że rodzice powinni spędzać ze swoimi dziećmi więcej czasu i to spędzać w sposób sensowny - nie tylko kibicując im podczas meczów piłki nożnej czy pomagając w odrabianiu prac domowych. Powinni przede wszystkim z nimi rozmawiać, otwierać nowe kanały porozumienia między rodzicami i dziećmi.

Prezydent przerwał na chwilę. On nigdy nie czyta z kartki ani z telepromptera. Wygłasza swoje przemówienia z pamięci. David też to potrafi - przemawiać publicznie, improwizując (słowo do egzaminu SAT oznaczające, że coś robi się spontanicznie i bez przygotowania).

Ja natomiast potrzebuję notatek. Miałam je wetknięte do kieszeni dżinsów i tylko czekałam na znak Randoma, że teraz moja kolej. Prezydent miał powiedzieć, co mogą zrobić rodzice, żeby otworzyć nowe kanały porozumienia z dziećmi, ja zaś miałam mówić o tym, co mogą zrobić same dzieci.

A pojutrze pojadę do Maryland i będę po raz pierwszy uprawiała seks z moim chłopakiem.

- Dlatego nawołuję do Powrotu do Rodziny - ciągnął prezydent. - W jeden wieczór w miesiącu wszyscy wyłączmy telewizory, zostanemy w domu, zamiast iść na trening piłki nożnej, i po prostu spędzmy ze sobą czas na rozmowie. Ktoś mógłby powiedzieć, że jeden wieczór w miesiącu to niewiele. Że to nie wystarczy, żeby wzmocnić rodzinę. Badania pokazują jednak, że dzieci, których rodzice poświęcają choćby kilka godzin miesięcznie na rodzinne rozmowy, szybciej rozwijają zdolności kognitywne, takie jak umiejętności językowe i płynne czytanie, lepiej wypadają w różnych sprawdzianach i rzadziej sięgają po alkohol i narkotyki oraz rzadziej angażują się w seks przedmałżeński.

Wow. Może właśnie na tym polegał mój problem. Mam zamiar zaangażować się w seks przedmałżeński, bo rodzice nie spędzają ze mną wystarczająco dużo czasu.

Tak. To ich wina.

- Będziecie mieć za sobą wsparcie rządu - kontynuował swoją przemowę tata Davida.
- Aby wspomóc wysiłki rodziców, którzy pragną otwierać nowe kanały komunikacji z dziećmi, zamierzam wnieść do Kongresu projekt ustawy, która zobowiąże poradnie świadomego rodzicielstwa do wydawania nastolatkom środków kontroli urodzeń tylko na podstawie pisemnej zgody rodziców albo do zawiadamiania rodziców o przepisaniu ich nastoletnim dzieciom takich środków. ..

Rozległy się oklaski. Kris i jej przyjaciółki zaczęły nawet wznosić radosne okrzyki.

Ja nie wznosiłam okrzyków.

Zamiast tego odezwałam się:

- Co?

Ale mikrofon, który miałam przypięty do bluzki, nie wyłapał tego.

Może i dobrze. Bo przecież musiałam się przesłyszeć. Wszyscy zachowywali się, jakby prezydent nie powiedział niczego dziwnego. Zobaczyłam, że tata wstaje i rusza do

wyjścia z sali gimnastycznej (pewnie ktoś do niego zadzwonił na komórkę). Mama zawzięcie klaskała, uważając, żeby nie zrzucić z kolan PDA. Rebecca nadal czytała książkę na temat teorii chaosu. Lucy malowała usta błyszczkiem.

Tak, wszystko było w porządku. To ja musiałam się przesłyszeć. No bo czym się martwiłam? Ach, tak, seksem. Z moim chłopakiem. W Camp David. Pojutrze.

- Moim zdaniem to ważny krok - podjął prezydent, gdy oklaski ucichły - na drodze do otwarcia nowych kanałów porozumienia między rodzicami a dziećmi. Stany Zjednoczone znajdują się na czele listy państw rozwiniętych pod względem liczby nastoletnich matek i przypadków chorób przenoszonych drogą płciową. Obecnie poradnie, a nawet apteki, przyczyniają się do promowania aktywności seksualnej wśród nastolatków. Dzięki wprowadzeniu ustawy rodzice będą mogli przeciwdziałać przedwczesnemu podejmowaniu współżycia przez ich dzieci.

Kolejne oklaski.

W głowie mi się to nie mieściło. Co tu się dzieje? Dlaczego ci ludzie klaszczą? Czy nie rozumieją, co mówi tata Davida?

I dlaczego w materiałach, które dostałam od sekretarza prasowego Białego Domu, nie było żadnej wzmianki, żeby poradnie albo apteki informowały rodziców, że nastolatki przychodzą do nich po środki antykoncepcyjne. Gdyby coś takiego było, ja bym to zauważyła. No bo ostatnio jakoś tak sporo myślałam na zbliżone tematy.

Aplauz po ostatnich słowach prezydenta był tak donośny, że dopiero po paru sekundach ktokolwiek mógł usłyszeć, jak wołam:

- Zaraz! Chwileczkę! Random, zauważywszy na teleprompterze, że to jeszcze nie pora na moje wystąpienie, spytał niepewnie:

- Samantha? Masz nam, hm, coś do powiedzenia?

- Owszem - potwierdziłam. Notatki wciąż miałam w kieszeni. Nie wyciągnęłam ich, bo na śmierć o nich zapomniałam. Byłam za bardzo wytrącona z równowagi - i wściekła.

- Ludzie, czemu wy klaszczecie? - Spojrzałam na Kris Parks i jej przyjaciółki. - Czy nie zdajecie sobie sprawy z tego, co on mówi? Czy nie rozumiecie, co się tutaj dzieje?

- Samantha - odezwał się prezydent zza moich pleców. - Jeśli pozwolisz mi dokończyć, to przekonasz się, że to, co się tutaj dzieje, oznacza, że usiłuję wzmocnić amerykańskie rodziny, oddając władzę rodzicielską tym osobom, które wiedzą najlepiej, co jest dobre dla ich dzieci...

- Nie. To nie tak! - Nie pojmowałam, jak to możliwe, że jestem jedyną osobą w tej sali, która tak myśli. Znowu spojrzałam na moich kolegów ze szkoły. - Czy wy słyszycie, co

on mówi? Ten cały Powrót do Rodziny, to... to jakieś oszustwo! To nie fair! To... to...

I nagle przyszła mi do głowy Dauntra. Dauntra, która nie mogła wrócić do swojej rodziny, bo rodzice wyrzucili ją z domu. Dauntra, która kwestionowała autorytety do tego stopnia, że gotowa była dać się za to aresztować.

- To konspiracja! - krzyknęłam. - To spisek, który ma nam odebrać nasze prawa!

- Ależ Sam - powiedział prezydent z lekkim uśmiechem. - Nie dramatyzuj...

- Ja dramatyzuję? - Odwróciłam się do niego. - Stoi pan tu i opowiada, że chce pan, żeby apteki i lekarze donosili na nastolatki, jeśli zwrócą się do nich o pomoc...

- Samantha. - Prezydent już się nie uśmiechnął. Był wściekły, chyba nawet bardziej niż wtedy, kiedy zjadłam ostatnie ciastko z kosza ze słodyczami, który mu przesłano z Capital Cookies. - To jest upraszczanie kwestii, z jaką mamy do czynienia. Amerykanie zawsze przedkładali rodzinę ponad wszystko. Rodziny zawsze były podporą tego kraju. Począwszy od pielgrzymów, którzy przybyli na pokładzie „Mayflower”, przez osadników, którzy ujarzmili prairie, aż do imigrantów, którzy stworzyli z tego narodu wielki tygiel narodowości. Nie zamierzam więc stać bezczynnie i pozwalać na upadek rodziny wskutek osłabienia praw rodzicielskich...

- A co z moimi prawami? - spytałam ostro. - Co z prawami dzieci? My też mamy prawa, wie pan?

Spojrzałam na publiczność. Trudno było zobaczyć ich twarze, bo reflektory świeciły mi prosto w oczy, zdołałam jednak zauważyć Davida.

I zobaczyłam, że się do mnie uśmiecha. Nie tak, jakby był zadowolony z tego, co się tu dzieje, ale tak, jakby rozumiał, że po prostu robię to, co muszę.

No bo kto inny miał to za mnie zrobić?

Widząc jego uśmiech, nagle zrozumiałam coś, co do tej pory wcale nie wydawało mi się jasne.

- Czy naprawdę nie pojmujecie? - zwróciłam się do widowni i prezydenta za jednym zamachem. - Nie da się wzmocnić rodziny, osłabiając prawa jednego z jej członków, a wzmacniając prawa innego. Nie można koncentrować się na częściach. Liczy się całość. Musi istnieć równowaga. Rodzina jest jak dom. Zanim zaczniesz go urządzać, musisz postawić ściany.

Zastanawiałam się, czy Susan Boone tego słucha. Nie bardzo mogłam sobie ją wyobrazić oglądającą MTV, ale nigdy nic nie wiadomo. Może jednak oglądała. Jeśli tak, to wie, że wreszcie zrozumiałam, o czym mówiła przez ostatnie dwa tygodnie. Nie można zaniedbać całości na rzecz poszczególnych części. Byłam gotowa na lekcje rysunku z natury.

Szkoda, że za późno.

- Czy wy tego nie rozumiecie? - zwróciłam się do swoich rówieśników na widowni. - Stany Zjednoczone przodują pod względem liczby nastoletnich matek i przypadków chorób przenoszonych drogą płciową nie dlatego, że poradnie nie informują rodziców o zamiarach ich nastoletnich dzieci, ale dlatego, że uczą nas tylko takich rzeczy, jak „po prostu powiedz »nie«,„. Nie uczą, co zrobić, gdy mówienie „nie” w twoim przypadku nie zadziała. W krajach, gdzie dorośli otwarcie rozmawiają z dziećmi o seksie i kontroli urodzeń, a nastolatki wiedzą, że nie ma w tym niczego złego ani wstydliwego, wskaźnik niechcianych ciąż i liczba przypadków chorób roznoszonych drogą płciową są najniższe...

- Rozumiem twoją troskę, Samantha - przerwał mi prezydent, uśmiechając się z wyraźnym przymusem - ale ja nie mówię o rodzinach takich jak ta, z których pochodzicie ty i twoi koledzy z tej znakomitej szkoły. Mówię o rodzinach, które nie miały takich możliwości...

Nie wierzyłam własnym uszom. Czyżby prezydent sugerował, że rodziny mieszkające w Cleveland Park są w jakiś sposób uodpornione na przedwczesne rodzicielstwo i eksperymenty seksualne nastolatków?

- ...o rodzinach, które nie zaszczepiły swoim dzieciom takich zasad moralnych, jakie wyrobili w tobie twoi rodzice - ciągnął tata Davida. - Ty i twoi koledzy z Liceum imienia Johna Adamsa stanowicie znakomity przykład dobrze wychowanych młodych ludzi, którzy mają dość siły moralnej, by walczyć o to, w co wierzą, by sprzeciwić się narkotykom i seksowi...

- Jeśli więc - rzuciłam gniewnie - mówię seksowi „tak”, daję zły przykład? Czy to chce pan powiedzieć?

Dopiero po chwili wszyscy - włącznie ze mną - zrozumieli, co właśnie powiedziałam.

Kiedy dotarło do mnie, że właśnie zawiadomiłam cały kraj, że uprawiałam seks z moim chłopakiem (choć nie uprawiałam), miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

Niestety, podłoga sali gimnastycznej nie rozstała się przede mną.

- O mój Boże! - Głos mojej mamy przerwał ciszę, jaka nagle zapadła.

- O mój Boże! - jęknęła mama Davida. Random Alvarez ocknął się z drzemki, w jaką zapadł, kiedy rozmawiałam z prezydentem, i powiedział:

- Wróćmy do państwa zaraz po przerwie!

Dziesięć głównych powodów, dla których przy następnej okazji uratowania życia prezydentowi dobrze się zastanów:

10. Dokądkolwiek się potem wybierzesz, będę cię napastować członkowie „rodziny Johnsonów na wakacjach” .

9. Może się zdarzyć, że zaproszą cię do programu Oprah, a kiedy po stu odmowach wreszcie zdecydujesz się wystąpić, żeby nagłośnić problem niewolnictwa wśród dzieci, które istnieje nawet w Ameryce, skończy się na tym, że cały program przepłaczesz, bo Oprah zapyta cię o Mewsię, twojego kotka z czasów wczesnego dzieciństwa, który zmarł na białaczkę.

8. Kiedy pracujesz, żeby mieć z czego płacić za swoją manię ołówkową, ludzie, którzy oddają DVD z *Facetami w czerni II*, pytają cię, czy wiesz, co się naprawdę kryje za Strefą 51, bo uważają, że masz jakieś chody w Białym Domu i tak dalej.

7. Cały wolny czas musisz spędzać w biurze prasowym Białego Domu, podpisując swoje zdjęcia dla fanów.

6. Nie licz na to, że jeszcze kiedykolwiek postawisz stopę w McDonalddie. Bo jeśli to zrobisz, ludzie cię zadenuncją.

5. Wszyscy znajomi będą pytać, czy możesz im załatwić autograf prezydenta.

4. Znajdziesz na eBayu aukcje swoich starych upomnień z miejscowej biblioteki, bo każdy chce mieć jakiś kawałek ciebie.

3. Możesz się zakochać w pierwszym synu i zacząć się z nim umawiać.

2. Co może doprowadzić do nader niezręcznej' sytuacji, kiedy prezydent poprosi cię o wsparcie dla swojego programu Powrót do Rodziny, a ty uznasz, że ten program koliduje z twoim prawem do prywatności.

A oto najważniejszy powód, dla którego lepiej się zastanowić, zanim uratuje się życie prezydentowi Stanów Zjednoczonych:

1. Możesz się na niego wściec i niechcący oświadczyć całemu światu w telewizji, że uprawiałaś seks z jego synem. Nawet jeśli nie uprawiałaś.

Jak dotąd.

Wszystko przez te cholerne lekcje rysunku - powiedział prezydent.

- Lekcje rysunku nie mają nic do rzeczy - odparł David zmęczonym głosem. Pewnie dlatego, że był zmęczony.

Wątkowaliśmy ten temat w naszym salonie od godziny - od chwili, kiedy prezydent wypadł z nieszczęsnego posiedzenia rady miasta w czasie przerwy na reklamy, zmuszając MTV do powtórkowej emisji programu *Odpicuj mi brykę*.

- Przecież wiem, że mój syn nie interesował się seksem, dopóki nie zaczął rysować nagich ludzi - upierał się prezydent.

- Ależ tato - przekonywał David - ja zawsze interesowałem się seksem. W końcu jestem facetem, prawda.? Ja tylko nie uprawiam seksu i nie planuję tego robić w najbliższej przyszłości.

Nie miałam pojęcia, że tak rewelacyjnie potrafi kłamać.

- To dlaczego - zaczął prezydent - Sam powiedziała...

- Chwileczkę - przerwał mu mój tata. - Kto rysuje nagich ludzi?

- Sam - odparła mama i nachyliła się, żeby dolać pierwszej damie trochę kawy. - Susan Boone zaprosiła ją i Davida na zajęcia rysunku dla dorosłych we wtorki i czwartki.

Tata zrobił głupią minę.

- Ale w jaki sposób mieli od tego nabrać ochoty na seks?

- My nie uprawiamy seksu - powtórzyłam po raz chyba trzydziestotysięczny.

- No to dlaczego, na miłość boską - spytał prezydent - powiedziałaś całej Ameryce, że mówisz „tak” seksowi?

- Nie wiem - odparłam. Skuliłam się na sofie, przyciskając nogi do piersi i opierając brodę na kolanach. - Po prostu tak mnie pan wkurzył...

- Po prostu cię wkurzyłem? - Teraz prezydent był nieźle wkurzony. - Stałem tam i opowiadałem, jakim świetnym przykładem może być mój syn, a on przez cały czas robił ze mnie idiotę...

- Nie, nie robił - zapewniłam. - Bo my nie uprawiamy...

- Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebyś mnie pytał, czy popieram ten twój projekt ustawy o zgodzie rodziców na korzystanie z poradni świadomego rodzicielstwa - wszedł mu w słowo David. - W materiałach, które dostała Sam, też nic nie było o tym projekcie. Bo gdyby było, Sam na pewno by mi o tym powiedziała.

- Rodzice powinni wiedzieć, co dzieci robią za ich plecami - oznajmił prezydent.

- Po co? - zapytał David. - Żeby się mogli zachowywać jak ty teraz? Wariować tak jak ty?

- Jeśli się dowiedzą, zanim ich dziecko zacznie uprawiać seks - odparł prezydent - spróbują jakoś temu zapobiec. Otworzą nowe kanały porozumienia, żeby powstrzymać dziecko przed popełnieniem największego błędu...

- Nie przesadzajmy - powiedziała moja mama pewnym głosem, którego używa na sali sądowej. - Sam przeprosiła za to, co zrobiła, i wyjaśniła, że użyła wyrażenia hiperbolicznego (słowo do egzaminu SAT oznaczające, że podkreśla się coś przesadnie). Moim zdaniem prawdziwym problemem jest, co mamy z tym teraz zrobić.

- Powiem ci, co my z tym teraz zrobimy - powiedział prezydent do syna. - Szkoła z internatem.

David wznosił oczy do nieba ze znudzoną miną. - Tato...

- Mówię poważnie - powiedział prezydent. - Nic mnie nie obchodzi, że został ci tylko rok do ukończenia liceum. Wysłałam cię do szkoły wojskowej i to jest moje ostatnie słowo.

Popatrzyłam na Davida przerażona.

Ale on był spokojny... O wiele spokojniejszy, niż można by się spodziewać po kimś, kto ma zostać zapisany na jakiś obóz wojskowy w Ozarks.

- Nigdzie mnie nie wyślesz, tato - powiedział David - bo ja niczego nie zrobiłem. Zamiast wyciągać pochopne wnioski jak jakiś reakcjonista, spróbuj zrozumieć, co mówiła Sam na tym posiedzeniu rady miasta... W rodzinie musi istnieć równowaga, żeby taka rodzina mogła funkcjonować. Wszyscy mają swoje prawa, ale nikomu nie wolno uzurpować sobie praw innych. To, że nastolatki nie są dość dorosłe, żeby mieć prawa wyborcze, to jeszcze nie powód, żebyś ich pozbawiał wszelkich praw.

Ojciec spiorunował go wzrokiem.

- Upraszczasz...

- Czyżby? Nie zapominaj, że zaledwie za parę lat te nastolatki będą dość dorosłe, żeby głosować. I jak sądzisz, jak będą wspominać faceta, który wprowadził prawo pozwalające zakapować ich rodzicom, ile razy chcieli kupić prezerwatywę?

- Wystarczy - powiedziała moja mama, zanim prezydent, który jeszcze bardziej się wściekł, zdążył otworzyć usta. - Nie będziemy dziś wieczorem rozwiązywać wszystkich problemów społecznych. - Posłała prezydentowi swoje najbardziej stanowcze sądowe spojrzenie, to, które jej współpracownicy z Agencji Ochrony Środowiska nazwali „śmierć przemysłowcom”. - I nikt nie zostanie wysłany do żadnej wojskowej szkoły. Chociaż przez

moment bądźmy wdzięczni losowi, że mamy dwójkę mądrych, zdrowych dzieci, które zawsze postępowały właściwie w przeszłości i ufam, że nadal będą tak postępować.

- Ale... - zaczął prezydent. Tym razem przerwała mu żona.

- Zgadzam się z Carol - powiedziała pierwsza dama. - Moim zdaniem powinniśmy zapomnieć o tym niemiłym wydarzeniu i spróbować dostrzec jaśniejsze strony w całej sytuacji.

- To znaczy? - chciał wiedzieć prezydent.

- No cóż... - Mama Davida musiała się chwilę zastanowić. A potem rzekła z uśmiechem: - Nasze dzieci przynajmniej nie są obojętne, w przeciwieństwie do wielu ich rówieśników. David i Sam naprawdę przejmują się wieloma sprawami.

Prezydent chyba nie uważał, że to jest coś, za co powinien być wdzięczny losowi.

- To nie był mój najlepszy dzień - rzekł tak do nikogo w szczególności.

I chociaż nadal byłam na niego wściekła, że tak mnie usiłował zrobić (bo dokładnie to próbował zrobić, tak jak ostrzegła mnie Dauntra), poczułam, że trochę mi go żal. No bo mimo wszystko jego program naprawdę miał swoje dobre strony.

- Powrót do Rodziny to niezły pomysł - powiedziałam, żeby go pocieszyć. - Jeśli oznacza właśnie to, że rodziny omawiają ze sobą różne rzeczy. Ale nie, jeśli ma oznaczać łamanie czyichś praw... No bo w jaki sposób miałyoby to komukolwiek pomóc?

Prezydent spojrział na mnie kwaśno.

- Już to mówiłaś, Sam - stwierdził. - Jasno i wyraźnie. Chyba cała Ameryka słyszała.

Uznając to za wskazówkę, że tata Davida dość się już mnie naoglądał jak na jeden dzień, wstałam z kanapy i wymknęłam się z salonu.

I bardzo mi ulżyło, kiedy David przyszedł do mnie do pustej kuchni, bo Lucy i Rebecca już dawno poszły do swoich pokojów... Chociaż nie miałam wątpliwości, że na szczycie schodów odchodzi niezłe podsłuchiwanie.

- W porządku? - spytał David, kiedy wreszcie zostaliśmy sami.

Zamiast odpowiedzieć, po prostu zarzuciłam mu ręce na szyję i stałam tam, chowając twarz na jego piersi, wdychając jego zapach i usiłując się nie rozpłakać.

- No już, już - szeptał, głaszcząc mnie po włosach w odcieniu Midnight Ebony. - Wszystko będzie dobrze, Sharona.

- Przepraszam - chlipnęłam. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło w tej sali gimnastycznej. - Stałam z zamkniętymi oczami, ciesząc się ciepłem, które czułam przez jego sweter, i marząc, żeby nigdy nie musiała się odsunąć.

- Nie martw się - powiedział. - Zrobiłaś to, co zawsze robisz... Broniłaś swoich

poglądów.

Zamrugałam oczami na te słowa. Bo to przecież nieprawda. Ja wcale nie bronię swoich poglądów. Nie wobec Kris w szkole. Nie wobec Stana w pracy. A zwłaszcza nie wobec Davida. No bo gdybym broniła, to wcale bym nie planowała wyjazdu z nim do Camp David na Święto Dziękczynienia.

- Słuchaj, Davidzie - powiedziałam, wzięwszy głęboki oddech. - Co do Święta Dziękczynienia...

- Przyjedziesz do nas, prawda? Ale to nie David o to zapytał, tylko jego mama, która właśnie weszła do kuchni. David i ja odskoczyliśmy od siebie. Co miałam odpowiedzieć? No bo ona miała taką zatroskaną minę, jakby myślała, że ten cały indyk się zmarnuje, jeśli nie przyjadę.

- Tak - powiedziałam. - Oczywiście, że przyjadę.

- Świetnie - ucieszyła się pierwsza dama. - Chodź, Davidzie. Czas się zbierać. Dobranoc, Sam.

- Dobranoc pani. I... bardzo przepraszam.

- To nie twoja wina - zapewniła mnie i zwróciła się do Davida: - Przypomnij Sam, że podjedziesz po nią w czwartek rano.

David wyszczerzył do mnie zęby.

- Przyjadę po ciebie w czwartek rano - oświadczył, ścisnął moją rękę, puścił ją i wyszedł za mamą na korytarz.

Czwartek. Świetnie.

- No cóż - powiedziała moja mama, kiedy wreszcie zamknęliśmy drzwi za gośćmi. - Było miło. Szkoda tylko, że zabrali ze sobą tych agentów Służb Specjalnych. W tej chwili byłabym wdzięczna za kulkę w łeb.

Chociaż sama czułam się podobnie, uznałam, że pora wygłosić krótką mowę, którą ćwiczyłam w myślach od chwili, gdy wyszliśmy z sali gimnastycznej.

- Mamo, tato - powiedziałam. - Chciałabym wam podziękować za to, że stworzyliście mi taką ciepłą, pełną wsparcia atmosferę, i za to, że daliście mi takie pozytywne przykłady ról, jakich dziewczyna taka jak ja naprawdę potrzebuje, jeśli ma sobie poradzić w skomplikowanym i wiecznie się zmieniającym krajobrazie...

- Sam - przerwał mi tata - rozumiem, że ty tylko chciałaś dziś wieczorem podkreślić swój punkt widzenia. Jednak moim zdaniem przyszła pora na pewne zmiany w tym domu. Na duże zmiany. Dlatego teraz pójdziesz do swojego pokoju. I zostaniesz tam - dodał z naciskiem.

- Okay - powiedziałam i popędziłam po schodach do swojego pokoju.

Gdzie znalazłam moją siostrę Lucy, czekającą z szeroko otwartymi oczami.

- O mój Boże! - zawołała, kiedy się upewniła, że rodzice zamknęli drzwi do siebie i nie mogą nas podsłuchać. - To było... to było... to było szalone.

- Mów do mnie jeszcze - mruknęłam, nagle czując się kompletnie wyczerpana.

- Nigdy nie widziałam mamy i taty w takim... w takim stanie.

- Tak - westchnęłam, podnosząc oczy na ślubne zdjęcie Gwen.

- I co, masz szlaban? - Nie.

Lucy była zdumiona. - Nie?!

- Nie - powtórzyłam - ale tata powiedział, że czekają nas w domu poważne zmiany.

Lucy opadła na mój kosz na brudne ubrania, wstrząśnięta do głębi.

- W o w - powiedziała. - Dałaś do myślenia Carol i Richardowi.

- Nie wydaje mi się - odparłam. - Oni mi chyba po prostu... ufają.

- Wiem. - Lucy pokiwała głową. - I to jest najpiękniejsze. Oni nie mają zielonego pojęcia, co naprawdę zaplanowałam na pojutrze.

Nie musiała mi tego przypominać. Nagle zrobiło mi się niedobrze.

- Lucy - poprosiłam - czy możemy o tym porozmawiać kiedy indziej? Teraz potrzebuję zostać sama.

- Jasne. - Lucy podniosła się z kosza. - Ale w imieniu wszystkich nastolatków chciałam ci tylko powiedzieć... dobra robota. I wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. A ja spojrzałam na Gwen i wybuchnęłam płaczem.

Dziesięć głównych powodów, dla których nienawidzę mojej szkoły:

10. Ludzie, którzy do niej chodzą, sądzą cię po tym, w co się ubierasz. Jeśli na przykład lubisz ubierać się na czarno, dziwadłem nazywa cię - prosto w oczy - prawie każdy, kogo mijasz na korytarzu.

9. Jeżeli zdarzy się, że ufarbujesz sobie włosy na czarno, nie tylko nazywają cię dziwadłem, ale dziwadłem w stylu goth albo punk. Niektórzy mogą cię także pytać, gdzie zaparkowałaś swoją miotłę, sugerując, że jesteś praktykującą wyznawczynią wicca. Bo oczywiście, nie zdają sobie sprawy, że wicca to prastara religia, znacznie starsza od chrześcijaństwa, oparta na szacunku dla natury i celebrowaniu sił życia, i ma niewiele albo wręcz nic wspólnego z miotłami, które wykorzystuje się wyłącznie jako rekwizyty w niektórych rytuałach. Nie, żebyś kiedykolwiek studiowała kult wicca. Dogłębnie.

8. Nikt nie mówi o niczym innym, jak tylko o tym, kto wygrał *Idola* albo która szkolna drużyna dotrze do jakiego finału. Nikt nie rozmawia o sztuce albo ideach, tylko o telewizji i sporcie. Wydaje się to zaprzeczeniem tego, do czego ma służyć szkoła, czyli otwierania umysłów na nowe idee i zdobywania wiedzy (a nie ostatnich modeli z kolekcji Juicy Couture).

7. Ludzie okropnie śmieją. Papierki po gumie do żucia rzucają dosłownie wszędzie. To chore.

6. Jeśli zdarzy ci się wspomnieć, że podoba ci się jakaś inna muzyka niż Limp Bizkit czy Eminem, to wszyscy patrzą na ciebie z góry i nazywają miłośniczką ska i skank.

5. Jedno słowo: WF.

A może to dwa słowa? Cóż, nieważne. Tak czy inaczej, to beznadzieja. Słyszałam, że w niektórych okręgach szkolnych wprowadzili różne fajne zajęcia, jak lekcje samoobrony i piesze rajdy, zamiast niekończących się meczów w zbijaka. Strasznie bym chciała chodzić do takiej szkoły.

4. Wszyscy chcą wiedzieć wszystko o cudzych sprawach. Plotka to prawie religia w Liceum imienia Adamsa. Na korytarzu słyszysz bez przerwy: „A potem ona powiedziała... a potem on powiedział... a wtedy ona...”. Mózg od tego paruje.

3. Chociaż wszyscy są tacy święci i nieskalani, wygląda na to, że im gorszą masz reputację, tym bardziej jesteś popularny. Jak ten chłopak z drużyny futbolowej, który upił się na imprezie i zrobił to z dziewczyną, która okazała się uczennicą klasy specjalnej. Tego roku został królem balu maturalnego. Naprawdę świetny przykład do naśladowania.

2. Główny korytarz pełen jest szafek na trofea sportowe, a tylko jedna szafka jest poświęcona uczniom, którzy zdobyli jakieś inne nagrody, i w dodatku znajduje się w

suterenie koło pracowni plastycznej, gdzie nie chodzi nikt poza ludźmi, którzy mają zajęcia plastyczne.

A oto najważniejszy powód, dla którego nienawidzę mojej szkoły:

1. Rodzice nie pozwolili mi zostać w domu następnego dnia po tym, jak oświadczyłam w MTV, że powiedziałam „tak” seksowi.

Theresa musiała nas odwieźć do szkoły, bo przed domem było tylu reporterów, że rodzice nie pozwolili nam jechać autobusem.

I w sumie dobrze, bo sądząc po pytaniach, jakie wykrzykiwali dziennikarze („Sam! Czy ty i David macie jakieś intymne wspomnienia z Sypialni Lincolna?”), ludzie w autobusie nie traktowaliby tej całej sytuacji wyrozumiale, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

Theresa, oczywiście, obwiniła siebie.

- Powinam była wiedzieć - powtarzała. - Tyle razy tu przychodził, a ty mi mówiłaś, że się uczycie. Uczycie się. Ha!

- Thereso - powiedziałam. - My naprawdę uczyliśmy się, gdy David do nas przychodził.

Ale ona mnie w ogóle nie słuchała. - I jaki przykład dajesz swojej małej siostrzyczce? - sarkana. - No, jaki?

- Na miłość boską - odezwała się Rebecca zdegustowanym tonem. - Mam IQ sto siedemdziesiąt. Wiem wszystko o seksie. A poza tym to nie jest tak, żebym nigdy nie widziała *Showtime After Dark*.

- *Santa Maria!* - wykrzyknęła Theresa.

- No co? - spytała Rebecca. - Puszczają to zaraz po *National Geographic Explorer*.

- Nie chcę więcej o tym słyszeć - powiedziała Theresa ponurym tonem, gdy parkowała pod szkołą. Zobaczyłam Kris Parks przy tablicy Zasłużonych Absolwentów Liceum imienia Adamsa. - Spotkamy się tu po waszych lekcjach. I żadnego urywania się z lekcji na seks!

- Na litość boską, Thereso! - oburzyłam się. - Nie jestem nimfomanką.

- Tylko się upewniam - odparła Theresa. I odjechała. Jeśli tylko nie pada, ludzie kręcą się przed szkołą przed pierwszym dzwonkiem i gadają o tym, co wczoraj widzieli w telewizji, albo o tym, co kto ma na sobie. Trzeba więc przepchać się przez tłum na schodach, żeby wejść do środka.

Ale nie dziś. Dzisiaj tłum rozstępował się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przepuszczając Lucy i mnie. Kiedy szłyśmy po schodach, rozmowy cichły i wszyscy tylko się gapili...

Na dziwadło i jej siostrę.

- To okropne - szepnęłam do Lucy, gdy weszłyśmy do szkoły.

- O czym ty mówisz? - spytała, rozglądając się po korytarzu. Zrozumiałam, że w ogóle

nie ma pojęcia, co się dzieje wokół nas. Po prostu szukała Harolda.

- O tym - odparłam - że wszyscy myślą, że David i ja zrobiliśmy to.

- I co z tego? Przecież i tak zamierzacie?

- Niekoniecznie - wycedziłam przez zęby. Lucy wreszcie na mnie spojrzała.

- Naprawdę? Myślałam, że się zdecydowałaś?

- Ja się na nic nie decydowałam - prawie krzyknęłam. - Mam wrażenie, że to inni zdecydowali za mnie.

- No cóż. - Lucy zobaczyła w tłumie kogoś, z kim koniecznie musiała porozmawiać. - Na razie. Powodzenia.

A potem rzuciła się... w stronę Harolda, który właśnie wychodził z pracowni komputerowej pochłonięty lekturą *Algorytmów autonomiczno - dynamicznego zarządzania pamięcią*.

Książka, którą Lucy zostawiła ostatnio w łazience, nosiła tytuł *Poszła na całość*. Naprawdę trudno było uwierzyć, że tych dwoje jest sobie przeznaczonych.

Westchnęłam, podeszłam do swojej szafki i zaczęłam walczyć z zamkiem szyfrowym, świadoma, że wszędzie dokoła codzienna kakofonia (słowo do egzaminu SAT oznaczające nawał nieharmonijnych dźwięków) cichła, bo ludzie zniżali głosy, żeby rozmawiać o mnie. Słyszałam tylko konspiracyjne szepty i czułam na sobie miliony spojrzeń, kiedy ustawiałam numer na moim zamku.

Dlaczego nie powiedziałam rodzicom, że jestem chora? Jak mogłam zapomnieć, że chociaż ogół Amerykanów lubi mnie za to, że uratowałam prezydenta i spotykam się z jego synem, to koledzy z Liceum imienia Adamsa nigdy za mną specjalnie nie przepadali...

A teraz mieli doskonały powód, żeby mnie nie cierpieć.

Ale czy mogłam ich winić? No bo przecież ośmieszyłam ich szkołę, oświadczając w MTV, że niczym się nie różnię od dzieciaków ze szkół państwowych, na które ciągle patrzą z góry.

Wcale się nie dziwię, że nikt się do mnie nie odzywał i wszyscy tylko szeptali na mój temat...

- Kiedy miałaś mi zamiar powiedzieć?

Aż podskoczyłam, przestraszona cichym głosem za plecami. Odwróciłam głowę i zobaczyłam łagodne brązowe oczy Catherine.

- Catherine. O mój Boże. Cześć.

- No? - Catherine uniosła brwi. - Zamierzałaś?

- Co zamierzałam?

- Powiedzieć mi - odparła. - O tobie i Davidzie. No wiesz. Poczułam, że się czerwienię.

- Nie ma nic do opowiadania - zapewniłam. - Naprawdę, Catherine. To, co zaszło wczoraj wieczorem... David i ja nigdy... to znaczy... to wszystko było tylko jednym wielkim nieporozumieniem...

Czy tylko mi się wydawało, czy Catherine posmutniała?

- Więc wy nie...? - spytała z rozczarowaniem.

- Nie - odparłam. - To znaczy... jeszcze nie... - przerwałam i wytrzeszczyłam na nią oczy. - A chciałabyś, żebym ci powiedziała? To znaczy, gdybym jednak...?

- Jasne, że bym chciała - odparła - Dlaczego miałabym nie chcieć?

- Bo... no wiesz. Bo ja mam chłopaka, a ty... już nie masz.

- Wcale się tym nie martwię - powiedziała Catherine z urażoną miną. - Powinnaś to wiedzieć. No, opowiedz te pikantne szczegóły. Daj mi się nacieszyć namiastką!

Niesłychane! Catherine ze mnie żartowała. Chyba nigdy w życiu nie cieszyłam się tak, że ktoś ze mnie żartuje.

- Chciałam ci powiedzieć, że David i ja... no wiesz, rozmawiamy o tym. Ale po prostu pomyślałam, że to by było... no, jakbym się przechwalała.

- Przechwalała? - Catherine wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Chyba żartujesz. Jesteś jak Amelia Earhart.

- Naprawdę?

- Tak. Przecierasz nowe ścieżki dla wszystkich jajogłowych dziewczyn na całym świecie. Musisz nam o tym opowiadać. Inaczej skąd będziemy wiedziały, co robić, kiedy przyjdzie nasza kolej? - Wzięła mnie pod ramię i dodała: - A teraz opowiedz wszystko od początku. Kiedy po raz pierwszy zorientowałaś się, że on tego chce? Jak zaczął o tym mówić? Widziałaś już jego, no sama wiesz? I czy był większy niż Terry'ego?

Roześmiałam się. I samą mnie to zaskoczyło. Od wczorajszego wieczoru byłam pewna, że nigdy już się nie roześmieję. Bo niby kto miałby mnie rozśmieszyć, skoro nikt się do mnie nie będzie odzywał?

- Opowiem ci wszystko na lunchu. Nie, żeby było tego wiele. To znaczy do opowiadania.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - zapewniłam. I zatrzasnęłam drzwiczki swojej szafki.

- To do zobaczenia na lunchu - powiedziała Catherine, bo właśnie zadzwonił dzwonek na pierwszą lekcję.

- Do zobaczenia - odparłam i dodałam w duchu: o ile dożyję.

Naprawdę nie byłam pewna, czy dożyję do lunchu. Przyzwyczaiałam się, że ludzie mnie wytykają palcami ze względu na moje ubrania i włosy. No bo jeśli się chodzi ubranym wyłącznie na czarno w tym morzu Izold i szkockiej kraty, nie można nie doczekać się komentarzy.

Ale to? To było coś innego. Ludzie nie nazywali mnie dziwadłem ani mnie nie pytali, o której będzie sabat. Oni mnie po prostu... ignorowali. Patrzyli przeze mnie na wskroś, jakby mnie tam w ogóle nie było.

A przecież wiedziałam, że mnie widzą, bo w tej samej chwili, w której wydawało im się, że już nie słyszę, słyszałam ich szepty. Albo, co gorsza, śmiech.

Przynajmniej nauczyciele próbowali zachowywać się zwyczajnie, jakby ten dzień niczym się nie różnił od innych dni w Liceum imienia Adamsa. Jakby byli zupełnie nieświadomi, że wczoraj wieczorem jedna z ich uczennic oświadczyła w telewizji, że powiedziała „tak” seksowi. Na niemieckim Frau Rider nawet mnie raz zapytała. Nie, żebym sama się zgłosiła. Na szczęście umiałam odpowiedzieć: *ist geblieben* na jej: *Blieben, bliebt, und denn, Sam.*

Ale w czasie lunchu zrobiło się paskudnie.

Stałam właśnie w kolejce z Catherine, ignorując wszystkich ludzi, którzy mijali mnie z głupawymi uśmiechami, kiedy pokazała się Kris Parks i jej przyjaciółki.

- Właściwa Droga - szepnęła Catherine, szarpiąc mnie za rękaw. - Idą w naszą stronę. Na czwartej.

Poczułam, jak sztywnieją mi plecy. Kris nie ośmieli się powiedzieć mi żadnej złośliwości. Dziewczynę taką jak Debra, praktycznie bezbronną, rozdarłaby na strzępy bez zastanowienia. Ale mnie? Nie ma mowy. Nie ośmieli się.

Ośmieliła się.

Oczywiście, jasne, że się ośmieliła.

- Dziiiiwka - zasyczała, kiedy ona i jej gorliwe zwolenniczki mnie mijaly.

Już dużo zniosłam tego dnia. Szepty, złośliwe uwagi, głosy, które nagle milkły, kiedy wchodziłam do łazienki dla dziewczyn.

Zniosłam naprawdę wiele. Bardzo wiele.

Ale to?

Tego znieść nie mogłam.

Wyszłam z kolejki i zastąpiłam Kris drogę.

- Jak mnie właśnie nazwałaś? - spytałam, trzymając głowę tak samo wysoko jak ona.

Nie ma mowy, żeby Kris powtórzyła mi coś takiego prosto w oczy. Była na to za dużym tchórzem. Raczej nie obawiała się, że ją uderzę. Nigdy nikogo nie uderzyłam - poza Lucy, kiedy byliśmy małe. No i tego faceta, który chciał zastrzelić prezydenta. Chociaż nie tyle go uderzyłam, co na niego wskoczyłam.

Tak, Kris nie mogła się obawiać, że ją uderzę.

Mogła się jednak spodziewać, że coś spróbuję jej zrobić.

Najwyraźniej nie przejmowała się tym na tyle, żeby nie zapleść rąk na piersi i nie pochylić się do mnie bokiem, mówiąc:

- Nazwałam cię dziwką. Bo nią jesteś.

Dziwne, ale w zazwyczaj hałaśliwej stołówce Liceum imienia Adamsa w tej chwili dałoby się słyszeć, jak na podłogę spada spinka do włosów. Takie już moje szczęście, że akurat w tym momencie wszyscy zamilkli. I przestali grzechotać widelcami. I jeść.

Nawet oddychać.

A to dlatego, że - jak powinnam była się spodziewać - wszyscy zauważyli Kris i jej minę, kiedy do mnie podchodziła. Wiedzieli, że dojdzie do jakiejś pyskówki, skupili się więc na mnie i Kris. Wszyscy wzięli głęboki oddech, gdy Kris nazwała mnie dziwką („Och, nie, niemożliwe!”), i czekali na moją odpowiedź.

Ale ja nie znalazłam żadnej. Byłam pewna, że Kris się wycofa. Nie przypuszczałam, że powie to jeszcze raz.

Czułam, jak gorąco zalewa mi szyję i policzki, i byłam pewna, że karmazyn (słowo do egzaminu SAT oznaczające jaskrawy czerwony kolor), który oblał mi twarz, jest widoczny również spod włosów na czaszce. Kris Parks nazwała mnie dziwką. Dwa razy. Prosto w oczy.

Musiałam coś powiedzieć. Nie mogłam tak stać przed nią. Nie mogłam tak stać przed wszystkimi.

Już brałam oddech, żeby powiedzieć - sama nie wiem, co - kiedy stojąca koło mnie Catherine odezwała się:

- Dla twojej informacji, Kris, to wszystko było nieporozumieniem. Sam nigdy...

Jeszcze kiedy to mówiła, ja już wiedziałam, że prawda nie ma żadnego znaczenia. Nie chodziło o to, czy uprawiałam seks, czy nie.

I musiałam uświadomić to Kris.

Przerywając Catherine w pół słowa, powiedziałam:

- A co ci daje prawo do obrzucania wyzwiskami innych, Kris?

Prawdopodobnie była to jedna z najcieńszych ripost w historii ludzkości, ale nieważne.

- A powiem ci, co mi daje to prawo - odpaliła Kris, dbając o silną emisję głosu (wyrażenie do egzaminu SAT oznaczające sposób wydawania dźwięków mowy), żeby słycać ją było w całej stołówce. - Występowałaś w ogólnokrajowej telewizji i nie dość, że zakpiłaś sobie z prezydenta i amerykańskiej rodziny, to jeszcze ośmieszylaś naszą szkołę. Może ciebie to zdziwi, ale tu są ludzie, którzy nie chcą być kojarzeni ze szkołą, do której chodzą takie osoby jak ty. Co myślą urzędnicy do spraw rekrutacji na uczelniach o kandydatach z Liceum imienia Adamsa? Jak sądzisz, z czym będzie im się teraz kojarzyć nasza szkoła? Z wysokimi wynikami w nauce? Z osiągnięciami w sporcie? Nie. Zobaczą nazwę Liceum imienia Adamsa i powiedzą: „Ach, to ta szkoła, do której chodziła ta skankowa Sam Madison”. Gdybyś miała choć odrobinę szacunku dla tej szkoły, zrezygnowałabyś z niej natychmiast i pozwoliła nam postarać się odzyskać resztki reputacji dla tego miejsca.

Gapiłam się na nią, mając nadzieję, że nie zauważy łez, które napłynęły mi do oczu. I które były, jak sobie powtarzałam, łzami gniewu.

- To prawda? - zapytałam. Ale nie było to pytanie skierowane do Kris. Odwróciłam się i spozjrzałam na gapiące się na mnie twarze. Wszystkie miały wyraz wystudiowanej obojętności.

Czy właśnie o tym mówiła wczoraj pierwsza dama? Czy tak się przejawia obojętność nastolatków?

- Naprawdę wszyscy tak uważacie? - zapytałam te obojętne twarze. - Że zrujnowałam reputację naszej szkoły? Czy może to tylko zdanie Kris Parks? - Obejrzałam się i spiorunowałam Kris wzrokiem. - Bo jeśli chcecie znać moje zdanie, to reputacja Liceum imienia Adamsa ani przez chwilę nie była zagrożona. Jasne, wszyscy myślą, że to taka świetna szkoła. No bo przecież przoduje w rankingach szkół, prawda? Ale w tym właśnie problem. Liceum imienia Adamsa nie jest świetną szkołą. Może jest, jeśli chodzi o poziom zajęć. Ale pełno tu ludzi, którzy kpią z ciebie, gdy nosisz cokolwiek, co nie ma metki J.Crew albo Abercrombie. Ludzi, którzy nie wahają się nazwać cię dziwką, niezależnie od tego, czy nią jesteś, czy nie.

Mówiłam coraz głośniej, właściwie krzyczałam. Ale było mi wszystko jedno.

- Czy naprawdę wszyscy uważacie, że powinnam zrezygnować ze szkoły? Czy naprawdę wszyscy zgadzacie się z Kris?

Nikt się nie poruszył. Nikt nic nie powiedział. Nikt poza Kris. Uniosła głowę jeszcze wyżej i rozejrzawszy się po morzu twarzy, powiedziała:

- No i co? Widać było, że Kris dobrze się bawi. Zawsze lubiła być w centrum

zainteresowania, ale brakowało jej talentu, żeby dostać jakieś role w szkolnych sztukach czy musicalach.

Nazwać kogoś dziwką przy całej szkole to dla niej jedyny sposób zyskania uwagi, jakiej łaknęła. To i łaskawe panowanie z wyżyn funkcji przewodniczącej klasy.

Kiedy nikt nie odpowiedział, Kris znów spojrzała na mnie.

- No cóż - powiedziała - maszy wyraziły swoje zdanie. Czy raczej powstrzymały się od mówienia. Po co tu jeszcze stoisz? Wynoś się. Nie chcemy tu dziwek.

- Ty też lepiej znajdź sobie inną szkołę, Kris. Nie ja to powiedziałam. A żałuję, bo powinnam była to powiedzieć.

Ale powiedział to ktoś inny. Nie ja ani nie Catherine, która nadal stała w kolejce po lunch, a jej ciemne oczy były tak samo szeroko otwarte i pełne przerażenia jak moje.

Osobą, która powiedziała, że Kris też powinna poszukać sobie innej szkoły, była moja siostra Lucy. Wstała od stolika, przy którym siedziała z przyjaciółmi, i podeszła do Kris z uśmiechem na swojej ślicznej twarzy.

Nie miałam pojęcia, dlaczego Lucy się uśmiecha, biorąc pod uwagę okoliczności.

Kris najwyraźniej też nie miała pojęcia.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Lucy - powiedziała przyjaznym tonem. - Ta sprawa ciebie nie dotyczy. Ciebie wszyscy lubią, Lucy. To dotyczy twojej siostry.

- Właśnie w tym problem, Kris - odparła Lucy. - Cokolwiek dotyczy mojej siostry, dotyczy mnie.

Mówiąc to, podeszła do mnie i objęła mnie za szyję. Pewnie chciała, żeby to wyglądało opiekuńczo, ale trochę mnie przydusiła, bo złapała za mocno.

- Poza tym - dodała Lucy - ty kłamiesz, Kris.

Kris obejrzała się przez ramię na swoje poplecniczki, które miały takie miny, jakby chciały powiedzieć: „My też nie wiemy, o czym ona mówi”.

- No cóż - powiedziała Kris - chyba wszyscy widzieliśmy, jak wczoraj wieczorem twoja siostra poinformowała cały świat, że właśnie powiedziała „tak” seksowi.

- Nie o to chodziło - odparła Lucy. - Chodziło mi o to, że... Czy to nie ciebie widziałam wczoraj wieczorem na szkolnym parkingu na tylnym siedzeniu limuzyny Randoma Alvareza?

Kris zeszywniała.

- Ja... - Obejrzała się nerwowo na swoje poplecniczki. Ale one mrugały oczami i miały takie miny, jakby chciały powiedzieć: „Zaraz... co ona powiedziała? No, to jest dopiero ciekawe!”

Kris obróciła się z powrotem w stronę Lucy.

- Nie... to znaczy tak... Byłam w jego limuzynie, ale nie robiliśmy niczego. On chciał mi tylko pokazać demo, jakie zmontował. Chciał, żebym obejrzała to demo...

- I domyślałam się - weszła jej w słowo Lucy - że po prostu powiedziałaś „tak”.

- Tak - przyznała Kris, a potem zaczęła kręcić głową, bo uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała. - To znaczy nie. To znaczy...

I nagle zarumieniła się po same korzonki włosów.

- Nie o to mi chodzi - tłumaczyła gorączkowo. - To było zupełnie niewinne. - Obejrzała się na koleżanki z Właściwej Drogi. - Random i ja tylko rozmawialiśmy. On mnie naprawdę polubił. Pewnie mnie zabierze na rozdanie Video Awards... Do Nowego Jorku...

Ale nikt jej nie wierzył. Nawet jej koleżanki z Właściwej Drogi. Bo wszyscy widzieli, jak flirtowała z Randomem.

- Problem w tym, Kris - powiedziała Lucy, nadal dusząc mnie opiekuńczo - że musisz uważać, kogo nazywasz dzidką. Bo jest nas tu o wiele więcej - spojrzała na bandę Kris - niż was.

- A - ale... ja nie miałam ciebie na myśli - jękała się Kris.

- Ja bym nigdy... nikt by nigdy ciebie nie nazwał dziwką.

- Wyjašnjmy coś sobie - powiedziała Lucy. - Jeśli zamierzasz nazywać dziwką moją siostrę, to i mnie masz tak nazywać. Bo jeśli Sam jest dziwką, Kris... to... ja... też... jestem.

Rozległo się zbiorowe westchnienie, jakby wszyscy w stołówce złapali powietrze w tym samym momencie.

Moje oczy znów napęłniły się łzami. Lucy kładła na szali własną reputację. Dla mnie.

To była najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek dla mnie zrobiła. To była najwspanialsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił.

I wtedy ktoś wstał gwałtownie, przewracając krzesło.

- Ja też! - zadudnił męski głos.

Ku mojemu totalnemu osłupieniu podszedł do nas Harold Minsky, przęcając pierś pod swoją hawajską koszulą.

Spojrzenie Lucy zmiękło w wyrazie całkowitego oddania - zabarwionego zdumieniem - kiedy podniosła oczy na swojego korepetytora.

- Jeżeli one są dziwkami - oznajmił Harold, wskazując palcem Lucy i mnie - to ja też jestem dziwką.

- Och, Haroldzie - powiedziała Lucy, patrząc na niego z zachwytem.

Twarz Harolda zrobiła się czerwona jak kwiaty na jego koszuli, ale nie cofnął się.

- Solidarność dziwek - powiedział i pokiwał do nas głową. Wtedy z kolejki po lunch wyszła Catherine. Stała za Lucy, Haroldem i za mną i powiedziała najdonośniejszym tonem, jaki kiedykolwiek u niej słyszałam:

- Ja też.

A potem dodała tak głośno, żeby wszyscy w stołówce słyszeli:

- Jeśli Sam i Lucy Madison to dziwki, to ja też jestem dziwką.

Ludzie zaszumieli na te słowa. Catherine dziwką? Rodzice nie pozwalali jej nawet chodzić do szkoły w spodniach.

Kris zrozumiała, że wpadła w tarapaty. Widziałam, jak zerka nerwowo to na naszą grupkę, to na resztę ludzi w stołówce.

- Słuchajcie - zaczęła - ja... Ale jej głos zagłuszyło szuranie krzeseł po podłodze.

Nagle wszyscy uczniowie Liceum imienia Adamsa wstali i...

I zaczęli oświadczać, że są dziwkami.

- Ja też jestem dziwką! - wołała mistrzyni szachów Mackenzie Craig, która nigdy w życiu nie była na randce.

- Jestem dziwką! - krzyknął Tom Edelbaum, który zagrał główną rolę w zaadaptowanej przez Klub Dramatyczny wersji *Godspell*.

- Ja jestem największą dziwką ze wszystkich! - oświadczył Jeff Rothberg, chłopak Debry Mullins, i zwinął dłonie w pięści, gotowy rzucić się na każdego, kto będzie chciał mu odebrać ten zaszczytny status.

- Wszyscy jesteśmy dziwkami! - zaanonsowała radośnie cała szkolna drużyna lekkiej atletyki.

Wkrótce wszyscy ludzie w stołówce - z wyjątkiem Kris i jej koleżanek z Właściwej Drogi - stali i wołali:

- Jestem dziwką!

To było wspaniałe przeżycie.

Kiedy dyrektor Jamieson wszedł do stołówki, wszyscy skandowali rytmicznie:

- Jestem dziwką! Jestem dziwką! Jestem dziwką! Jestem dziwką!

Trzeba było interwencji trenera piłki nożnej, żeby nas uciszyć. Jamieson kazał mu użyć gwizdka - tego, z którego trener usunął kulkę - i zagwizdać długo i ostro, bo nikt nie zareagował na okrzyki dyrektora:

- Proszę się uspokoić! Moi drodzy, proszę się uspokoić! Nie mogliśmy dalej skandować, kiedy rozległ się ryk gwizdka trenera Longa. Był tak głośny, że musieliśmy złąpać się rękoma za uszy.

- Co się tutaj dzieje? - spytał dyrektor Jamieson, kiedy skandowanie ucichło i wszyscy wrócili do swoich talerzy, zupełnie jakby nic się nie stało.

- Ona nazwała moją siostrę dziwką - powiedziała Lucy, wskazując Kris.

- Nie - tłumaczyła się Kris. - A właściwie tak, ale... ona na to zasłużyła! Po tym, co zrobiła wczoraj wieczorem...

- Mnie nazywa dziwką, ile razy na mnie wpadnie - odezwała się Debra Mullins z kąta stołówki. - A ja nic wczoraj wieczorem nie zrobiłam.

- Czy wygłaszanie obraźliwych uwag dotyczących czyjejś orientacji seksualnej i lub rzekomych zachowań seksualnych nie jest łamaniem statutu Liceum imienia Johna Adamsa? - zapytał Harold Minsky.

Dyrektor Jamieson popatrzył na Kris i jej grupkę.

- Owszem - rzekł surowo. - Jest.

- Panie dyrektorze - powiedziała Kris słabym głosem. - To wszystko jest jakimś wielkim nieporozumieniem. Ja mogę wytłumaczyć...

- Chętnie posłucham twojego tłumaczenia - oznajmił dyrektor. - W moim gabinecie. Natychmiast.

Kris, wyraźnie rozgoryczona (słowo do egzaminu SAT oznaczające żal do kogoś i przykrość), wyszła za dyrektorem Jamiesonem ze stołówki.

Jej zwolenniczki zostały i wyglądały tak, jakby wolały się nie przyznawać do tej znajomości.

To tyle, jeśli chodzi o zdolności przywódcze, które Kris będzie opisywała w swoim podaniu na studia.

Patrzyłam, jak wychodzi, i chciało mi się płakać. Nie dlatego, że Kris Parks była taka podła i chciała mnie upokorzyć przed całą szkołą, ani dlatego, że nie zdołałam poradzić sobie sama, bez niczyjej pomocy.

Nie, zbierało mi się na płacz, bo zdałam sobie sprawę, jaką jestem szczęściarą. No bo mam taką siostrę jak Lucy i taką przyjaciółkę jak Catherine... Nie wspominając już o tylu ludziach, którzy okazali się moimi przyjaciółmi, chociaż wcale o tym nie wiedziałam, jak Harold Minsky. Stałam obok nich z oczami pełnymi łez i mówiłam:

- To było... takie miłe z waszej strony... że powiedzieliście, że jesteście dziwkami... tylko dla mnie.

- Drobiazg. - Catherine poklepała mnie po ręce. - Dla ciebie w każdej chwili mogę się nazwać dziwką, Sam. Wiesz o tym.

Lucy i Harold nie zwracali uwagi na moje podziękowania. Lucy ujęła Harolda pod

ramię i powiedziała:

- Dziękuję ci, że dla mnie nazwałeś się dziwką. Harold, czerwony bardziej niż kwiaty na jego koszuli, odparł:

- No cóż... Nie mogę po prostu beczynnie stać, gdy dochodzi do przypadków społecznej niesprawiedliwości. Nie miałem pojęcia, że jesteś taką rebeliantką (słowo do egzaminu SAT oznaczające stawianie oporu władzom, sprzeciwianie się legalnemu rządowi). Sądziłem, że jesteś raczej... no wiesz, raczej konformistyczna. Chyba cię nie doceniałem.

- Och, jestem totalną rebeliantką - zapewniła Lucy, ściskając go za ramię. - Nigdy nie robi mi się słabo na widok krwi.

No cóż. Niezupełnie w środek, tarczy, ale blisko.

- Słuchaj, Haroldzie - ciągnęła. - Wiem, że w zeszły weekend byłeś zajęty, ale może chciałbyś pójść ze mną do kina w ten nadchodzący?

- Lucy - rzekł Harold głosem wyższym niż zwykle (albo dlatego, że był zażenowany, albo dlatego, że Lucy jakoś tak ocierała się biustem o jego ramię) - naprawdę nie sędzę... To znaczy uważam, że, hm, powinniśmy ograniczyć naszą znajomość do spraw czysto szkolnych.

Lucy puściła jego ramię, jakby nagle ją oparzyło.

- Och - szepnęła takim głosem, jakby teraz to ona miała ochotę się rozplakać. - Rozumiem. Okay.

- Bo widzisz - tłumaczył Harold, który chyba czuł się niezręcznie - twoi rodzice zatrudnili mnie jako twojego korepetytora. To by było niewłaściwe, gdybyśmy zaczęli się widywać towarzysko.

Lucy wyglądała na zdruzgotaną. Dopóki Harold nie dodał:

- A przynajmniej dopóki nie powtórzysz tych testów. Spojrzała na niego, jakby nie śmiała uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

- To znaczy... To znaczy, że jak już zdam na nowo SAT, będziesz chciał się ze mną spotykać?

- Jeśli będziesz miała ochotę - powiedział Harold takim tonem, jakby w żaden sposób nie mógł sobie tego wyobrazić. Tego, że Lucy chciałaby się z nim spotykać.

Co dowodziło, że jeszcze nie zna mojej siostry.

Ale sądząc z tego, jak załśniły jej oczy, kiedy znów wzięła go pod ramię, będzie miał okazję bardzo dobrze ją poznać.

- Haroldzie - powiedziała Lucy niemal uroczyście - mogę ci obiecać dwie rzeczy.

Spojrzał na nią jak człowiek, który ma wrażenie, że śni. A potem jego twarz

rozpromieniła się jak wschód słońca nad rzeką Potomac (nie, żebym go kiedykolwiek widziała, bo kto przy zdrowych zmysłach wstaje tak wcześnie?) i powiedział:

- Po pierwsze, zawsze będę wyglądać tak świetnie. Lucy odwzajemniła uśmiech i dodała:

- A po drugie, nigdy cię nie opuszczę. Nigdy. Zaraz. To brzmiało dziwnie znajomo... *Hellboy*. Mówili do siebie tekstami z *Hellboya*.

Zrozumiałam, że ten związek zapowiada się na bardzo, bardzo długi.

- To było świetne - odezwała się Debra. - Naprawdę. A potem podeszła do Jeffa Rothberga, usiadła mu na kolanach i wsadziła mu język do ust.

Pomyślałam, że Liceum imienia Adamsa wraca do normalnego życia.

Tyle że teraz lepszego niż kiedyś.

- Naprawdę widziałas Kris Parks w limuzynie Randoma Alvareza? - zapytałam Lucy, kiedy zadzwonił dzwonek i wracałyśmy na lekcje. - Czy tylko zgadywałaś?

Była wciąż półprzytomna ze szczęścia i trudno było ją zmusić, żeby się skupiła. Dopiero kiedy parę razy szturchnęłam ją w ramię, doszła do siebie.

- Au. Oczywiście, że naprawdę ją widziałam w limuzynie. Sądziś, że kłamałabym w takiej sprawie?

- Szczerze? - spytałam. - Tak, sądzę, że byś skłamała. Bo limuzyna Randoma ma przyciemniane szyby. Nie mogłaś widzieć, czy ktoś w niej siedział.

- Wiesz co, Sam? - powiedziała Lucy i najdelikatniejszy z uśmiechów zadrgał na jej wargach. - Lepiej skocz do łazienki i zrób coś z włosami. Znów ci sterczą z tyłu i wyglądają naprawdę głupio. Do zobaczenia po lekcjach.

Ruszyła korytarzem do swojej klasy, a jej minispódniczka w szkocką kratę falowała w rytm kroków.

Zrozumiałam, że pewnie nigdy nie dowiem się prawdy.

Ale zrozumiałam też, że to nie miało żadnego znaczenia.

Dziesięć głównych informacji o Camp David, których prawdopodobnie nie znacie:

10. Camp David, leżący około stu kilometrów od Białego Domu, w górach Catactin w stanie Maryland, od 1942 roku jest miejscem, gdzie prezydent może odpoczywać i relaksować się z dala od przytłaczającego upału i wilgoci Waszyngtonu.

9. Franklin Delano Roosevelt nazwał to miejsce Camp Shangri - La - od górskiego klasztoru z książki Jamesa Hiltona *Zaginiony horyzont*.

8. Nazwę Camp David nadał mu w 1953 roku prezydent Eisenhower na cześć swojego wnuka Davida.

7. Ośrodek jest obsługiwany przez personel marynarki wojennej, a stałą ochronę zapewniają oddziały z waszyngtońskiego garnizonu marines.

6. Goście przebywający w Camp David mogą korzystać z basenu, pola golfowego, strzelnicy, kortów tenisowych, terenów jeździeckich i siłowni.

5. Na Camp David składa się wiele małych domków rozmieszczonych wokół głównego domu. Domki nazywają się: Dereń, Klon, Jemioła, Brzoza i Róża. Domek prezydenta nazywa się Aspen Lodge.

4. Camp David stał się świadkiem wielu historycznych międzynarodowych spotkań. To tutaj w czasie II wojny światowej prezydent Franklin D. Roosevelt i brytyjski premier Winston Churchill zaplanowali desant aliantów w Europie.

3. W prezydenckim ośrodku wypoczynkowym odbyły się także spotkania Eisenhowera z Chruszczowem, rozmowy na temat Zatoki Świń, sesje dotyczące strategii wojny w Wietnamie i inne ważne spotkania z udziałem zagranicznych dygnitarzy i gości.

2. Prezydent Jimmy Carter wybrał go na miejsce spotkania z przywódcami Bliskiego Wschodu, które doprowadziło do słynnej ugody między Izraelem a Egiptem.

A oto najważniejsza informacja o Camp David, której prawdopodobnie nie znacie, że:

1. Miał się stać miejscem, w którym ja, Samantha Madison, po raz pierwszy będę uprawiała seks.

Być może.

Chcesz jeszcze trochę słodkich ziemniaków, Sam? - zapytała pierwsza dama. - Nie, dziękuję - odparłam.

Jako osoba bardzo wybredna zawsze mam problem, kiedy jem w cudzym domu. Niewiele rzeczy w ogóle lubię, a Święto Dziękczynienia jest najgorsze, bo nie znoszę praktycznie żadnej potrawy, jaką kiedykolwiek jedli pielgrzymi. Nie cierpię sosu do indyka. Człowiek nie zna nawet połowy jego składników, a tych kilka, które może zidentyfikować, jak rodzynki, to istne paskudztwo.

Nie jadam niczego czerwonego, pomijając keczup i sos do pizzy, co automatycznie wyklucza wszystkie potrawy z pomidorami. To samo dotyczy żurawin. I - fuj! - buraczków.

Brzydą mnie wszystkie warzywa. Nie biorę do ust zielonego groszku, pieczonej marchewki, fasolki szparagowej ani - ohyda! - brukselki.

Nie jestem też specjalną fanką indyka, bo lubię tylko ciemne mięso. A że wszyscy uważają je za najgorsze, wiecznie podtykają mi kawałki piersi, czyli białe mięso, którego nie cierpię, bo nawet przyrządzone przez szefa kuchni Białego Domu jest jakieś takie... obrzydliwe.

W mojej rodzinie wszyscy się przyzwyczaili, że w Święto Dziękczynienia zamiast obiadu jem kanapkę z masłem orzechowym, którą babcia zawsze dla mnie przygotowuje, odcinając skórkę od chleba.

Rodzice kiedyś narzekali, że nawet nie chcę spróbować tego, co z takim trudem przyrządzali, ale w końcu dali mi spokój. No bo przecież z głodu nie umrę.

To jednak było moje pierwsze Święto Dziękczynienia z Davidem i jego rodziną. Nie zdążyłam ich jeszcze wytrenować.

Musiałam więc po prostu siedzieć tam i udawać, że jem wszystko, co mi nakładali na talerz, choć w sumie tylko przekładałam jego zawartość w artystycznie ułożone kupki (nauczkę za próby chowania jedzenia w serwetce na kolanach już kiedyś dostałam). Miałam nadzieję, że po powrocie do swojego pokoju najem się kanapką z masłem orzechowym, która, owinięta w folię, czekała w mojej torbie podróżnej. Tuż obok pianki plemnikobójczej i prezerwatyw, które dała mi Lucy.

I o których próbowałam nie myśleć.

David najwyraźniej robił to samo (usiłował nie myśleć o seksie), bo jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiliśmy po przyjeździe do Camp David - po podróży na pokładzie

Marine One, prezydenckiego helikoptera - było wyjęcie gier planszowych, ponieważ pogoda zrobiła się fatalna: padał deszcz.

A właściwie nie padał, tylko lał, i to tak mocno, że zanim David po mnie przyjechał, zastanawiałam się, czy Marine One w ogóle będzie mógł wystartować.

W dodatku obudziłam się z wielkim pryszczem na brodzie (to z nerwów). Wprawdzie nie było go widać, ale ja go czułam.

Obie te rzeczy - ulewę i pryszcz - uznałam za zapowiedź niezbyt udanego pobytu w Camp David. I chyba miałam rację. Przynajmniej sądząc z tego, jak do tej pory mijał mi dzień.

Kiedyś - zanim zmądrzałam - myślałam, że przywódca naszego narodu pławi się w luksusie. Na przykład wydawało mi się, że Biały Dom to taki wielki pałac, gdzie wszędzie leżą zwierzęce skóry.

Teraz wiem, że chociaż Biały Dom jest całkiem przyjemny, to wcale nie jest wielki i tak luksusowy jak, powiedzmy, dom Jacka Slatera przy Chevy Chase. Jest wprawdzie przyjemniejszy niż przeciętny amerykański dom - mają tam basen, kręgielnię i tak dalej - ale te najfajniejsze rzeczy są bardzo stare i nie wolno ich dotykać. Wszystko inne to takie rzeczy, które znajdziesz w każdym domu jak mój czy Catherine. Przeciętne.

A w Camp David jest jeszcze skromniej. Przyznaję, że samo miejsce, z tymi wszystkimi domkami rozsianymi po całym terenie, wygląda bardzo malowniczo. Jest tam też basen i siłownia.

Ale naprawdę nie ma żadnych wyjątkowych luksusów.

Pewnie dlatego, że nasi ojcowie założyciele odrzucali koncepcję podziału społeczeństwa na uprzywilejowaną klasę posiadającą i służebną wobec niej resztę narodu. Poza tym prezydent nie zarabia aż tak dużo. Przynajmniej w porównaniu z moimi rodzicami.

I to mimo iż rodzina Davida ma dochody z firm, które jego ojciec prowadził, zanim został gubernatorem, a potem prezydentem.

W każdym razie Camp David to żaden królewski pałac. Bardziej przypomina... no właśnie, obóz.

Trochę dziwne miejsce na utratę dziewictwa, prawda?

Albo na nieutrącenie dziewictwa, bo i tak może się zdarzyć. Dużo się nad tym zastanawiałam przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny i uznałam, że nie jestem gotowa.

To znaczy gotowa na seks.

Tak, wiem, że ćwiczyłam.

I wiem, że powiedziałam, że jestem gotowa, w ogólnokrajowej (no dobrze, kablowej)

telewizji. Wszyscy w całym kraju - włącznie z moją babcią - uważają, że jestem seksualnie aktywna.

Wiem też, że najgorsze już się stało - to znaczy doszło do publicznego nazwania mnie dziwką przez Kris Parks.

Ale przecież nie zrobię tego tylko dlatego, że wszyscy myślą, że już to zrobiłam. Seks wiąże się z ogromną odpowiedzialnością. To koniec niewinności, nie wspominając o możliwości zakażenia chorobami przenoszonymi drogą płciową i niechcianej ciąży. Komu potrzebne takie zmartwienia?

Zwłaszcza że - spójrzmy prawdzie w oczy - sama szkoła jest już wystarczającym nieszczęściem.

Podjęłam więc decyzję.

Teraz musiałam tylko jakoś o niej powiedzieć Davidowi.

I to była kolejna przyczyna mojego braku apetytu podczas obiadu. No bo David myślał, że dziś wieczorem wreszcie „zaliczy”. Na pewno tak myślał. Widziałam to w jego oczach, kiedy przed obiadem wyjął planszę do parcheesi (tak! prawdziwą planszę do parcheesi).

Wkrótce jego marzenia nastolatka legną w gruzach.

I znienawidzi mnie na zawsze.

Nic dziwnego, że nie mogłam jeść.

Naprawdę mi ulżyło, kiedy pierwsza dama pozwoliła nam odejść od stołu i poszliśmy do salonu pooglądać Adama Sandlera (prezydent dostaje do obejrzenia premierowe filmy, zanim znajdą się w kinach). Przez jakiś czas nie myślałam o tym, co musiało się zdarzyć, gdy wszyscy inni położą się spać. A potem film się skończył i David odprowadził mnie do mojego pokoju, który znajdował się w głównej części domu, nie w jednym z tych mniejszych domków. Powiedział tylko: „Dobranoc, Sam”, ale jego ton zdradzał prawdziwe intencje: „Mówię to, żeby rodzice słyszeli”.

Bo spodziewał się, że żadne z nas tak naprawdę nie pójdzie spać.

A przynajmniej nieprędka.

Wpadłam w totalną panikę, kiedy zamknęłam za sobą drzwi do swojego pokoju, który - nawiasem mówiąc - stanowi świetny przykład na to, jak daleki od zbytku jest prezydencki ośrodek wypoczynkowy. Białe ściany, drewniana podłoga i granatowa narzuta na dużym łóżku. Na jednej ścianie półki pełne - wcale was nie nabieram - książek o ptakach i ornitologii, obok wejście do łazienki, a naprzeciwko drzwi okno z widokiem na jezioro. Naprawdę nic nadzwyczajnego.

A jednak ten pokój miał się stać miejscem, gdzie zdaniem Davida mieliśmy to zrobić. Gdy wszyscy inni pójdą spać, a on tu wróci.

Pomyślałam o tym i nagle...

Zrobiło mi się niedobrze.

Wcale nie z powodu mlecznych pianek do słodkich ziemniaków.

Kanapka z masłem orzechowym trochę mi pomogła.

Nadal jednak nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam zacząć się szykować do spania, bo nie miałam pojęcia, jak zareaguje David, widząc mnie w piżamie. Jeszcze się podnieci czy coś i będzie mu jeszcze trudniej, kiedy mu odmówię. Nie, żeby moja piżama była specjalnie seksowna. To zwykła flanelowa piżama drukowana w walizki z napisami *Bon Voyage* (babcia kupiła mi ją w zeszłym roku, kiedy wybierałam się w podróż jako nastoletnia ambasadorka przy ONZ).

Zostałam więc w ubraniu, usiadłam na łóżku i czekałam. David przyjdzie, gdy tylko się upewni, że jego rodzice smacznie śpią. Było już po północy, a prezydent zawsze wstaje bardzo wcześnie, więc David pojawi się lada chwila.

Byłam na to gotowa. Zaplanowałam sobie nawet, co mu powiem. „Davidzie, wiesz, że cię kocham. I wiesz, że powiedziałam w ogólnokrajowej telewizji, że jestem gotowa na seks.

Problem w tym, że wcale nie jestem gotowa. Wierzę, że kochasz mnie dość mocno, aby to zrozumieć i na mnie poczekać. Bo prawdziwa miłość to zgoda na czekanie”.

Ostatnie zdanie wzięłam z plakietek rozdawanych przez Właściwą Drogę podczas lunchu parę tygodni temu. To były plakietki w kształcie serca z napisem: *Miłość to zgoda na czekanie*.

Wtedy tylko się obśmiałam, gdy Catherine głośno odczytała napis, ale teraz wydał mi się całkiem sensowny.

Szkoda, że przypięłam tamtą plakietkę do figurki Sally z *Miasteczka Halloween*. Teraz by mi się przydała. Mogłabym ją dać Davidowi jako symbol mojej obietnicy, że kiedyś będę z nim uprawiała seks. Kiedyś, ale nie dzisiaj.

Wyobraziłam sobie, że dam mu plakietkę i mówię przy tym coś naprawdę ważnego. Na przykład: „Hej, ty tam po drugiej stronie. Puść ją. Bo jeśli nie, przejdę tam, a kiedy to zrobię, pożałujesz”.

Taka okazja aż domagała się cytatu z *Hellboya*.

W każdym razie byłam gotowa. Wyszorowałam zęby i przyjrzałam się pryszczowi. Nadal nie było go widać, nawet bez makijażu, ale wciąż czułam tę dokuczliwą obrzmiałość. Nie maluję się za bardzo - używam tylko tuszu i pudru, a czasem odrobiny błyszczyka - ale

uznałam, że do sceny Łagodnego Odrzucenia powinnam być umalowana, żeby przynajmniej rzęsy mieć tego samego koloru co włosy. Po prostu stwierdziłam, no wiecie, że powinnam wyglądać jak najlepiej w czasie Ważnej Rozmowy o Seksie, chociaż David widywał mnie już wyglądającą nie najlepiej więcej razy, niż mogę zliczyć.

Tak. Byłam gotowa. Byłam gotowa i czekałam. Brakowało tylko jednego. Davida.

No właśnie... gdzie on się podziewał? Minęła ponad godzina, odkąd rozeszliśmy się do swoich pokoi. Dochodziło już wpół do pierwszej.

Nagle zaczęło mi się robić niedobrze z zupełnie innego powodu. Czy David zmienił zdanie? Czy ja zrobiłam coś takiego, że jemu się odechciało seksu ze mną? Może to ten pryszcz? Czy David go zauważył?

Jeśli nawet wydawało mi się wysoce nieprawdopodobne, żeby facet zmienił zdanie w kwestii uprawiania seksu ze swoją dziewczyną z powodu jakiegoś pryszcza.

Zaraz, momencik. Ja przecież nie chciałam uprawiać z nim seksu. Więc co mnie to obchodzi?

A może chodziło o to, co powiedziałam w MTV? Czy to, że oświadczyłam, że mówię „tak” seksowi, zabiło jego spontaniczność, czy coś? W „Cosmo” ciągle piszą, że seks powinien być spontaniczny. Czy ja w jakiś sposób to zepsułam?

A jeśli nawet zepsułam, to co z tego? Przecież i tak nie chcę tego robić.

Zresztą to nie wydawało się zbyt prawdopodobne. Dla chłopaków seks to nie taka sama wielka rzecz jak dla dziewczyn. Jasne, wszyscy chłopcy chcą uprawiać seks, ale nie martwią się tym tak obsesyjnie jak my. Oni to po prostu robią.

Przynajmniej tak to wygląda w filmach, na przykład w *American Pie*.

No więc gdzie on się podziewał? To czekanie mnie dobijało. Chciałam mu po prostu powiedzieć, że tego nie zrobimy, i mieć to z głowy.

Minęło kolejne pięć minut. David się nie pojawił.

Może coś mu się stało? Może poślizgnął się pod prysznicem i uderzył w głowę, i teraz leży tam nieprzytomny, a płuca zalewa mu woda?

A może po prostu zmienił zdanie?!

Zanim w ogóle zorientowałam się, co robię, zerwałam się na równe nogi i wybiegłam na korytarz. Jak on śmiał? Jak śmiał zmienić zdanie po tym, co dla niego przeszłam przez cały ostatni tydzień? Przecież to nie on miał zdecydować, że mimo wszystko nie będziemy uprawiali seksu. To ja podjęłam taką decyzję. Na długo przed nim.

Przeszłam ciemnym, pustym korytarzem, myśląc o wszystkich tych rzeczach, które

mu powiem. Albo nie powiem. Teraz na pewno nie usłyszysz ode mnie żadnych cytatów z *Hellboya*. Miał swoją szansę na cytaty z *Hellboya* i ją zmarnował. Nie usłyszysz, że miłość to zgoda na czekanie. Nie zasługuje na to.

W szczelinie pod drzwiami pokoju Davida zobaczyłam światło. Więc on jeszcze nie śpi. Nie śpi i tylko mu się nie chciało ruszyć tyłka, żeby przejść kawałek korytarzem i powiedzieć mi, że mimo wszystko nie będziemy uprawiali seksu. Nawet nie raczyłeś mnie zawiadomić! Kto wie, ile czasu bym tak siedziała, czekając, aż powiem „nie” seksowi, zanim zdałabym sobie sprawę, że on nawet nie ma zamiaru do mnie przyjść?

Otworzyłam drzwi na oścież, nie pukając, i stanęłam w nich, piorunując go wzrokiem.

David podniósł oczy znad książki, którą właśnie czytał.

Książki o architekturze.

On sobie czytał, a ja czekałam całymi godzinami, aż wreszcie przyjdzie i mnie zdefloruje.

David wydawał się mocno zaskoczony moim widokiem.

- Sam! - Zamknął książkę, ale założył ją palcem, żeby wiedzieć, gdzie przerwał czytanie. - Wszystko w porządku? Mam nadzieję, że nie jesteś chora.

Myślałam, że trafi mnie szlag.

- Chora? - powtórzyłam. - Tak, jestem, chora. Chora od czekania na ciebie.

David wyjął palec z książki, odłożył ją i zrobił zatroskaną minę.

Wyglądał przy tym niesamowicie seksownie. Głównie dlatego, że nie miał na sobie koszuli. Ale także dlatego, że on zawsze wygląda seksownie.

- Czekałaś na mnie? - zapytał. - Ale po co? W głowie mi się to nie mieściło. W głowie mi się nie mieściło, że on mnie o to pyta. Seksowny czy nie, co to ma być za pytanie?

- Żeby uprawiać seks - o mały włos nie wrzasnęłam. Ale nie chciałam budzić jego rodziców. Nie mówiąc już o agentach Służb Specjalnych.

Więc tylko to wyszeptałam.

Głośno.

Ale chociaż to wyszeptałam, zamiast wywrzeszczyć, David miał zaszokowaną minę. Jego twarz zaczęła się oblewać czerwienią w odcieniu moich dawnych włosów.

- Seks? - powtórzył zduszonym głosem.

- Wiesz, o czym mówię - stwierdziłam. Co się z nim działo? - To ty poruszyłeś ten temat.

- Ja? - Głos mu się jakoś tak załamał na tym „ja”. - Kiedy?

- Przed moim domem - rzuciłam niecierpliwie. Czy on zwariował? Może on totalnie

się poślizgnął i walnął w głowę pod prysznicem. - Nie pamiętasz? Zaprosiłeś mnie do Camp David, żeby pograć w parcheesi.

- Tak - powiedział David z bardzo głupią miną. Ale nadal wyglądał seksownie. - I już zagraliśmy.

Już zagraliśmy. O mój Boże. W głowie mi się nie mieściło, że on to powiedział.

I że wyglądał tak seksownie, kiedy mówił te słowa.

- Ja nie miałem na myśli... - David zająknął się. - To znaczy, kiedy mówiłem parcheesi, chodziło mi...

Poczułam się, jakby ktoś wylał mi na głowę szklankę lodowatej wody, a za koszulę wrzucił kilka kostek lodu.

Bo stało się dla mnie oczywiste, że kiedy David powiedział parcheesi, naprawdę miał na myśli... parcheesi.

- Ale... - odezwałam się słabym głosem - przecież... powiedziałaś, że uważasz, że już jesteśmy gotowi.

- Gotowi na to, żeby spędzić weekend razem z moimi rodzicami - wyjaśnił David. - Tylko to miałem na myśli, mówiąc „gotowi”. - A potem oczy mu się rozszerzyły i dodał: - To o tym mówiłaś wtedy? Kiedy powiedziałaś, że mówisz „tak” seksowi?

- No cóż, tak - przyznałam. - A ty myślałaś, że o czym? David wzruszył ramionami.

- Po prostu sądziłem, że chcesz coś uświadomić mojemu tacie. To wszystko. Nie wiedziałem, że naprawdę... no wiesz... mówisz seksowi „tak”.

Zwłaszcza że wcale o to nie prosił.

- Och! - westchnęłam. I zapragnęłam umrzeć. Bo to wszystko - całe to martwienie się, długie rozmowy z Lucy, cała sprawa z „Po prostu mów »nie«,”, cała solidarność dziwek - to wszystko było niepotrzebne.

David nigdy nie zamierzał uprawiać ze mną seksu w ten weekend. To ja wyciągnęłam pochopny wniosek, że parcheesi oznacza seks. To ja założyłam, że kiedy David powiedział, że jego zdaniem jesteśmy już gotowi, miał na myśli, że jesteśmy gotowi na seks. To ja powiedziałam „tak” seksowi, a okazało się, że nikt mnie o to nawet nie prosił.

Sama to sobie wymyśliłam. Sama na siebie sprowadziłam całe to zmartwienie i kłopoty.

Boże. Co za totalne upokorzenie.

- Hm. - Teraz to ja się zaczerwieniłam. No bo co on sobie musiał o mnie pomyśleć? Oto wpadam do jego pokoju w środku nocy i żądam, żeby się wytłumaczył, dlaczego jeszcze nie uprawiamy seksu. Musiał pomyśleć, że jestem szalona. - Słuchaj. To ja już sobie, hm,

pójdę.

Ale cofając się krok po kroku do drzwi, nie mogłam nie zauważać różnych rzeczy. Na przykład jak ładnie wyglądał David w świetle lampki nocnej.

I jak intensywnie zielone były jego oczy, dokładnie w odcieniu trawy na trawniku toru Kentucky Derby.

I że choć nadal miał trochę głupią minę, wyglądał tak fajnie, w taki chłopięcy, inteligentny sposób, z włosami trochę sterczącymi z tyłu, bo spłaszczył je sobie o wezłowie łóżka, czytając.

I jak wygodna musiała być jego szeroka pierś, i jak dobrze byłoby położyć tam głowę i posłuchać bicia jego serca...

Nagle usłyszałam własne słowa:

- Mógłbyś chwileczkę poczekać? Pobiegłam do mojego pokoju, a kiedy wróciłam, byłam jeszcze bardziej zdyszana.

I trzymałam w ręku brązową papierową torebkę. David spojrzał na nią, a potem na mnie.

- Sam - spytał podejrzliwym, ale wcale nie niemile rozczarowanym tonem. - Co jest w tej torebce?

No więc mu pokazałam.

Kiedy następnego dnia weszłam do domu, zaszokował mnie widok taty, który siedział w salonie i słuchał, jak Rebecca gra *New York, New York* na klarnecie.

- A co wy tu robicie? - spytałam, gdy Manet, który rzucił się do drzwi na odgłos klucza w zamku, skakał wokół mnie.

Rebecca opuściła klarnet i powiedziała:

- Przepraszam, ale ja jeszcze nie skończyłam grać.

- Och - powiedziałam zaskoczona. - Wybacz.

Tata, który nie czytał gazety, nie rozmawiał przez telefon ani nie robił w sumie niczego poza tym, że słuchał występu swojej najmłodszej córki, uśmiechnął się do mnie nieco boleśnie, kiedy tak stałam i czekałam na koniec utworu. A gdy się skończył, zaklaskał, zupełnie jakby mu się ta piosenka podobała.

- Byłaś znakomita - oznajmił z entuzjazmem.

- Dziękuję. - Rebecca skromnym gestem przewróciła stronę w zeszycie z nutami leżącym przed nią na stojaku. - A teraz, kontynuując mój koncert na część najsztywniejszych miast naszego kraju, zagram piosenkę *Gary w stanie Indiana* z *The Music Man*.

- Może poczekasz, aż sobie wezmę dolewkę? - Tata wskazał pusty kubek po kawie, a potem poszedł szybko do kuchni.

Popatrzyłam na Rebeccę.

- Co się tutaj dzieje? - zapytałam.

- To te wielkie zmiany, które zapowiedział tata - odparła, wzruszając ramionami. - Postanowili spędzać z nami więcej czasu, więc zamierzam odegrać mu wszystkie piosenki z mojego repertuaru, żeby się przekonać, ile to potrwa, zanim się złamie. Na razie trzyma się zaskakująco dobrze. Daję mu jeszcze dwa utwory.

Zaniosłam swoją torbę do kuchni, zwabiona tam aromatem czegoś, co właśnie się piekło. Osłupiałam, widząc mamę, a nie Theresę, pochylającą się nad drzwiczkami piekarnika.

- Zobacz, kochanie, czy już dobre - powiedziała do taty, który dolewał sobie kawy.

Piekła ciasteczka z kawałkami czekolady. Moja matka, najtwardsza prawniczka w mieście, piekła ciasteczka z kawałkami czekolady. Jej PDA nie leżał nigdzie na widoku.

Torba wypadła mi z rąk i wylądowała głośno na podłodze.

Mama obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła do mnie.

- Och, Sam. Skąd się tu wzięłaś? Myślałam, że wyjechałaś na weekend.

- Musieliśmy wracać wcześniej - powiedziałam. - Tata Davida chciał się skontaktować ze swoim doradcą i trochę popracować nad tą inicjatywą Powrót do Rodziny, zanim ją w poniedziałek przedstawi Kongresowi. A co ty tu robisz?

- Piekę ciasteczka, kotku - odparła i wyjęła blachę z piekarnika. - Uważaj, są jeszcze gorące! - To powiedziała do mojego taty, który usiłował zwinąć ciasteczko.

- Dlaczego nie jesteście u babci? - spytałam.

- Ta kobieta już dla mnie nie istnieje - odparł tata, mimo wszystko sięgając po ciasteczko i parząc się w palce.

- Richardzie. - Mama spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. A do mnie powiedziała: - Twój tata i twoja babcia mieli mały spór, więc wróciliśmy do domu wcześniej.

- Mały? - zachnął się tata, kiedy popił kawą gorące ciastko, które wepchnął sobie do ust, żeby przestało go parzyć w palce, przez co z kolei sparzył się w język. - Wcale nie był mały.

- Richardzie, mówiłam ci, że te ciastka są gorące - upomniała go mama.

Ale tata i tak wziął kolejne dwa i ułożył je na kawałku papierowego ręcznika.

- Pa - rzucił, wracając do salonu. Manet podreptał za nim, z nadzieją na zaliczenie jakiegoś upuszczonego ciasteczka. - Czeka na mnie *Gary w stanie Indiana*.

- No dobra, a tak poważnie? - Popatrzyłam na mamę. - Co się tu wyprawia? Wyjeżdżam na jedną noc, a wy się zniecacka zamieniacie w rodzinę z *Leave It To Beaver*? Gdzie jest Theresa?

- Dałam jej wolny weekend - odparła mama, usiłując pozdejmować ciasteczka, które właśnie upiekła, z blachy. Niestety ciasteczka poprzywierały i stawały opór. - To bardzo ważne, żeby mogła spędzić trochę czasu ze swoją rodziną. Tak samo jak ważne jest, żebyśmy my wszyscy też pobyli trochę ze sobą. Przedyskutowaliśmy to z tatą i zgadzamy się z prezydentem. Nie ze wszystkim, co powiedział, oczywiście.

Mama walczyła z jakimś szczególnie krnąbrnym (słowo do egzaminu SAT oznaczające, że coś jest nieposłuszne lub oporne) ciasteczkiem.

- Najwyższa pora, żebyśmy z wami, dziewczynki, zaczęli spędzać więcej czasu - ciągnęła. - Tata uważa, że Lucy więcej by się uczyła, gdybyśmy mieli na nią oko. I wiesz, co mówią nauczyciele Rebecki o tym, że powinna się bardziej udzielać towarzysko. Dlatego tata i ja ograniczymy liczbę godzin spędzanych w pracy. No a to będzie oznaczało mniejsze zarobki. Właśnie o to tata pokłócił się ze swoją matką. - Mama skrzywiła się. - Ale ja i tak wcale się nie paliłam do tego, żeby z nią jechać na Arubę na Gwiazdkę.

Gapiłam się na nią bez słowa, usiłując przetrwać to, co właśnie usłyszałam. Mama i tata zamierzali spędzać z nami więcej czasu?

Czy to coś dobrego? Czy złego? Czy bardzo złego?

- A co ze mną? - wychrypiałam.

- Jak to, co z tobą, kotku? - spytała mama.

- To znaczy... Czy to ma coś wspólnego z moim zatrzymaniem po lekcjach w zeszłym tygodniu? Albo z tym, co powiedziałam w telewizji?

- Przecież wiesz - mama uśmiechnęła się do mnie - że nie martwimy się tak bardzo o ciebie, Sam. Ty zawsze miałaś poukładane w głowie. - A potem dodała energicznie: - Ale jeśli częściej będę w domu, to przynajmniej zdołam cię powstrzymać przed dalszym niszczeniem twoich biednych włosów.

Znowu się uśmiechnęła, żeby mi pokazać, że żartuje... Tylko że ja widziałam, że ona w gruncie rzeczy nie żartowała.

- Uh - powiedziałam. - Cudownie. Poszłam na górę do mojego pokoju. Tata obiecywał, że czekają nas w domu duże zmiany. Ale nie spodziewałam się, że aż tak duże. Byłam taka zaszokowana, że nawet nie usłyszałam Lucy, która mnie zawołała, kiedy przechodziłam obok otwartych drzwi. Dopiero gdy po raz drugi wydarła się: „Sam!”, zorientowałam się, że mówi do mnie, i wetknęłam głowę do jej pokoju.

- Wróciłaś wcześniej! - zawołała Lucy z łóżka, gdzie rozwaliła się pod baldachimem, czytając ostatniego „Vogue'a” czy coś.

- Ty też - powiedziałam. - Tata i babcia naprawdę się pożarli?

- Okropnie - potwierdziła Lucy. - Ale wiesz, jak to z nimi bywa. Do poniedziałku się pogodzą. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo zamierzałam kupić sobie na Arubę nowe bikini. No więc... Jak było?

- Fajnie - powiedziałam. Lucy ma pamięć długoterminową jak kot, więc wydawało się mało prawdopodobne, żeby pamiętała naszą rozmowę sprzed tygodnia, a nawet to, że mi kupiła środki antykoncepcyjne.

Ale chyba ta rozmowa była dla niej ważniejsza, niż mi się wydawało - albo korepetycje Harolda poprawiły jej pamięć - bo odezwała się konspiracyjnym tonem:

- Chodź i opowiedz mi wszystko. No wiesz. O tym. Weszłam do jej pokoju i zamknęłam drzwi, żeby nikt z dołu nie mógł usłyszeć, co mówimy - chociaż i tak by nie usłyszeli, biorąc pod uwagę, jak głośno Rebecca grała na tym swoim klarnecie.

- No więc jak poszło? - spytała Lucy, klepiąc wolne miejsce obok siebie na materacu.

- To znaczy z Davidem? Czy wy, no wiesz, zrobiliście to?

- Cóż - powiedziałam, siadając na łóżku. - Prawdę mówiąc... Oczy Lucy zrobiły się wielkie. - Tak?

- W sumie... - Wzięłam głęboki oddech. - Rzuciłam się na niego.

Lucy zapiszczała i zaczęła zwiajać się na łóżku. Zauważyłam wtedy, że czytała nie żaden magazyn, tylko podręcznik do testów SAT.

Wow. Ona naprawdę kocha tego Harolda.

- No więc co się stało, tak dokładnie? - Chciała wiedzieć. - Użyliście tej pianki, prawda? A on założył prezerwatywę? Bo trzeba użyć obu rzeczy naraz. Heather Birnbaum stawiała tylko na prezerwatywę i wpadła, i musiała wyjechać i zamieszkać ze swoją ciotką w Kentucky.

- Użyliśmy pianki - powiedziałam. - I prezerwatyw. Dzięki ci za to wielkie.

- Ale czy ty... No wiesz? - Laicy zniżyła głos do szeptu.

- Chyba trzeba pewnej praktyki - powiedziałam, zaczynając się rumienić - żeby to się mogło stać. Ale popracujemy nad tym.

- Naprawdę? - Lucy ożywiła się. - Tiffany zawsze mówiła, że to działa. Praktykowanie z prysznicem i tak dalej. Ale ja jej nie wierzyłam. Dobrze wiedzieć, że nie miała racji.

Spojrzałam na nią z zaciekawieniem.

- Jak to? Przecież miałaś w tej sprawie własne doświadczenia? No bo ty i Jack...

- Jack? - Lucy roześmiała się, jakbym powiedziała coś wyjątkowo zabawnego. - O mój Boże, Jack!

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Ale... - Coś mi się tu nie zgadzało. - Ty i Jack... Wy to zrobiliście, prawda?

Lucy skrzywiła się.

- Ja? Z Jackiem? Nigdy.

- Czekaj. - Spojrzałam na nią jeszcze uważniej. - Więc... ty jesteś... dziewicą?

- Oczywiście - odparła. - A coś ty myślała?

- Ale ty i Jack chodziliście ze sobą chyba ze trzy lata!

- No to co? - Jak na kogoś, kto zaopatrzył mnie w środki antykoncepcyjne i porady na temat seksu, Lucy zrobiła dziwnie oburzoną minę, kiedy zasugerowałam, że ona sama może nie być czysta niczym świeżo spadły śnieg. - To znaczy on chciał, ale ja powiedziałam mu: „Facet, zapomnij!”

- Ale Lucy! - zawołałam. - Ta pianka! I prezerwatywy! To ty mi je kupiłaś!

- Oczywiście - przyznała rzeczowo. - Nie mogłam pozwolić, żebyś poszła do apteki i naraziła się, że cię dopadną i obsmarują w całym „National Enquirer”. To było, zanim dałaś

do zrozumienia, że jest ci to obojętne, kto wie o twoich sprawach, bo powiedziałaś o tym w ogólnokrajowej telewizji. Ale to nie znaczy, że sama kiedykolwiek jej używałam. To znaczy tej pianki. Ja tylko o niej słyszałam. Od Tiffany.

- Ale... - O tej sprawie najtrudniej mi było mówić. - Tamtego dnia w stołówce nazwałaś siebie dziwką.

- No i co? - Lucy odrzuciła lśniące, czerwonozłote włosy. - Catherine też to zrobiła.

Patrzyłam na nią kompletnie osłupiała.

- Więc... Więc zrobiłaś to tylko dla mnie? A ty i Jack nigdy...

- Nigdy. - Lucy pokręciła głową. - Nie ma mowy. Mówiłam ci, że on nie był tym właściwym.

- Ale myślałaś, że nim jest. Przez długi czas. Nie możesz mi wmawiać, że nie. Sama mi powiedziałaś, że był twoim pierwszym!

- Że był moją pierwszą miłością - odparła Lucy. - A nie, że był moim pierwszym... no wiesz, kim.

- Ale... Dlaczego?

- Nie wiem. - Lucy wzruszyła ramionami. - A właściwie wiem. Czasami myślałam, że może nim być. Ale nigdy nie byłam pewna. Rozumiesz? Nie w taki sposób, jak ty jesteś pewna Davida. Albo jak ja jestem pewna Harolda.

- Myślisz, że Harold, to... ten właściwy? - zapytałam. Musiałam się skrzywić przy tych słowach, bo Lucy powiedziała ostrym tonem:

- Tak. A co? Co ci nie pasuje w Haroldzie? - Jest w porządku - zapewniłam. - Myślę, że będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi. Po tym, jak już zdasz SAT i tak dalej.

Lucy, najwyraźniej udobruchana, poprosiła:

- No to opowiedz mi o wszystkim. Czy to boli za pierwszym razem? Czy jego rodzice czegoś się domyślili? Gdzie to zrobiliście, w jego pokoju czy w twoim? I co z agentami Służb Specjalnych? Chyba nie było ich w pobliżu? A co z...

Te pytania ciągnęły się bez końca.

A ja, chociaż czułam się za bardzo oszołomiona, żeby na nie odpowiadać, próbowałam. Bo naprawdę byłam jej to winna.

Przynajmniej tyle mogłam zrobić, żeby jakoś odwdzińczyć się mojej siostrze.

- Sam! Dałaś czadu! - Dauntra machała do mnie dziko zza kasy, kiedy pojawiałam się tego popołudnia na swojej zmianie.

Na tym się skończyło jej wściekanie się na mnie. Bo byłam pewna, że była na mnie wściekła, kiedy się okazało, że jednak miałam być rzeczniką faszystowskiej inicjatywy

prezydenta.

A odmówiłam dopiero w ostatniej chwili.

- Cześć, D - powiedziałam, przełaząc pod kontuarem, żeby do niej dołączyć. - Jak ci minęło Święto Dziękczynienia?

- Paskudnie - odparła. - Myślałam, że wyjechałaś na weekend do babci.

- Miałam zamiar, ale stanęło na tym, że pojechałam do Camp David.

Dauntra gwizdnęła z podziwem.

- Camp David? Tam, gdzie prezydent spędza wakacje?

- Właśnie tam - potwierdziłam.

- O rany... I on cię zaprosił? Po tym, jak go tak zdisowałaś w ogólnokrajowej telewizji?

- Wcale go nie zdisowałam - odparłam. - Ja mu tylko dałam do zrozumienia, że istnieje, hm, lepsza droga niż ta, którą proponował.

- Dałaś mu do zrozumienia... - powtórzyła Dauntra z szerokim uśmiechem. - Rany, ale ty jesteś czadowa.

Obejrzałam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy na pewno mówiła to do mnie. Ale w wypożyczalni byli tylko jacyś jajogłowi ninja nieruszający się od półek z Kurosawa.

- Ja? - upewniłam się.

- Tak, ty - odparła Dauntra. - Wszyscy cały czas mówimy o tym, jak pokazałaś facetowi jego miejsce, i to bez leżącego strajku.

- Hm - mruknęłam, nie do końca wiedząc, o co jej chodzi. Ale i tak było mi przyjemnie. No bo niewiele osób uważa, że jestem czadowa. Tylko mój chłopak i, jak się okazało, starsza siostra. - Dzięki.

- Mówię poważnie. Kevin pytał, czy nie chciałabyś do nas kiedyś wpaść. No wiesz, tak posiedzieć.

- Do was do domu? - Serce mi podskoczyło. Nigdy nie sądziłam, że zostanę zaproszona do kogoś tak fantastycznego jak Dauntra. No bo byłyśmy tylko koleżankami z pracy. - Jasne. Bardzo chętnie. A mogę zabrać Davida?

- Pierwszego dzieciaka? - Dauntra wzruszyła ramionami. - Czemu nie? To będzie ubaw. Ach, i wiesz? Zainspirowałaś mnie. - Wyjęła z plecaka starannie złożoną kartkę papieru i podała mi ją. - Kiedy Stan przyjdzie sprawdzić mój plecak, mam zamiar mu to wręczyć.

- A co to jest? - zapytałam, rozkładając kartkę.

- Mail od mojej adwokatki - odparła dumnie Dauntra. - Z Unii Swobód

Obywatelskich. Wzięła moją sprawę. Uznałam, że to podziła lepiej niż syrop klonowy. No wiesz. Iść drogą Samantha Madison. Zamrugałam oczami.

- Wynajęcie adwokata z Unii Swobód Obywatelskich, żeby nie pozwolił twojemu pracodawcy przeszukać twojego plecaka, to ma być droga Samantha Madison?

- Jasne. To o wiele lepsze niż leżący strajk okupacyjny. I ubrania się przy tym nie ubrudzą. A kiedy moja adwokatka skończy z kierownictwem tej firmy, pewnie będę mogła ją kupić.

- W o w - powiedziałam, oddając jej maila. - Jestem pod wrażeniem.

- No cóż, powinnaś. To wszystko dzięki tobie. A tak przy okazji, dobrze się bawiłaś?

Popatrzyłam na nią zdziwiona.

- Bawiłam się?

- W Camp David. No bo co tam można robić? Musiało być okropnie nudno. Przez cały czas lało, prawda?

- Cóż - odparłam, bawiąc się plakietką z napisem *Miłość to zgoda na czekanie* przypiętą do figurki Sally. - Znaleźliśmy sobie to i owo do roboty.

- O mój Boże.

Coś w głosie Dauntry kazało mi podnieść wzrok. Patrzyła na mnie badawczo.

- O mój Boże - powtórzyła. - Czy ty i David... zrobiliście to?

- Hm. - Poczułam, że, chyba po raz milionowy tego dnia, oblewam się rumieńcem. Rozejrzałam się wkoło, żeby sprawdzić, czy Chucka, Stana albo kogoś innego nie ma gdzieś w pobliżu.

Ale jedyną osobą w sklepie poza nami był pan Wade, który pochylał się z zainteresowaniem nad nowościami w dziale sztuki.

- Hm - powtórzyłam. Nie miałam powodu chować głowy w piasek. To nie była Kris Parks, to była Dauntra. Dauntra nie nazwie mnie dziwką. Dauntra nigdy nikogo nie nazwałaby dziwką. Może poza Britney Spears. Ale to zupełnie oczywiste.

- Tak - powiedziałam, chociaż nagle strasznie zaschło mi w ustach. - Zrobiliśmy to.

Dauntra oparła łokieć o kasę, oparła brodę na dłoni, westchnęła i zapytała rozmarzonym tonem:

- Czy to było przyjemne? Znowu zamrugałam.

- Czy co było przyjemne?

- Przepraszam. - Pan Wade stanął przy kontuarze. - Zastanawiałem się, czy już sprowadziliście dla mnie DVD. Nazywam się Wade. W - ...

- ...A - D - E - dokończyła Dauntra znużonym tonem. - Panie Wade, my znamy

pańskie nazwisko. Przychodzi pan tu codziennie, na rany boskie!

Pan Wade zrobił zaskoczoną minę.

- Och - powiedział - nie sądziłem, że będziecie mnie pamiętać.

- Drogi panie Wade... - powiedziała Dauntra, sięgając po zamówione przez niego DVD - pana się nie da zapomnieć. - A potem, patrząc na mnie, dodała: - Seks. Pytałam, czy seks był przyjemny.

Spojrzałam na pana Wade'a, któremu pod beretem oczy zaczęły wychodzić z orbit. A potem spojrzałam na Dauntrę i uśmiechnęłam się szeroko.

- Tak - powiedziałam. - Był bardzo przyjemny.

- Jak ci minęło Święto Dziękczynienia? Takie pytanie zadał mi David, kiedy się zobaczyliśmy następnym razem - czyli dopiero we wtorek na lekcji rysunku u Susan Boone.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, żebym wiedziała, że żartuje, ale i tak odpowiedziałam mu z całą powagą:

- Całkiem nieźle. A tobie?

- Bombowo. - Mrugnął do mnie. - Najlepsze Święto Dziękczynienia w życiu.

Oboje siedzieliśmy tam, po prostu uśmiechając się do siebie. Dopiero gdy wpadł Rob ze swoim blokiem rysunkowym, mruczając pod nosem, że zapomniał miękkich ołówków, uświadomiliśmy sobie, że nie jesteśmy sami i zajęliśmy się rozkładaniem węgla i gumek.

Ale ja nadal się uśmiechałam. Bo to, o co się martwiłam - no wiecie, że pary, które uprawiają seks, potem myślą już tylko o seksie i tylko to robią - okazało się nieprawdą. To znaczy ja o tym myślę. Dużo.

Ale myślę nie tylko o tym.

I wiem, że David też nie tylko o tym myśli. Jestem tego pewna, bo w gruncie rzeczy nasz związek bardzo się nie zmienił. David nadal do mnie dzwoni późnym wieczorem i wcześniej rano, jak zawsze.

W ten sposób był pierwszą osobą, której powiedziałam, że mój dom to nie jedyne miejsce, gdzie zaszły duże zmiany. Kiedy w poniedziałek poszłam do szkoły, okazało się, że i tam je wprowadzono w czasie, kiedy my mieliśmy wolne z okazji Święta Dziękczynienia. Największa z tych zmian to rozwiązanie Właściwej Drogi, ponieważ wszyscy jej członkowie - poza Kris Parks - wypisali się.

Ale to nie wszystko. Kris Parks nie jest już przewodniczącą naszej klasy. Pozbawiono ją funkcji, bo złamała Statut Szkoły (nazywając mnie dziwką przy świadkach), a członkowie samorządu powinni stanowić przykład dla reszty uczniów.

Frau Rider, wychowawczyni naszej klasy, wyznaczyła osobę, która będzie pełniła

obowiązki Kris, dopóki wiosną nie przeprowadzi się nowych wyborów.

Kilka osób - no cóż, przede wszystkim Catherine, Deb Mullins, Lucy i Harold - uznało, że to ja powinnam kandydować.

Ale ja mam naprawdę wystarczająco zajęć: lekcje rysunku, pracę i obowiązki nastoletniej ambasadorki.

Poza tym przewodniczący klasy powinien choć trochę przejmować się szkołą. A ja kompletnie się nią nie przejmuję, Choć muszę przyznać, że ostatnio zaczynam ją trochę bardziej lubić.

- Zgadnij, kto jedzie w najbliższy weekend do Kalifornii zbierać fundusze? - spytał David.

- Niech zgadnę - odparłam z uśmiechem. - Twój rodzice.

- Tak. I wrócę dopiero w niedzielę wieczorem. Będę miał cały Biały Dom tylko dla siebie.

- To świetnie - powiedziałam. - Będziesz mógł tańczyć w białym i okularach słonecznych do muzyki Boba Segera.

- Ale jeszcze fajniej będzie, jeśli mnie odwiedzisz - zaproponował David. - Mamy nowy film z Melem Gibsonem. No wiesz, ten, który dopiero co wszedł na ekrany.

- Będę musiała spytać rodziców - odparłam. - Ale coś mi się wydaje, że się zgodzą.

- Fantastycznie - powiedział David, idealnie naśladując pana Burnsa.

- Witam wszystkich. - Susan Boone energicznie weszła do sali, a za nią włókł się letargicznie (słowo do egzaminu SAT oznaczające chorobliwą senność) Terry. - Wszyscy na miejscach? Terry, bardzo cię proszę...

Terry zdjął szlafrok i położył się na podwyższeniu. Po chwili zasnął, a jego pierś unosiła się i opadała w takt cichego chrapania.

Tym razem rysując go, starałam się koncentrować na całości, a nie na częściach. Naskicowałam pokój, a potem umieściłam w nim jego, próbując budować rysunek tak, jak się buduje dom... Od ram do środka, pamiętając o zachowaniu równowagi między tematem rysunku a tłem, które go otacza...

I chyba mi się udało, bo gdy nadeszła pora na ocenę naszych prac, Susan powiedziała:

- Bardzo dobrze, Sam. Naprawdę się uczysz.

- Tak - odpowiedziałam. - Chyba rzeczywiście.